



DIANA PALMER

Wygrane marzenia

Diana Palmer

Wygrane marzenia

Przełożyła Danuta Fryzowska

Dla mojej cudownej redaktorki, Patience – z wyrazami miłości

A także dla mojej przyjaciółki Ann, która jeździła na wielbłądach w Maroku, jadła sushi w Osace, opalała się nad Morzem Śródziemnym, zeszła całą Brukselę, pływała kanałami w Amsterdamie oraz zносиła w pocie upały Montany i Arizony, zwiedzając ze mną te wszystkie historyczne miejsca... Dziecino, dziękuję Ci za wspaniałe wspomnienia. To była niesamowita przygoda. Dzięki naszym mężom, którzy woleli zostać w domu, zobaczyliśmy kawał świata. Lepszej towarzyszki podróży i przyjaciółki nie mogłam sobie wymarzyć. Ścisnęłam i całuję.

Drodzy Czytelnicy!

Łyżwiarstwo figurowe oglądałam, odkąd pamiętam, i zawsze z pasją śledziłam zmagania łyżwiarzy. Miałam też swoich ulubieńców. Główną bohaterkę tej powieści nazwałam na cześć dwójki z nich – Katariny Witt i Iriny Rodniny, wielokrotnych złotych medalistek. Czułam się zaszczycona, mogąc podziwiać na lodzie tak wielkie talenty. Cała moja wiedza w tym temacie ograniczała się tylko do torów wrotkarskich, na których zmieniałam się w demona prędkości. Potrafiłam jeździć do przodu i do tyłu, robić przekładanki – niemal wszystko, co można robić na wrotkach. Pochodzę z Georgii, a w latach pięćdziesiątych próżno tam było szukać lodowisk. Wrotki to wszystko, co mieliśmy. Wiele bym jednak dała, by móc włożyć łyżwy i nauczyć się tych wszystkich pięknych ruchów i figur, które ćwiczysz się latami w pocie i bólu.

Nie ukrywam, że łyżwiarstwo stanowi główny motyw książki, ale to również opowieść o dwójce ludzi, których dotknęły wielkie tragedie. Splatają się w niej losy kontuzjowanej łyżwiarki, która boi się powrotu na lód, rozgoryczonej byłej trenerki, która kupuje lodowisko w Catelov w stanie Wyoming, w pobliżu wielkiego rancza, i małej dziewczynki, która pragnie jeździć na łyżwach, ale za nauczycielkę ma oschłą i wredną narzeczoną ojca.

To zaiste niezwykła historia. Dzięki niej przeszłam prawdziwą edukację łyżwiarską i poznałam trudności, z jakimi zmagają się zawodnicy, gdy wyruszają w długą drogę zmudnych treningów prowadzącą do rozgrywek krajowych, mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich. Muszę przyznać, że świetnie się bawiłam, pisząc tę książkę. Mam nadzieję, że i Wam przypadnie ona do gustu.

Wasza



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Okrzyki tłumów dudniły jej w uszach, jakby tam była. Na trybunach błyskały tysiące fleszy, z głośników sączyła się piękna muzyka. Słyszała zgrzyt łyżew sunących po równiutkiej, wygładzonej rolbą tafla. Widziała tamte perfekcyjne podnoszenia i wyrzuty w wykonaniu jej partnera, kiedy mknęli po złoto na mistrzostwach świata. Widziała tamto stanowisko sędziowskie. Czowała ciężar medalu wiszącego na szyi i tę euforię, kiedy stanęła przed prasą, opowiadając o swoich zmaganiach i tragediach, które doprowadziły ich duet do zwycięstwa. Niedługo potem kolejna tragedia: wypadek, przez który wylądowała w szpitalu zaledwie kilka dni przed rozpoczęciem treningów do mistrzostw USA, a przy odrobinie szczęścia do zimowych igrzysk w Pjongczangu. Nadzieje na olimpijskie złoto szybko uleciały. Operacja kostki pogrzebała jej marzenia. Przepadło. Wszystko przepadło. Rozwiało się jak ten sen, kiedy ocknęła się w swoim łóżku w pustym mieszkaniu.

Karina Carter poszła do kuchni zaparzyć kawę. Nadal czuła się dziwnie bez gipsu i ortezy, w których paradowała przez pięć miesięcy. Chodziła na fizjoterapię, a noga powoli się goiła. Ale jej partner, Paul Maurice, zmuszony był trenować z inną łyżwiarką, która nie reprezentowała tego samego poziomu co ona. Jeśli się sprawdzi, Paul miał się rozstać na dobre z Kariną - za jej zgodą, rzecz jasna - i zacząć przygotowania do mistrzostw krajowych.

Na początku roku on i Karina zajęli wysokie lokaty w zawodach Grand Prix i Mistrzostwach Czterech Kontynentów, co w połączeniu ze złotem zdobytym na mistrzostwach świata właściwie zapewniało im miejsce w drużynie olimpijskiej. Ale po ostatnich zawodach międzynarodowych doznała tej okropnej kontuzji.

Teraz, pół roku później, nadszedł czas rozstania. To oznaczało, że będą się musieli pożegnać ze stypendium sportowym, które Związek Łyżwiarstwa Figurowego przyznaje za-

wodnikom startującym w turniejach wysokiej rangi. Paul i Karina spełniali najwyższe kryteria. Ale jeśli Paul zmieni partnerkę, czego jeszcze oficjalnie nie potwierdził, oboje stracą dofinansowanie.

Mając to na uwadze, Karina zaczęła się rozglądać za pracą. Skoro wypadła z rywalizacji - być może na zawsze - jej konto bankowe mocno to odczuje. Musiała podjąć trudną decyzję dotyczącą swojej kariery. Paul to rozumiał. Zawsze ją wspierał bez względu na to, co postanowiła. Karina miała nadzieję, że dotrze się z nową partnerką i będzie mógł dalej startować w zawodach. Jeśli bez reszty poświęcą się ciężkiej pracy i przebrną przez kolejne eliminacje, a potem mistrzostwa krajowe, w przyszłym roku będą mieć szansę na udział w większych imprezach. Choć pewnie nie w igrzyskach. Nowy duet musiał sporo trenować, żeby w ogóle się wyrobić na wcześniejsze konkursy. Występy par były najtrudniejszą z konkurencji w łyżwiarstwie figurowym, bo wymagały idealnego zgrania kroków i ruchów.

Ale Karina już się tym nie martwiła. Zrezygnowała. Lekarz zdołał ją przekonać, że powrót na lód byłby szaleństwem. W sumie nawet jej to odpowiadało. Myśl o jeźdźeniu ją przerażała. Bała się nawet spróbować. Tamten upadek był naprawdę straszny.

Tego dnia miała rozmowę o pracę w Catelow, na północ od Jackson Hole i małego miasteczka, w którym się urodziła. Tuż po tragedii, która odebrała jej rodziców, mieszkała u Paula i jego bliskich. Rodzice nie żyli już od trzech lat. Jak na ironię, zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy wracali do domu z ostatnich igrzysk, w których startowała Karina. To doszczętnie ją zdruzgotało. Ona i Paul tak ciężko trenowali... Chcieli, żeby rodzice byli z nich dumni, a zajęli zaledwie ósme miejsce. Za to w tym roku wygrali zawody krajowe, Grand Prix, no i jeszcze mistrzostwa świata. Gdyby nie ten upadek...

Mistrzowskie złoto podniosło ich na duchu, rozbudzając apetyt na kolejne zwycięstwa, które pozwoliłyby im wrócić na igrzyska. Niestety wypadek Kariny, do którego doszło akurat na treningu, odebrał jej wszelkie nadzieje na ponowny start

w olimpiadzie. Paul czuł się winny, bo wyrzucił ją za wysoko podczas jednego z popisowych skoków. Ale to Karina źle wylądowała. W zasadzie to była jej wina.

Nowy trener próbował ją pocieszać. Powtarzał, że po operacji będzie potrzebować kilku miesięcy, żeby kostka całkiem się zrosła, ale potem wróci na lód. Przyznał, że nie obędzie się bez fizjoterapii i regularnych wizyt u lekarza. Ale mogła to zrobić, nawet jeśli powrót do zdrowia miałby jej zająć rok, czego także nie wykluczał. Trener również był znakomitym łyżwiarzem i wiedział, że jeden wypadek nie przekreśli jej szans na zdobycie olimpijskiego złota. W końcu została nazwana na cześć dwóch wielkich łyżwiarek! Jej imię – Karina – powstało z połączenia imion Katariny Witt i Iriny Rodniny, które były wielokrotnymi mistrzyniami olimpijskimi i idolkami jej zmarłej matki.

Karina kwitowała optymistyczne prognozy trenera słabym uśmiechem i mówiła, że się postara. Ale w nocy pojawiał się strach i odbierał jej pewność siebie. Co, jeśli uraz kostki miał jakieś głębsze podłoże? W końcu wcześniej złamała tę samą nogę w katastrofie, w której straciła rodziców i którą tylko ona przeżyła. Co, jeśli to się powtórzy i już do końca życia będzie kaleką? Te wszystkie piękne wysokie skoki, salchowy, lutze i powietrzne piruety... Owszem, publiczność je uwielbiała, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo są niebezpieczne. Wielu łyżwiarzy wykonując je, doznało poważnych kontuzji, które odmieniły ich życie; niektórzy musieli na zawsze pożegnać się z tym sportem. Karina wprawdzie przywykła do siniaków i stłuczeń – każdy łyżwiarz od czasu do czasu zaliczał upadek – ale uraz tej samej nogi, którą wcześniej złamała, był naprawdę niepokojący.

Przez te wszystkie miesiące, kiedy wracała do zdrowia, straciła wiarę w siebie. Bała się wejść na lód. Strach zmroził ją tak, że nawet nie chciała spróbować. Przez pięć miesięcy – a raczej już sześć bez tygodnia – pracowała z fizjoterapeutą nad tym, żeby przynajmniej móc chodzić. Na nic innego nie robiła sobie nadziei. Wiedziała, że nie zdąży wyzdrowieć do zawodów krajowych, do których zostały raptem trzy miesiące. Musiałaby wrócić do treningów i odzyskać pewność siebie, a już sama ta wizja napawała ją przerażeniem.

Mistrzostwa USA miały się odbyć w styczniu przyszłego roku, tuż przed igrzyskami w Pjongczangu, ale Karina była pewna, że w nich nie wystartuje. Wysokie pozycje, które zdobyła z Paulem w konkursach międzynarodowych, zwiększały ich szanse na to, żeby się dostać do reprezentacji, tylko że Paul już testował nową partnerkę.

Ta sytuacja strasznie ją przygnębiała.

Jej finanse również nie miały się najlepiej. Karina musiała dostać tę pracę w Catelow, żeby jakoś przetrwać, dopóki nie zdecyduje, co zrobić ze swoim życiem. Jeśli ona i Paul stracą stypendium sportowe, o którym nowe pary bez dorobku punktowego mogły tylko pomarzyć, będzie mieć problem z pieniędzmi. Przez trzy lata studiowała historię. Miała dobre wyniki i nie bała się ciężkiej pracy. Mogła wrócić do college'u, postarać się o stypendium naukowe, zdobyć licencjat, a potem wykładać na uczelni. Czemu nie? Polecieć na Marsa też mogła...

No cóż, raczej nie miała dużego wyboru.

Jeździła z Paulem, odkąd skończyła dziesięć lat. Paul był dla niej jak brat, a ona została matką chrzestną jego bliźniąt. Gerda, żona Paula, także uprawiała łyżwiarstwo – poznali się pięć lat temu podczas mistrzostw świata. Karina kochała swoich chrześniaków i zazdrościła Paulowi rodziny. Wiedziała jednak, że to nie dla niej, że nie jest gotowa na takie zobowiązanie. Na pewno nie teraz.

Biedny Paul chciał się wycofać z rywalizacji, ale Karina nalegała, żeby znalazł sobie inną partnerkę. Nie była pewna, czy jeszcze wróci do sportu i czy w ogóle tego chce. Musiała sobie odpuścić, dopóki nie wydobrzeje, kto wie, czy nie na zawsze. Niewyleczone złamanie kostki mogło mieć przykre konsekwencje. Jej lekarz chciał, żeby zrobiła sobie przerwę na sześć do dwunastu miesięcy. Właściwie to powiedział wprost, że powinna zapomnieć o karierze łyżwiarskiej i znaleźć sobie mniej niebezpieczne zajęcie. Jej noga już kiedyś ucierpiała w wypadku, dlatego nowy uraz stawu mógł doprowadzić do jeszcze większych dolegliwości bólowych, a ponieważ chodziło o nogę, na której Karina zwykle lądowała, kolejne starty w zawodach mogły mieć fatalne skutki.

Jego opinia zabolą ją bardziej niż złamanie. Nie była pewna, czy jeszcze kiedyś odważy się włożyć łyżwy. O dziwo, poza stłuczeniami i naciągniętymi mięśniami do tej pory nie miała żadnego poważnego wypadku, a uprawiała ten sport od trzeciego roku życia. Inni łyżwiarze, którzy często wypadali z gry z powodu jakiegoś niefortunnego incydentu, i to na wiele tygodni, a nawet miesięcy, wręcz żartowali z jej bezkontuzyjnego przebiegu kariery.

Kiedy niespełna rok temu ona i Paul zdobyli mistrzostwo świata, mieszkańcy Jackson Hole okrzyknęli ją „Legendą Wyoming”. To zwycięstwo dodało jej skrzydeł. Nigdy w życiu nie czuła się tak wspaniale. Ale straciła szansę na to, żeby zostać prawdziwą legendą łyżwiarstwa. Nawet teraz, mimo strachu, który tkwił w niej głęboko, ta jedna myśl o olimpijskim złocie wciąż ją prześladowała.

Niegdyś uwielbiała chodzić na treningi. Wkładanie łyżew, sznurowanie i to uczucie, kiedy ostre płozy cięły lód, przygotowało ją o ekscytację. Ale teraz była zwykłą dwudziestotrzylatką, Kariną Mirandą Carter, a nie Mirandą Tanner. Ten pseudonim, powstały z połączenia jej drugiego imienia i nazwiska panińskiego matki, towarzyszył Karinie przez wiele lat i pozwalał zachować pewną anonimowość, która, jak twierdziła jej rodzicielka i była mistrzyni olimpijska, pewnego dnia mogła się jej przydać.

To prawda. Słynni sportowcy po prostu nie mają prywatnego życia.

Karina przypomniała sobie, jak matka ją dopingowała; cieszyła się nawet z tego ósmego miejsca wywalzonego na igrzyskach. Ona w swojej karierze nieraz doznawała kontuzji i zawsze wracała na lód. Ale Karina nie była aż tak zdeterminowana i pewna siebie.

W Catelow, gdzie ubiegała się o posadę opiekunki u bogatego ranczera i wdowca, nikt jej nie znał. Karina kochała dzieci, ale nigdy nie myślała o tym, żeby mieć własne. Łyżwiarstwo było całym jej życiem. Ona i jej partner całymi dniami ćwiczyli na lodowisku, doskonaląc technikę pod okiem trenera, który nieustannie podnosił im poprzeczkę, wymyślając iście bajeczne układy. A jeden z tych układów pomógł im zdo-

być mistrzostwo świata. To był punkt zwrotny w ich życiu, bo jedno z najważniejszych marzeń się spełniło. Niestety po wypadku Kariny kolejne marzenie, to o olimpijskim złocie, prysło. Musieli odłożyć je na półkę jak sentymentalną pamiątkę, która z czasem, choć wciąż ważna, pokryje się kurzem.

Karina nie mogła się ciągle oglądać za siebie. Powinna iść naprzód. Lekarz powiedział, że kostka się zrośnie. Musiała tylko uzbroić się w cierpliwość i ćwiczyć każdego dnia, choć trudno było przewidzieć, czy będzie w stanie jeździć tak jak dawniej. To było poważne złamanie. Karina wiedziała, że nie obędzie się bez dodatkowego wsparcia dla kostki, jeśli jeszcze kiedyś miała włożyć łyżwy. Właściwie to nie była nawet pewna, czy w ogóle tego chce. Z przerażeniem wspominała to fatalne lądowanie i towarzyszący mu trzask pękającej kości. Dopiero kiedy się przewróciła, dotarło do niej, że nie może stanąć na lewej nodze. Jej rozpacz i przerażenie powiększał fakt, że właśnie na niej zwykle lądowała. Myślała, że mimo intensywnej rehabilitacji kostka już nigdy nie będzie tak mocna i sprawna jak kiedyś. Lekarz dał jej to jasno do zrozumienia: „Stłuczone lustro nigdy nie będzie jak nowe”. Ot, wybrakowany towar. Stała się bezużyteczna.

Ale nie na tyle, żeby nie móc się zająć małą dziewczynką. Przynajmniej taką miała nadzieję. W liceum pracowała jako opiekunka do dzieci, a na wyjazdach zajmowała się bliźniakami Paula i Gerdy. Znała zasady pierwszej pomocy i wiedziała, co robić w drobnych nieszczęściach. Uczyła nawet w lokalnej podstawówce w ramach praktyk studenckich. Na pewno da sobie radę.

Zresztą nie miała innego wyboru. Był październik, a kontuzja pozbawiła ją źródła utrzymania. Musiała tylko przekonać potencjalnego szefa, niejakiego pana Torrance'a, że się nada do tej pracy. Ogłoszenie nie zawierało zbyt wielu informacji. Od kandydatek oczekiwano jedynie, by miały dobre podejście do dzieci i były gotowe zamieszkać na ranczu. Karina nie знаła nawet imienia jego właściciela.

Sama dorastała na małym ranczu nieopodal Jackson Hole i kochała zwierzęta, więc perspektywa mieszkania na ustroiniu jej nie przerażała. Co więcej, czuła się dobrze we wła-

snym towarzystwie. Miała pewne zahamowania w kontaktach międzyludzkich, a już szczególnie stresowała się w obecności mężczyzn. Wszystkich. Bez wyjątku.

Pewnie dlatego wciąż była singielką...

Z Paulem przyjaźniła się od małego, ale poza tym właściwie nie miała żadnego życia towarzyskiego, a także nie była fanatką luźnych związków. Została wychowana w religijnej rodzinie i cnota znaczyła dla niej więcej niż dla większości jej znajomych. Przelotne przygody na jedną noc nie były dla niej. Jeśli miała się kiedyś z kimś związać, to w grę wchodziło jedynie małżeństwo.

Jednak małżeństwo to ostatnia rzecz, o jakiej myślała. Miała prawdziwą obsesję na punkcie łyżwiarstwa i spędzała na lodowisku każdą wolną minutę. Nie opuściła się przez to w nauce, ale bardziej skupiała się na przyszłości, na wyznaczonych celach. Znajomi śmiali się, że sfiksowała, ale ona wiedziała, jak trudno zdobyć medal na zawodach. Nie dość, że to wyczerpujące fizycznie, to jeszcze na uczestników czekały inne pułapki, jak choćby skomplikowane zasady i wewnętrzne rozgrywki. Sędziowie potrafili być stronnicy, a rywale bezwzględni. To nie był sport dla słabeuszy.

Ale Karina do nich nie należała, podobnie jak jej matka. Uwielbiała tę prędkość, to szaleństwo, a nawet dreszczyk związany z ryzykiem, które przecież wpisane jest w uprawianie łyżwiarstwa, i wytrwale wspinała się po kolejnych szczeblach rywalizacji – aż do tytułów mistrzyni USA i świata.

I co z tego wyszło? Miała dwadzieścia trzy lata i żadnej przyszłości na lodzie, a to, czy dostanie pracę, zależało od „tak” lub „nie” dziewięciolatki, której wcale nie musiała się spodobać. Co gorsza, to mogła być jedyna praca, do jakiej w ogóle się jeszcze nadawała.

Jej małe sportowe autko miało już na karku ładnych parę lat. Kupiła je, kiedy dobrze jej się wiodło dzięki kontraktom sponsorskim i publicznym występom dozwolonym przez Związek Łyżwiarski. Samochód był w niezłym stanie, choć niedawno Karina uderzyła w drzewo i wgniotła przedni zderzak. Nie było jej stać na naprawę karoserii, ale mechanik za-

pewniały, że wóz jest sprawny i bezpieczny. Pojechała nim więc na ranczo, przedzierając się przez zasypane śniegiem drogi, i dzięki nawigacji dotarła do celu.

Przed bramą wjazdową ujrzała strażnika. Zdziwiło ją to, bo po co na ranczu strażnik? Mężczyzna wyszedł z małej budki i spytał przyjaźnie, co ją sprowadza.

- Jestem umówiona na rozmowę o pracę - odparła z błyskiem w oku, podając gazetę z zakreślonym ogłoszeniem. - Dzwoniłam wczoraj i brygadzysta pana Torrance'a powiedział, że mam się dziś zjawić o czternastej. Z Jackson Hole to kawał drogi. Podróż trochę mi zajęła - dodała z uśmiechem.

- Domyślam się, zwłaszcza w tym śniegu. Mogę zobaczyć jakiś dokument tożsamości? Proszę wybaczyć, ale mogę stracić pracę, jeśli tego nie sprawdzę.

Z tego Torrance'a musi być niezły tyran, pomyślała, ale wręczyła mu prawo jazdy.

- Okej, zgadza się z tym, co mam tutaj. - Wskazał palcem komórkę. - Pan Torrance czeka na panią w domu, to trzy kilometry dalej. Proszę trzymać się głównej drogi i nie zbaczać z trasy. Może pani zaparkować w dowolnym miejscu.

- Dziękuję.

- Jestem Ted - przedstawił się.

- Karina - odpowiedziała z uśmiechem.

- Miło mi. Mam nadzieję, że dostaniesz tę pracę.

- Dziękuję. Ja też. - Zawahała się i zanim zamknęła okno, spytała: - Dużo jest chętnych?

Pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

- Zgłosiła się jedna osoba, ale gdy zobaczyła, jakie to odludzie, zawróciła i odjechała. Niewiele się tu dzieje. Codziennie o osiemnastej zwijają chodniki.

- Już mi się podoba - stwierdziła rozbawiona. - Urodziłam się w High Meadow, to na południowy wschód od Jackson Hole. Tam też się niewiele działo. Lubię wieś, nigdy nie przepadałam za miastem - dodała niezbyt szczerze.

On również się roześmiał.

- Coś o tym wiem. W mieście pewnie bym usechł. Powodzenia! - rzucił, otwierając automatyczną metalową bramę.

Karina pomachała strażnikowi i ruszyła przed siebie.

Wszędzie wokół ciągnęły się pastwiska, wszystkie ogrodzone i dobrze utrzymane. Po drodze Karina widziała stada czerwonego bydła, a także budynki gospodarcze i wiaty, które zimą dawały zwierzętom schronienie.

Jeśli się nie myliła, to była rasa red angus. Czytała o różnych odmianach, przystosowanych do mrozów panujących w Wyoming, a black i red angus były najpopularniejsze w tych stronach. Miała już do czynienia z bydłem. W dzieciństwie jej rodzice prowadzili niewielkie ranczo, na którym hodowali także małe stadko mięsnych black baldy, pochodzących ze skrzyżowania ras hereford i black angus. Karina przez cały rok pomagała je karmić i poić - to był jeden z jej obowiązków. Oprócz bydła na rodzinnej farmie żyły także psy, koty i kaczki. Musiała przyznać, że miała cudowne dzieciństwo, choć w szkole nie dogadywała się z innymi uczniami. Łyżwiarstwo już wtedy było całym jej życiem. Każdego dnia spędzała wiele godzin na miejscowym lodowisku, ćwicząc pod okiem matki. Była mistrzyni olimpijska dobrze ją wyszkoliła. Karina od zawsze kochała ten sport. Codziennie przeglądała pamiątkowy album ze zdjęciami mamy, zachwycając się zdobytymi przez nią medalami, uznaniem i tymi wszystkimi legendami łyżwiarstwa, z którymi się przyjaźniła.

Szalenie pragnęła należeć do tego świata i była gotowa na wszystko, żeby do niego dołączyć, to jednak wykluczało jakiegokolwiek życie towarzyskie. Inni uczniowie śmiali się z jej ambicji i naiwności. Nie była typową piękną dziewczyną, za to miała wspaniałą figurę. Chłopcy chcieli się z nią umawiać, ale im nie ufała. W szkole miała tylko jednego stałego chłopaka, a on spotykał się z nią wyłącznie dlatego, że inna dziewczyna go rzuciła. Karina była jego nagrodą pocieszenia. Lubiła go, i to bardzo, ale nie pociągał jej fizycznie. Czasami się zastanawiała, czy coś jest z nią nie tak. Nigdy nie doświadczyła porywów namiętności, o których tyle czytała w powieściach. Miała powód, dla którego nawet nie próbowała się z nikim

związać. Ale już samo wspomnienie budziło w niej niesmak, więc zepchnęła je na dno pamięci. Tak naprawdę nie szukała chłopaka. Całe serce oddała łyżwiarstwu.

Kiedy była już blisko rancza, jej oczom ukazała się ogromna rezydencja w stylu wiktoriańskim, z bogatymi rzeźbieniami i czarnymi akcentami. Dom, podobnie jak pastwiska, był dość dobrze utrzymany i wznosił się na hektarowej działce z długim brukowanym podjazdem i automatycznymi bramami, estetycznie obsadzonej drzewami i krzewami. Podwórko przed domem również było wyłożone kostką, a na frontowej werandzie, zastawionej krzesłami, bujała się huśtawka. Dookoła stało mnóstwo budynków gospodarczych. Pod tym względem ranczo przypominało raczej nowoczesne osiedle. To oczywiste, że jego właściciel spał na pieniądzach. Karina widziała takie posiadłości w internecie i wszystkie zostały sprzedane za miliony dolarów. O nie, to na pewno nie była mała hodowlana farma.

Przed domem na szerokiej werandzie siedział duży owczarek niemiecki o czarnym pysku. Karina zaparkowała obok, ale bała się wysiąść z auta. Wiedziała, że psy – zwłaszcza stróżujące – bywają agresywne wobec obcych.

Nagle na werandę wyszła mała dziewczynka i zaczęła go głaskać. Owczarek oparł o nią głowę, a ona uśmiechnęła się szeroko i przywołała gestem nieznajomą.

Karina zawiesiła torebkę na ramieniu i powoli wysiadła.

- Nie ugryzie? – spytała.

- Skąd! Atakuje tylko wtedy, gdy tata wyda komendę po niemiecku – zapewniła dziewczynka. - Czy to pani będzie się mną zajmować?

- Mam taką nadzieję – odparła Karina.

Dziewczynka była drobna. Miała długie kruczoczarne włosy związane w kucyk, jasnoniebieskie oczy i śliczną okrągłą twarz.

- Jestem Janey – przedstawiła się. - A pani?

- Mów mi Karina – odpowiedziała z uśmiechem.

- Miło cię poznać. Mój tata musiał pójść do obory. Jeden z buhajów nadepnął na stopę Billy'emu Joe Smithowi.

Karina uniosła brwi.

- Billy'emu Joe? - spytała rozbawiona.

- Jest z Georgii. Podobno tam wiele osób nosi podwójne imiona - wyjaśniła Janey. - Jest miły. Hoduje nasze słynne owczarki.

- Ten to prawdziwy przystojniak - stwierdziła Karina, takując psa.

- To Dietrich. No dalej, Dietrich. Idź się przywitać!

Pies podszedł z wolna do Kariny i zaczął ją obwąchiwać. Wystawiła ku niemu rękę, żeby oswoił się z jej zapachem, a kiedy na nią spojrział, zmierzwiła mu sierść na grzbiecie.

- Cześć, piękniśiu - powiedziała łagodnie. - Aleś ty śliczny!

Oparł o nią łeb, wdzięczny za okazywaną czułość.

- Lubisz psy? - spytała Janey.

- Uwielbiam. Gdy byłem mała, mieliśmy syberyjskiego husky. Nazywał się Mukluk i był mistrzem ucieczki. Uciekał tak często, że tata nic, tylko wciąż go szukał - roześmiała się.

- Lubię tę rasę, ale mamy też sporo kotów - wyznała z westchnieniem Janey. - Dlatego nie możemy mieć husky. Tata mówi, że mogą być groźne dla małych zwierząt.

- To prawda, przynajmniej tak było w przypadku Mukluka - oznajmiła z uśmiechem Karina. - Ilekroć wchodził do domu, musieliśmy zamykać kota w pokoju. Mukluk uwielbiał go gonić.

- Dietrich jedynie liże nasze koty - zachichotała Janey.

- Jest uroczy.

Ich uwagę przykuł odgłos silnika. Obok wozu Kariny zaparkował duży czarny SUV i wysiadł z niego mężczyzna. Był postawny, miał lekko oliwkową cerę i kruczoczarne włosy wystające spod kowbojskiego stetsona. Jego ciemnobrązowe oczy i posępne oblicze zdradzały ponury charakter, który aż kłuł w oczy. Ubrany był w skórzaną kurtkę z frędzlami i czar-

nymi koralikami, które podkreślały jego szerokie ramiona i atletyczną budowę.

- A ty coś za jedna? - spytał, piorunując Karinę wzrokiem.

Jego ostry ton kompletnie zbił ją z tropu.

- To Karina - odparła z uśmiechem dziewczynka, niezrażona obcesowością rosnącego mężczyzny. - Będzie moją towarzyszką.

Mężczyzna podszedł bliżej, a Karina cofnęła się o krok. Wyglądał onieśmielająco.

- Nazywam się Karina. Karina Carter - odezwała się, wyciągając niepewnie rękę. - Miło pana poznać, panie... - Zaczęła szukać w pamięci nazwiska, speszona jego nieprzyjazną postawą. - Panie Torrance - wydukała wreszcie.

Przechylił głowę i zmrużył oczy, przyglądając się jej badawczo. Jasne blond włosy, zapewne długie, upięła w kok z tyłu głowy. Miała jasnoszare oczy, drobną sylwetkę średniego wzrostu i wygodne ubranie, które wyglądało jak z drogiego salonu. Do tego solidne buty, przy czym jedna stopa tkwiła w ortezie. No i stała wsparta na lasce.

- Jak chcesz się zajmować dzieckiem, skoro sama ledwie chodzisz? - spytał szorstko.

- Panie Torrance, może się mylę, ale nie sędzę, żeby pańska córka chciała uciekać... nawet przede mną - zauważyła nieco żartobliwie.

Chrząknął gardłowo.

- To prawda, ona nie z tych, co uciekają. - Zmrużył oczy i spojrzał na nią z zaciekawieniem. - Dlaczego ubiegasz się o tę pracę?

- Bo niedługo nie będę mieć za co żyć - odparła szczerze.

Na jego męskich, mocno zarysowanych ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Jak myślisz, Janey? - spytał córkę.

- Podoba mi się - odpowiedziała.

Zawahał się, ale tylko na chwilę.

- Zanim kogoś zatrudnię, muszę go sprawdzić. - Uniósł brwi, gdy Karina spojrzała na niego z lekkim niepokojem. - Tylko pobieżnie. Nie obchodzi mnie, czy ściągałaś na teście z matematyki w szóstej klasie - dodał, dając jej do zrozumienia, że nie będzie kopał zbyt głęboko w jej przeszłości.

Poczuła ulgę. Nie chciała, żeby wiedział, kim była. Straciła wszystko, co miała.

- Nigdy nie ściągałam - odpowiedziała cicho.

- Czemu mnie to nie dziwi? - rzucił w zadumie. - Będziesz musiała tu zamieszkać - oświadczył nagle, a potem podał kwotę, która wprowadziła ją w niemałe zdumienie. Będąc u szczytu kariery, przywykła do luksusów i podróżowania pierwszą klasą, ale takiej sówitej pensji się nie spodziewała.

- Czy to nie za dużo? Za opiekę nad dzieckiem? - spytała, bo chciała być w porządku.

- Janey potrafi zaleźć za skórę - odparł zdziwiony pytaniem kandydatki do pracy. Nikt jeszcze nie zwrócił mu uwagi, że zbyt hojnie wynagradza swoich ludzi.

- To prawda - ochoczo przytaknęła Janey.

- No i ma hopla na punkcie łyżwiarstwa figurowego - dodał, ciężko wzdychając. - Nie jestem w stanie wybić jej tego z głowy, więc będziesz musiała zawozić ją codziennie po szkole na lodowisko.

- Któregoś dnia będę sławna - stwierdziła Janey z szerokim uśmiechem. - Tata mówi, że jak będę ćwiczyć i pokażę, że jestem zaangażowana, to na jesieni załatwi mi trenera. - Zmarszczyła brwi i spytała niepewnie: - Zaangażowana?

- Tak. Zaangażowana. Czyli taka, jaka nie byłaś, kiedy koniecznie chciałaś się nauczyć gry na pianinie i po dwóch miesiącach zrezygnowałaś - odparł Torrance.

- Bo za dużo czasu spędzałam w domu - wyjaśniła z westchnieniem. - A ja wolę być na powietrzu.

- Pobierałam kiedyś lekcje pianina. Przez sześć lat - oświadczyła z uśmiechem Karina. - To było coś, co uwielbiałam, ale... - Już chciała powiedzieć, że bardziej kochała łyż-

wy, jednak się powstrzymała. – Ale tak jakby z tego wyrosłam – dokończyła.

W głębi duszy miała nadzieję, że dziewczynka nie śledziła igrzysk olimpijskich. Ale z drugiej strony ona i Paul tylko raz brali w nich udział, i to trzy lata temu, a od mistrzostw świata, w których zdobyli złoto, minął już prawie rok. Poza tym starali się unikać rozgłosu. Choć to trudne w tym sporcie, dbali o swoją prywatność. No i Karina znana była w tym światku jako Miranda Tanner. Powinno być dobrze. Tak sądziła.

– Janey ogląda wszystkie transmisje z zawodów łyżwiarskich – oznajmił Torrance. – Od całych dwóch miesięcy – mruknął do córki, która wyszczerzyła się w uśmiechu.

Karina odetchnęła. Dziewczynka dopiero złapała bakcyła. Szanse, że ją rozpozna, były niewielkie.

– I teraz dzień w dzień jeździmy na lodowisko. Prowadzi je była olimpijska trenerka, która je kupiła i wyremontowała. Ale nie mam czasu wozić Janey tam i z powrotem, a nie ufam żadnemu mężczyźnie – zaznaczył dość enigmatycznie. – Dlatego od teraz będzie to twoje zadanie.

Serce jej przyśpieszyło nie tylko z obawy, że trenerka, o której mówił, może ją znać, ale też przez to, co powiedział o jej nowym zadaniu.

– Znaczy się, dostałam tę pracę?

– Dostałaś. Możesz zacząć od zaraz czy musisz się jeszcze spakować?

– Mieszkam w Jackson Hole – uściśliła. – Nie mam ze sobą rzeczy...

– To szybko je przywieź – rzucił, widząc jej zaniepokojoną minę, po czym dodał: – Ale najpierw chodź ze mną – i wszedł do domu.

Janey doskoczyła do Kariny z Dietrichem u boku. Z jej oczu biła radość.

– Będziemy się świetnie bawić! – oznajmiła. – Lubisz łyżwy?

– Dawno nie jeździłam – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Janey spojrzała z krzywą miną na jej lewą stopę i ortezę.

- Rany, no tak. Ale wyzdrowiejesz, prawda?

- Tak - odparła z uśmiechem.

- Jak to się stało? - spytał Torrance.

- Poślizgnęłam się na mokrych liściach i spadłam ze skarpy - skłamała, unikając jego wzroku. - Lekarz powiedział, że potrzeba sześciu miesięcy, żeby wszystko dobrze się zrosło. Za tydzień minie pół roku. Zalecił mi ćwiczenia, które muszę wykonywać codziennie, żeby zachować sprawność.

- Ale możesz już jeździć na łyżwach? - spytał, przechodząc do pokoju.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Teoretycznie - odparła wymijająco. Miała nadzieję, że wystarczy, jeśli będzie pilnować Janey z trybun. Skończyła z łyżwami i nigdy więcej nie chciała ich wkładać.

Torrance wrócił z książeczką czekową.

- Dam ci zaliczkę. Musisz mieć przynajmniej na benzynę. - Wypisał czek i przekazał go Karinie.

Na widok kwoty zdębiała, ale nic nie powiedziała.

- Wracaj szybko.

- Wystarczy mi kilka godzin - wydukała.

- Jeśli trzeba cię zawieźć, poproszę kogoś z moich ludzi - dodał, spoglądając wymownie na jej kostkę.

- Nie, mogę prowadzić. Z prawą stopą wszystko w porządku.

- Okej. Postaraj się wrócić przed zmrokiem.

- Dlaczego? Po zachodzie słońca zmienia się pan w wampira? - wypaliła bez namysłu, a zaraz potem się zaczerwieniła. Ta uwaga była zbyt bezpośrednia.

Torrance powściągnął uśmiech.

- Nie, ale te drogi po zmroku bywają zdradliwe. Nie tylko z powodu śniegu. W lasach żyją wilki. - Wskazał głową ota-

czające ranczo tereny. – Chronimy je, ale chodzą w watahach i nie zawsze są przyjaźnie nastawione do ludzi.

– W samochodzie będę bezpieczna.

– Samochody się psują – zripostował. – Ten twój wygląda, jakby nadawał się już tylko na złomowisko.

– To porządne małe autko! – zaperzyła się. – A gdyby tak pan miał parę lat więcej i usłyszał, że nadaje się już tylko na cmentarz?

Uniósł gęste brwi.

– Samochody to nie zwierzątka.

– Cóż, ja swój właśnie tak traktuję – oświadczyła wyniośle.
– Myję go i woskuję, i kupuję mu różne rzeczy.

– Zatem to chłopiec? – spytał żartem.

Poruszyła się niespokojnie, przenosząc ciężar na zdrową nogę.

– Tak jakby.

Zaśmiał się.

– Okej. Jedź się spakować i wracaj.

– Tak jest – odpowiedziała z uśmiechem. – I chętnie będę cię wozić na lodowisko – dodała, posyłając Janey ciepłe spojrzenie.

– Dziękuję! Łyżwy to moje życie! – wykrzyknęła uradowana.

Karina popatrzyła na nią i zobaczyła siebie, gdy była w tym samym wieku. Och, jakże ten czas leci!

– Pamiętaj, żeby wrócić przed zmrokiem – przypomniał Torrance. – Oprócz wilków mamy tu też mnóstwo jeleni. Często wybiegają przed jadące samochody. W zeszłym tygodniu mój brygadzysta potrącił jednego i musiał oddać wóz do naprawy. Miał skasowany cały przód.

Położyła rękę na sercu i oświadczyła uroczyście:

– Wrócę z tarczą albo na tarczy.

– Naczytałaś się o Spartanach? – spytał ze śmiechem.

- Uwielbiam dzieje starożytne. Potrafię czytać o nich godzinami na iPhone.

- To tak jak ja.

Nagle zadzwoniła jego komórka. Wyjął ją z etui, które nosił przy szerokim, skórzanym pasku.

- Co jest? - spytał szorstko.

Zapadła cisza.

- Cholera - wymamrotał, po czym przeniósł wzrok na Kari-
nę. - No to w drogę.

- Tak jest. - Mrugnęła do Janey i wsiadła do samochodu, lecz zaraz westchnęła z jękiem, bo jak na złość nie chciał odpalić. Wiedziała, że pan Torrance na to patrzy i zrywa boki. Na pewno po czymś takim już nie zmieni zdania o jej małym autku.

Musiała się dostosować do życia na ranczu, bo Torrance nie uznawał stałych godzin pracy. Sam zresztą był nocnym markiem. Podczas pierwszej spędzonej tam nocy Karina słyszała, jak chodzi po domu o trzeciej nad ranem. Była ciekawa, dlaczego nie śpi. Jego ciężkie kroki zadudniły na korytarzu, gdy minął jej pokój i zszedł po schodach, a potem z dołu dobiegł chropawy głos i jeszcze jeden jakby przeproszający.

Dopiero rano się dowiedziała, o co chodziło. Jałówka, która jeszcze nie miała potomstwa, zaczęła się cielić, a Torrance poszedł pomóc odebrać poród.

- Mieliliśmy kiedyś dojną krowę, której młode było ułożone w pozycji pośladkowej - skomentowała przy śniadaniu, gdy Torrance opisał ze szczegółami przebieg porodu. - Tata i jeden z kowbojów zdołali obrócić malucha, nie robiąc krzywdy krowie. Do weterynarza było jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Musieli działać szybko.

- Mieszkałaś na ranczu? - spytał.

Skinęła głową.

- Nie było zbyt duże, ale mój ojciec był miłośnikiem rasy red angus. Właśnie to bydło hodowaliśmy. Mieliliśmy też kilka mieszańców black baldy.

Uśmiechnął się. Black baldy. Bydło mięsne.

- Pewnie je wszystkie nazwałaś - rzucił podchwytliwie.

- No tak - wyznała, a na widok rozbawionej miny Janey oblała się rumieńcem. - Ale tylko parę razy, zanim się dowiedziałam, po co tak naprawdę przyjeżdżają ciężarówki i dokąd je wywożą. To była bolesna lekcja. Tata zawsze mi mówił, że jadą do innych domów, gdzie dalej będą wieść spokojny żywot.

- Powinien się wstydzić - powiedział cicho Torrance. - Nieładnie tak okłamywać dziecko.

- Kochał mnie - odparła ze smutnym uśmiechem Karina. - Jak byłam mała, rodzice starali się trzymać mnie z dala od przykrych czy bolesnych zdarzeń. Mama mówiła, że życie nie będzie mnie rozpieszczać, dlatego wszystko brali na siebie, dopóki nie dorosłam.

Zmarszczył brwi.

- Nadal mają ranczo?

Twarz jej stężała.

- Trzy lata temu zginęli w katastrofie lotniczej. W jednej chwili straciłam wszystko.

- A niech to.

- Samoloty to podobno najbezpieczniejszy sposób transportu. Pewnie zwykle tak jest - dodała. - Ale i tak ich nienawidzę.

- A ja je uwielbiam - oświadczył. - Sam mam dwa. Z jednego korzystam podczas spędu bydła. Drugi to dwusilnikowa cessna. Latam nią na dłuższe trasy.

- Samoloty na ranczu? - zdziwiła się.

Pokiwał głową, dojadając jajecznicę na bekonie.

- To cholernie wielkie ranczo. Prowadzę też interesy naftowe i sporo podróżuję. Stąd twoja obecność tutaj.

- Lindy zaproponowała, że się mną zajmie - z wyraźną niechęcią wtrąciła Janey. - Ale powiedziałam coś nie tak i od razu dostałam szlaban na telewizję.

- Lindy nie przywykła do dzieci - oświadczył Torrance, pionując córkę wzrokiem. - Ale ty lepiej do niej przywyknij, bo zostanie z nami na długo.

Janey westchnęła.

- Lindy to moja narzeczona - wyjaśnił Torrance, widząc zaciekawioną minę Kariny. - Poznasz ją w swoim czasie.

- Okej - odpowiedziała z uśmiechem.

Nie dostrzegł na jej twarzy rozczarowania i trochę się uspokoił. Nie znał tej kobiety, ale miał nadzieję, że nie przyjęła pracy, bo był zamożny i chciała go upolować. Już to przerabiał.

- Lindy była wyczynową łyżwiarką - kontynuował, nie dostrzegając reakcji Kariny. - Zdobyła medal na zawodach regionalnych.

- Brązowy. I tylko dlatego, że dwie zawodniczki odpadły - mruknęła Janey.

- Przestań! - ofuknął ją Torrance.

- No co? Próbuje mi mówić, jak należy jeździć, ale chyba niezbyt się na tym zna - argumentowała Janey. - Mam całą masę książek o łyżwiarstwie figurowym. Jej skoki są niepewne, bo źle się wybija...

- Zaledwie dziewięć lat, a już ekspertka! - Roześmiał się. - Masz się słuchać Lindy. Ona chce dla ciebie dobrze.

- Tak, tato - odparła Janey z buntowniczą miną.

- Spóźnisz się. Słyszę, że Billy Joe już podjechał i czeka. Dzisiaj to on cię zawiezie.

- Ojej! - wykrzyknęła.

- Uwielbia Billy'ego Joe - wyjaśnił z westchnieniem. - Uczy ją tresury psów, jakby nie dość jej było jazdy na łyżwach. Znalazła też na YouTube kanał do nauki gaelickiego; to jej kolejna mania.

- *Ciamar a tha sibh* - wybełkotała z szerokim uśmiechem Janey. W jej ustach brzmiało to jak: *kamera AHA ziew*.

- A to co niby znaczy? - cierpiętniczo spytał ojciec.

- Jak się masz - odpowiedziała rozpromieniona Janey.

- Ech, marsz do szkoły - jęknął.

- No co ty, tato, nie chcesz, żebym była mądra? - spytała żalonym tonem.

Wstał i pocałował ją w czubek głowy.

- Owszem, chcę. Byle nie za mądra.

- Nie martw się. Przed wyjściem wezmę ogłupiającą tabletkę - odparła zadziornie.

Zaśmiał się i zwrócił do Kariny:

- Widzisz, co będziesz musiała znosić?

- Janey, jesteś niesamowita - powiedziała ze śmiechem.

Na te słowa niebieskie oczy dziewczynki rozbłysły.

- On mówi, że jestem zmorą - stwierdziła Janey, wskazując ojca.

- Bardzo miłą zmorą - poprawił ją.

Uśmiechnęła się szeroko i poszła do pokoju po plecak.

W tej samej chwili krzepki brunet w szerokim kapeluszu, grubej kożuchowej kurtce, dżinsach i długich butach wsunął głowę przez drzwi i krzyknął:

- Hej, Wielki Mike! Co z nią?

- Już idzie - odpowiedział Torrance.

Mężczyzna spojrział na Karinę z uśmiechem.

- A kogo tu mamy?

- To nowa opiekunka. Łapy precz! - rzucił do niego Torrance. - Ta z nami zostaje.

Mężczyzna skrzywił się w grymasie.

- Dałbyś się nacieszyć. - W jego jasnych oczach pojawił się błysk. - Chcesz się nauczyć tresury psów? - spytał Karinę.

Torrance rzucił mu gniewne spojrzenie.

- To działa tylko na zafiksowane dziewięciolatki - zauważył.

- Zawsze warto spróbować - odparł z chichotem.

- Hej, Billy Joe! - z korytarza zawołała Janey. - Już jestem. Pa, tato! Do zobaczenia po szkole - dodała, wychodząc z Billym Joe na prószący śnieg.

Karina spojrzała z zaciekawieniem na szefa.

- Wielki Mike?

- Takie przezwisko - wyjaśnił, wstając. - Na imię mam Michah i jestem duży. Cała filozofia. No, na mnie też już pora.

- Co mam robić, gdy Janey jest w szkole? - spytała.

- Poczytaj. Pucz się francuskiego. Sprawdź na YouTube, jak zwabić kosmitów i upolować Wielką Stopę.

- Och.

- Nie mamy tu sztywnych grafików. Życie na ranczu nie toczy się według zegarka. Miłego dnia.

- Wzajemnie... - zaczęła, ale zanim zdążyła dokończyć, narzucił na siebie płaszcz, chwycił kapelusz i wyszedł, nawet się nie oglądając.

ROZDZIAŁ DRUGI

Karina siedziała w salonie na skórzanej sofie zapatrzona w iPhone'a, na którym czytała książkę, gdy nagle drzwi się otworzyły i do środka weszła jakaś kobieta. Miała krótkie blond włosy i jasnoniebieskie oczy. Wyglądała wypisz, wymaluj jak prezeska jednej z najbogatszych firm z rankingu Fortune 500.

- Gdzie jest Micah? - spytała.

Karina spojrzała na nią w osłupieniu.

- Och! Chodzi pani o pana Torrance'a - odezwała się po chwili. - Przepraszam. Nie wiem, gdzie jest. Pracuję tutaj od wczoraj.

- A ty to kto? - chciała wiedzieć nieznajoma.

Karina zawahała się, ale skoro kobieta weszła ot tak, jak do siebie, to pewnie nie była nikim obcym.

- Nazywam się Karina Carter - odparła. - Pan Torrance zatrudnił mnie do opieki nad córką.

- Ach, ty jesteś tą nową nianią.

Karina rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Zgadza się.

- Ja jestem Lindy Blair - przedstawiła się.

- Aaa, narzeczona pana Torrance'a - powiedziała Karina, kiedy dotarło do niej, z kim rozmawia. - Miło mi poznać.

Lindy Blair wpatrywała się w nią dłuższą chwilę, mierząc ją wzrokiem. Wreszcie złagodniała na twarzy, jakby uznała, że nowa pracownica w niczym jej nie zagraża.

- Micah miał dziś ze mną lecieć do Los Angeles na spotkanie biznesowe.

Karina nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko skinęła głową.

wą.

- Pójdę go poszukać - stwierdziła Lindy. - Pewnie siedzi w oborze z tym cuchnącym bydłem. - Skrzywiła się. - Ma tyle pieniędzy, a pomaga wyciągać rodzące się cielaki. Do czego to doszło...

Wyszła, nadal mamrocząc.

Zatem to jest jego narzeczona, pomyślała Karina.

Sprawiała wrażenie inteligentnej i wyglądała jak bizneswoman. Karina właśnie tak wyobrażała sobie przyszłą żonę bogacza. Lindy była też bardzo ładna i miała zgrabną figurę. Zdawało się jednak, że Janey za nią nie przepada. Może dla dzieci była mniej przyjemna niż dla niej. To oczywiste, że nie zachwyciła jej obecność drugiej kobiety w domu, ale chyba nie widziała w niej zagrożenia.

Dobre sobie, pomyślała w duchu.

Torrance, owszem, był przystojny, ale nic nie wiedziała o mężczyznach i nie po to tu przyjechała. Miała się zająć Janey i obmyślić jakiś plan na przyszłość, gdy już wyleczy kostkę.

Na ranczu było ciele, wymagające specjalnej opieki. Karina odkryła je już w pierwszym tygodniu pracy. Brygadzysta Danny jakiś tam okazał się bardzo pomocny, kiedy spytała, czy może jej pokazać, co jeszcze trzymają w stodole oprócz ciężkiego sprzętu, którym rozwozili paszę i objeżdżali pastwiska.

- Tego używamy do transportu tych wielkich bel siana - wyjaśnił, pokazując palcem w dal. - A tym - wskazał dziwnego pikapa - zaganiamy bydło albo szukamy zwierząt, które odłączyły się od stada.

- Myślałam, że ranczerzy zatrudniają w tym celu kowbojów, którzy jeżdżą konno.

- To prawda, ale stosujemy też inne metody. - Zaśmiał się. - Jeśli chodzi o szefa, to i tak nie do końca jego bajka. W pierwszej kolejności jest biznesmenem i nafciarzem, a ranczo dostał w spadku. Trochę to trwało, ale w końcu je pokochał. Tęskni za wielkim miastem, to widać. Mieszkał tam aż do śmierci ojca, który zostawił mu ten majątek. Zamierzał to

wszystko sprzedać, ale wystosowano delegację.

- Delegację?

- Wszyscy kowboje, brygadziści, weterynarz, kowal, a nawet okoliczni mieszkańcy zebrali się i przyszli błagać, żeby ranczo zostało w rodzinie. Wokół niego ukształtowała się nasza społeczność. To nasze główne źródło utrzymania, a na tym odludziu trudno o dobrze płatną pracę. Dzięki ranczu mamy co włożyć do garnka. Gdy szef to zrozumiał, wycofał ofertę, i od tamtej pory tu mieszka. To było dziesięć lat temu. Można powiedzieć, że zdążył się zadomowić - stwierdził, lecz zaraz się skrzywił. - Ale teraz przymierza się do ślubu z tą rozrzutną blondyną. Pewnie w rok doprowadzi go do ruiny. Jej ostatni mąż wylądował na jakiejś karaibskiej wyspie i oprowadza turystów, bo po rozwodzie ona dostała wszystko. Miała naprawdę dobrego prawnika - dodał ze śmiechem.

- Sprawia wrażenie przyjaznej - wydukała Karina.

- Tak jak kobra... z daleka - zripostował z krzywą miną. - Nie powtarzaj nikomu, że tak powiedziałem. Rozumiesz, tuż przed zimą trudno o nową pracę.

- Nie wydam cię. Jedziemy na jednym wózku. Też byłoby mi trudno coś znaleźć.

- Nie przeszkadza ci to odosobnienie? - spytał, prowadząc Karinę utwardzonym przejściem przez część służącą za oborę.

- Wcale - skłamała. - Ładnie tu - dodała, mijając kilka niewielkich boksów.

Ona również tęskniła za światłami wielkiego miasta, tylko że te, które miała na myśli, były z reflektorów na wielkich lodowych arenach w różnych zakątkach świata. Bardzo jej tego brakowało. Tych świateł, tych braw i tej muzyki... Och, ta muzyka!

- Mamy młodego byczka - przerwał jej rozmyślenia. - Został porzucony przez mamę. Trzymamy go tutaj i karmimy butelką, dopóki nie będzie gotowy na wybieg.

- Och, jest przeuroczy! - wykrzyknęła Karina. Miał czarno-białą sierść i wielkie ślepia, którymi się w nią wpatrywał. -

Mogę go pogłaskać?

- Pewnie. Jest już oswojony i potulny.

- Jak ma na imię? - Spojrzała na niego z figlarnym uśmiechem.

- Clarence. - Lekko się zaczerwienił i odchrząknął. - Nie mów szefowi. Nie cierpi, gdy nadajemy imiona bydłu mięsnemu.

- Bydło mięsne, aj. - Skrzywiła się.

- Możemy wystosować delegację - zasugerował, a Karina wybuchnęła śmiechem.

Usiadła na sianie obok malucha i pogładziła go ręką po łbie. Cielak położył jej głowę na kolanach, rozkoszując się czułym dotykiem.

Tymczasem Micah Torrance wrócił do domu i zdziwił się, nie mogąc znaleźć nowej pracownicy. Burt, jego kucharz i złota rączka, który przyjechał niedawno z zakupami, widział, jak Karina idzie za dom. Zaśmiał się i wskazał szefowi stodołę. Danny właśnie stamtąd wracał.

- Widziałeś nianię? - spytał go Micah.

- Tak. Jest w stodole z Clarence'em. - Urwał i przygryzł wargę na widok rozbawionej miny szefa.

- Z Clarence'em. Na litość boską, nie prowadzimy tu minizoo - rzucił krótko.

- Wiem, proszę pana.

- Clarence - prychnął Micah.

Minął Danny'ego, który ewakuował się do swojego wozu, i ruszył w stronę stodoły. Wszedł do środka i stąpając bezszelstnie po ceglanej ścieżce, dotarł do ostatniego boksu. Karina siedziała na sianie i głaskała małego byczka po łbie, obsypując go czułościami.

Z jakiegoś powodu ten widok go zirytował.

- Nie przypominam sobie, żeby to należało do twoich zajęć - rzucił szorstko.

Zaskoczona zerwała się na nogi, strzepując słomę z dzinsów.

- Panie Torrance! Przepraszam! Byłam ciekawa, co jest w stodole... - odparła, oblewając się rumieńcem.

Przesunął po niej wzrokiem, jakby ją badał wszędobylskimi dłońmi. Jej dzinsy przylegały we wszystkich właściwych miejscach. Miały klasyczny fason, ale nie maskowały kształtnej figury. Podobnie jak jej zielony sweter, który wręcz uwydatniał jędrne drobne piersi. To, jak zareagował na ich widok, wprawiło go w zakłopotanie.

- Janey wróciła ze szkoły - oświadczył, szybko się odwracając. - Chce jechać na lodowisko.

- Tak, panie Torrance.

Wyszła za nim zażenowana, że straciła poczucie czasu. Szeł był niecierpliwym człowiekiem. Miała nadzieję, że kiedyś do tego przywyknie. Przypominał jej dawnego trenera, którego ona i Paul zatrudnili przed kilkoma laty. Uchodził za najlepszego z najlepszych, ale okazał się apodyktycznym furiatem. Gnębił ich niemiłosiernie, stresował i beształ za każdy błąd, który był tego efektem. Znosili jego obelgi przez prawie dwa lata, bo bali się go zwolnić i szukać następcy. Wreszcie przez inny duet łyżwiarski poznali duńskiego trenera, który sprawiał wrażenie miłego, a przede wszystkim nie wrzeszczał, i namówili go, żeby zaczął ich trenować. To dzięki jego pomocy i choreografii zdobyli złoto na mistrzostwach świata. Karina pamiętała, ile nerwów ich kosztowało, żeby powiedzieć swojemu dręczycielowi, że odchodzą. Był wściekły, kiedy się dowiedział, miotał jeszcze gorsze przekleństwa i obelżywe słowa. To było ciężkie rozstanie. Ale musieli to zrobić; nie mogli rozpocząć współpracy z nowym trenerem, dopóki go o tym nie poinformowali. Takie były zasady.

To doświadczenie pozostawiło po sobie trwałe blizny, a Torrance niewiele się różnił od tamtego człowieka. Był tak samo nerwowy, tak samo... warkliwy. Tak, to dobre słowo!

- Warkliwy - wymamrotała pod nosem, maszerując na zimnym wietrze ku werandzie.

Torrance odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem spod ronda

kapelusza.

- Warkliwy?

Zaczerwieniła się.

- Tak sobie tylko... głośno myślę - wydukała.

- Warkliwy. - Prychnął, odwrócił się i podszedł do drzwi. - Gdzie masz płaszcz? - spytał.

- Nie lubię płaszczy - odpowiedziała. - Zimno mi nie przeszkadza.

Obrzucił ją wzrokiem. Przypominała figurę wyrzeźbioną w lodzie. Posągowa, pełna wdzięku i tajemnic. Ta elegancja - tak, to dobre słowo! - wydawała się wrodzona, zupełnie jakby w jej żyłach płynęła królewska krew. Była niczym lodowa księżniczka, spokojna i niezłomna. Dziwne, że tak ją postrzegał. W dodatku nie przestawała się rumienić. Ile mówiła, że ma lat? Dwadzieścia trzy? Czy to możliwe, żeby w tym wieku była jeszcze niewinna?

Nie wiedział, skąd te myśli. W końcu był zaręczony, a jego narzeczona, z pozoru chłodna i oficjalna, była ognistą kobietą. Nie powinien tak patrzeć na inną.

Ta dziwna fascynacja jej osobą tylko go rozzłościła.

- Lodowisko znajduje się tuż za miastem. Jest otwarte do dwudziestej pierwszej, więc zaraz potem wracajcie do domu - poinstruował Karinę. - Masz komórkę?

- Tak, proszę pana.

- Naładowaną? - spytał z błyskiem w oku.

Jakby zgadł... Karina ponownie oblała się rumieńcem.

- W samochodzie mam ładowarkę.

- To zrób z niej użytek - warknął. - Mam nadzieję, że w tej samobieżnej trumnie, którą nazywasz autem, masz jakieś koce, łopatę i wodę.

Odetchnęła głęboko, nim odparła:

- Nie, ale będę mieć.

- Billy Joe cię zaopatrzy. Jeśli utkniesz w śniegu, a tu, wia-

domo, sypie już w październiku, to zadzwoń na ranczo i ktoś po ciebie przyjedzie. Tylko naładuj tę komórkę – przypomniał i spojrział na zegarek. To był rolex. Karina od razu rozpoznała markę. – Muszę jechać po Lindy i na lotnisko. Mamy spotkania w Los Angeles. Opiekuj się moją córką.

– Ma się rozumieć.

Mruknął coś ochryple i wszedł do domu.

– Cześć, tato! – wykrzyknęła Janey i go uściskała. – Znowu wyjeżdżasz? – spytała ze smutnym westchnieniem.

– Jeśli nie będę pracował, nie będziemy mieli co jeść – zauważył. – No i kto nakarmi Billy’ego Joe? Bez niego Dietrich nam zdiczeje i pożre nas wszystkich we śnie.

Janey parsknęła śmiechem.

– Nie zrobiłby tego. Prawda, słodziaku? – zwróciła się do psa, który prawie nigdy jej nie odstępował.

– Bądź miła dla jak-jej-tam – rzucił, spoglądając na Karinę, żeby wiedziała, że nie jest dla niego na tyle ważna, by zapamiętał jej imię.

Owszem, rozumiała aluzję. Była zwykłym meblem.

– Bezpiecznej podróży! – powiedziała z szerokim uśmiechem.

– Tak tylko mówisz, a po cichu pewnie mi życzysz, żebym się potknął o moje wielkie stopy i wylądował twarzą w błocie – odparł uszczypliwie. – Ale nie licz na to. Do zobaczenia. Pewnie jakoś w przyszłym tygodniu. Lindy chce się jeszcze załapać na show w nowym nocnym klubie w LA.

– Pa, tato!

Uśmiechnął się do córki, a potem z narzuconą sobie obojętnością spojrział na Karinę i wszedł.

– Jedziemy na lodowisko? – spytała z ekscytacją Janey, gdy ojciec zniknął za drzwiami. – Nie mogę się już doczekać!

– Wspominałaś wcześniej, że jeszcze nie masz trenera, tak? – spytała w roztargnieniu Karina.

– To prawda – potwierdziła z westchnieniem. – Ale Lindy

czasami mnie uczy. – Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

Karina odwróciła się do dziewczynki i posłała jej uśmiech.

– Potrzebujesz trenera, który pomoże ci opanować podstawy. Czy Lindy nauczyła cię podstawowych elementów? Jazdy na wewnętrznej i zewnętrznej krawędzi, chassé, toe-lo-opów...? – Urwała, bo Janey patrzyła na nią, jakby mówiła po chińsku. – Nic a nic?

Janey wykrzywiła twarz.

– Każe mi robić ósemki na lodzie. O co chodzi z tą wewnętrzną i zewnętrzną krawędzią?

O rany! – pomyślała Karina.

Lindy uczyła Janey starych, obowiązkowych figur. Nie było w tym nic złego, ale do niczego się nie przydadzą, gdyby Janey zaczęła startować w zawodach, nawet takich, które organizowano dla dzieci posiadających zaledwie elementarne umiejętności. Może Lindy, podobnie jak ojciec Janey, uważała, że dla niej to tylko zabawa i sytuacja nie jest na tyle poważna, żeby trzeba było angażować profesjonalnego trenera.

Na widok jej miny Janey posmutniała.

– Nie uczę się tego, co powinnam, prawda? – spytała żalonym tonem.

– Uczysz się tego, co było kiedyś obowiązkowe, lecz od końca lat dziewięćdziesiątych już nie jest. Ale to nic złego – do dała stanowczo. – Te figury uczą cierpliwości i samokontroli. Wiesz, jak wykorzystywać zarówno wewnętrzną, jak i zewnętrzną krawędź?

– Jeszcze raz, co to takiego ta wewnętrzna i zewnętrzna krawędź? – spytała Janey.

Karina westchnęła, po czym oznajmiła:

– Okej. Nauczę cię tyle, ile potrafię. Ale jeśli poważnie myślisz o zawodach, to potrzebujesz prawdziwego trenera. – Zawahała się, obejmując dziewczynkę czułym spojrzeniem. – Łyżwiarstwo figurowe to nie rozrywka, tylko ciężka praca. Ludzie, którzy je uprawiają, podchodzą do tego wręcz obsesyjnie. Każdą wolną minutę spędzają na lodzie i trenują. To

zobowiązanie wobec siebie i ewentualnych sponsorów, które wymaga pełnego zaangażowania. Jeśli cię to wciągnie, nie będziesz miała chwili dla siebie, żadnego życia towarzyskiego – skwitowała.

– Już teraz go nie mam – wyznała z westchnieniem dziewczynka. – Nikt mnie nie lubi z wyjątkiem Bess. Bess jest otyła i jej też dokuczają.

Karina zmarszczyła brwi.

– A dlaczego dokuczają tobie?

Janey spojrzała na nią smutnymi oczami.

– Bo jestem niezdara – oświadczyła. – Ciągle się przewracam i wszystkich to bawi. Któregoś razu się potknęłam i wpadłam na dyrektora, który wylądował głową w wiadrze z pomjami. – Wciągnęła głośno powietrze. – Jestem... no, jestem szkolnym pośmiewiskiem.

Karina przypomniała sobie swoje dzieciństwo. Ona również była niezdarna i inne dzieci się z niej śmiały.

Przysunęła się do Janey.

– Zawsze znajdą się jacyś okrutnicy – powiedziała łagodnie. – Nawet jak dorosniesz. Musisz się nauczyć, jak sobie z nimi radzić. Przechodzisz właśnie trudny okres w życiu, ale z wiekiem będzie łatwiej. Naprawdę, przyrzekam.

– Tobie też dokuczali w szkole? – spytała Janey.

– Odkąd pamiętam – odparła z uśmiechem. – Miałam pewne hobby, które było moją obsesją. Moi rówieśnicy uważali, że jestem dziwna i głupia. Musiałam się nauczyć, jak zachować równowagę między tym, co robiłam po szkole, a tym, co powinnam robić w szkole. Co wieczór przysiadałam do nauki i poprawiałam oceny.

– Co to za hobby?

– A takie jedno. Nic szczególnego – dodała, żeby uciąć dalsze pytania. – Powinnyśmy już jechać.

– Okej. – Janey chwyciła torbę z łyżwami i spojrzała na Karinę. – Znasz się na jeździe figurowej?

Karina skinęła głową.

- Moja mama startowała w zawodach. - Przemilczała fakt, że była mistrzynią olimpijską, i to dwukrotną.

- Ty też jeździsz, prawda? To znaczy jeśli możesz - poprawiła się Janey, spoglądając na jej ortezę.

- Owszem.

- Chciałabym, żebyś jeździła ze mną. Nie będziesz na mnie krzyczała, jak zrobię coś nie tak, prawda? - Uśmiechnęła się z rezygnacją.

Lindy najwyraźniej krzyczała, a nie tak należy uczyć. Trzeba być miłym, ale również konkretnym, i w taki sposób przekazywać wiedzę, żeby uczeń - w tym przypadku początkująca na lodowisku dziewięciolatka - zrozumiał, o czym mowa i czego się od niego wymaga.

- Ja nigdy nie krzyczę - odparła.

- Jak tata wróci do domu, to znów zacznę go męczyć o trenera - stwierdziła Janey, gdy wsiadły do auta i ruszyły długim podjazdem prowadzącym do szosy. - Tylko że jego nigdy nie ma.

- To duże ranczo i mnóstwo przy nim roboty - zauważyła Karina.

- Racja, no i ma jeszcze te swoje firmy i rafinerie naftowe - wyjaśniła Janey. - Ale wolałabym, żeby zarabiał mniej, za to częściej bywał w domu.

- On pewnie też by tego chciał.

- Dobrze, że przynajmniej mam ciebie - oznajmiła z uśmiechem dziewczynka. - Jestem pewna, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Karinie od razu poprawił się humor, a jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Lodowisko było prawie puste, ale nic dziwnego, skoro był środek tygodnia i wiele dzieci ślęczało w domu nad podręcznikami. Rodzice Kariny również nie odpuszczali i nalegali, żeby co wieczór przysiadła do lekcji, nawet jeśli przez to miało jej przepaść kilka godzin treningu.

To jednak nie służyło interesom. Żeby się utrzymać, lodowisko powinno przyciągać wielu łyżwiarzy. Byłoby szkoda, gdyby trzeba było je zamknąć z powodu braku stałych bywalców.

Karina zmarszczyła brwi. W środku nie grała żadna muzyka. I najwyraźniej nie było też wypożyczalni łyżew. Swoje zostawiła w wynajętym mieszkaniu, które opłaciła z góry za cały rok, gdy jeszcze dobrze jej się wiodło. Nie chciała się go pozbywać, w razie gdyby nie wyszło jej z tą pracą i musiała szukać nowej. To było mądre i przezorne z jej strony.

Ale nie wzięła ze sobą łyżew. Cóż, w sumie dobrze. Była zbyt przerażona, by wrócić na lód; bała się, że znów złamie kostkę. Kryła się za laską i ortezą, które traktowała jako wymówkę, żeby unikać lodowiska. Ale jej terapeuta sportowy nie widział żadnych przeciwwskazań. Twierdził, że musi jedynie przezwyciężyć strach.

Westchnęła na to wspomnienie.

- Szkoda, że nie możemy jeździć razem - rzuciła Janey, kiedy Karina pomagała jej zasznurować łyżwy. - Hmm, Lindy wiąże je inaczej - dodała, marszcząc czoło.

Karina również się zasepiła. Nie była zachwycona tym, na jakich łyżwach jeździ Janey. Nie powinna tak zaczynać nauki.

- Dlaczego jeździsz na hokejówkach? - spytała.

- Hokejówkach? - powtórzyła zdziwiona Janey, spoglądając na swoje stopy.

- Owszem. Te nie mają ząbków na czubku. Nie możesz w nich skakać. - Na widok smutnej miny dziewczynki poczuła się głupio. - Przepraszam, nie powinnam była o tym wspominać.

- Lindy powiedziała, że takie mi wystarczą, bo i tak niczego się nie nauczę - powiedziała z westchnieniem Janey.

Karinie podskoczyło ciśnienie, ale zachowała spokój.

- Każdy może się nauczyć jazdy na łyżwach. To kwestia ćwiczeń.

- Niezdara ze mnie. Ciągle się wywracam.

Karina skończyła sznurować.

- Wiesz, jak bezpiecznie upadać?

Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy.

Karina wstała i zademonstrowała, jak to należy robić, przyciągając do piersi rękę i brodę.

- Jeśli to możliwe, staraj się przewracać na bok, żeby nie złamać nadgarstków, próbując zamortyzować upadek rękami - wyjaśniła. - Należy się też pochylić do przodu, żeby nie polecieć do tyłu i nie uderzyć głową o lód. - Zawahała się, lecz po chwili dodała: - Właściwie to w trakcie nauki powinnaś nosić kask.

- Ale nikt tu nie nosi kasków! - zaproponowała Janey.

- Dobra, porozmawiamy o tym później - rzuciła pojednawczo Karina. - A w ten sposób wstaje się z tafla - kontynuowała, klękając na podłodze. Podciągnęła jedną nogę, oparła się o nią obiema dłońmi i wyprostowała, przenosząc ciężar na zgięte kolano i dostawiając drugą nogę.

- Wow! - wykrzyknęła Janey. - Niesamowite!

Karina uśmiechnęła się, widząc zachwyt na twarzy dziecka. Ona też się tak czuła, gdy po raz pierwszy w wieku trzech lat mama zabrała ją na łyżwy.

- Pamiętaj o wkładkach do butów. Dzięki nim nie obetrzesz sobie kostek - zaznaczyła, przekazując dziewczynce okupioną bólem wiedzę. - Cieszę się, że przynajmniej je masz.

- Lindy powiedziała, że bez nich zrobią mi się pęcherze.

- Te łyżwy są bardzo sztywne. Nowe?

- Tak - potwierdziła Janey.

- Są specjalne piecyki do termoformowania, dzięki którym można dopasować łyżwy do stopy. Nie wiem, czy akurat tu, ale na pewno jest taki na lodowisku w Jackson Hole.

- Tata nie będzie miał czasu, żeby ze mną jechać tak daleko - ze smutkiem powiedziała dziewczynka. - Ciągle tylko praca i praca.

- Coś wymyślimy. Tymczasem spróbujemy je rozbić stopniowo. Zanim włożysz łyżwy, dobrze, żebyś trochę rozruszała

kostki.

- Sporo wiesz na ten temat.

- Wiem to od mamy - odparła z uśmiechem Karina. - To ona mnie uczyła.

- Ja nic nie umiem. Ledwo się utrzymuję na łyżwach. Z początku nie umiałam na nich nawet stać. Ale Lindy kazała mi rozstawić nogi i wykrzywić je w kostkach. Tak czuję się pewnie.

- To niebezpieczne - zauważyła Karina. - Należy zawsze stać prosto, ze złączonymi stopami. Umiesz robić „beczki” i przekładanki?

- Możesz mówić po ludzku? - rzuciła półzartem Janey.

Karina parsknęła śmiechem.

- Widzisz tamtą dziewczynę, tę w czarnym stroju? Właśnie robi „beczki” do tyłu.

Janey spojrzała we wskazanym kierunku.

- Rany, ja w ogóle nie umiem jeździć do tyłu.

Najwyraźniej Lindy nie zależało na tym, żeby ją czegokolwiek nauczyć. Szkoda.

- Wyjdź już na taflę. Trzymaj się bandy i po prostu przesu-
waj się wzdłuż niej. Stopy razem. Pochyl się do przodu i trzy-
maj barierki. Zaraz wrócę. Chcę porozmawiać z właścicielką
lodowiska. Podobno kiedyś trenowała łyżwiarzy.

- Taka jedna starsza dziewczyna ze szkoły ma z nią lekcje -
oświadczyła Janey, po czym dodała: - Ta pani pochodzi z Nie-
miec. Tamtą dziewczyną mówiła, że jest miła i bardzo cierpli-
wa.

- Zamienię z nią tylko dwa słowa. Nie rozpędzaj się -
ostrzegła. - Stopy razem, kolana lekko ugięte, ciało pochylo-
ne do przodu, ale nie za bardzo. Pięty złączone, palce na ze-
wnątrz. Poruszaj się jak pingwin i trzymaj się bandy.

- Nie zapamiętam wszystkiego!

- Dasz radę. Jak się nauczyłaś gaelickiego?

- Powtarzałam w kółko te same zwroty, aż wreszcie zapadły mi w pamięć.

- Z jazdą na łyżwach jest tak samo. Uczymy się przez powtarzanie. Spróbuj, a ja poszukam właścicielki.

- Okej. Dziękuję!

- Nie ma za co - odparła z uśmiechem.

Janey ostrożnie ruszyła na lód, a Karina pokuśtykała o lasce do biura. To była wielka hala, więc się mocno zmęczyła.

Straciłam formę, pomyślała, bo gdy dotarła do biura, była zdyszana.

Zapukała do pokoju.

- Proszę - odezwała się jakaś kobieta z silnym niemieckim akcentem.

Karina weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi, a kiedy się odwróciła, aż zachłysnęła się powietrzem.

- Pani Meyer! - wykrzyknęła zaskoczona.

Hilde Meyer oderwała wzrok od komputera i na widok znajomej twarzy rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Karina! - zawołała radośnie, wybiegła zza biurka i zamknęła ją w objęciach. - Och, kochana, tak mi przykro z powodu tego, co cię spotkało!

Karina walczyła ze łzami.

- Lekarz zatrudniony na lodowisku, na którym miałam wypadek, mówił, że powinnam zapomnieć o dalszej jeździe na łyżwach.

Pani Meyer odchyliła się zniesmaczona.

- Tak mówi większość lekarzy, kiedy ktoś się połamie - prychnęła. - Od jednego usłyszałam to samo w ostatnim roku mojej sportowej kariery. Zignorowałam go, a miesiąc później zdobyłam srebro na mistrzostwach świata. - Zachichotała. - Ale wracając do ciebie. Co tu właściwie robisz?

- Opiekuję się dziewięciolatką, której ojciec ma tu ranczo. Proszę nikomu o mnie nie mówić - dodała cicho. - Nie chcę,

żeby inni wiedzieli.

- Wiesz, że w Jackson Hole jesteś prawdziwą legendą? - rzuciła prowokacyjnie trenerka. - Wszystkich tam rozpieła duma, kiedy ty i Paul zostaliście mistrzami świata.

Karina westchnęła.

- W tym roku Paul spróbuje sił z nową partnerką. Niezbyt mu się to uśmiecha. Stracimy przez to stypendium, ale powiedziała mi, że nie ma wyboru, jeśli chce dalej startować. Nie wiem, czy kiedykolwiek wrócę na lód - wyznała. - Ech, brakuje mi Paula. Tworzyliśmy zgraną parę.

- Mieliście szansę na olimpijskie złoto. - Hilde Meyer skrzywiła się, zawieszając wzrok na ortezie Kariny. - Paskudnie wtedy upadłaś. Mam nadzieję, że chodzisz na fizjoterapię. Moim zdaniem powinnaś wrócić do treningów, gdy tylko będziesz w stanie - dodała stanowczo. - Im dłużej będziesz zwlekać, tym będzie trudniej.

- Boję się - przyznała ze wstydem Karina. - Wciąż słyszę ten trzask łamanych kości. Że też musiało paść na nogę, na której zwykle ląduję.

- Wszyscy miewamy wypadki, które wyłączają nas z rywalizacji. Czasami na rok, czasami na dwa lata... - pocieszała ją trenerka. - Ale prawdziwy mistrz nie zniechęca się przez byle kontuzję. Szczerze mówiąc, Karino, przez te wszystkie lata los obchodził się z tobą łaskawie. To był twój pierwszy poważny wypadek. Większość z nas zaliczyła ich dużo więcej.

Karina uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Kto wie. U mnie najczęściej kończyło się tylko na siniakach, pewnie dlatego trudno mi wrócić po tak długiej przerwie. Nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Powiedziałałam naszemu trenerowi, że skończyłam z łyżwiarstwem.

- Powinnaś nabrać większego dystansu, bo tamte wspomnienia wciąż są żywe i bolesne. Musisz dojść do siebie, ale w końcu się pozbierasz. Jeśli mogę jakoś pomóc, to chętnie to zrobię. Wiesz, gdy zakończyłam karierę łyżwiarską, zostałam trenerką. Wydaje mi się, że byłam w tym dobra, ale powiedziano mi, że moja choreografia jest przestarzała i niecieka-

wa. Moi podopieczni odeszli do trenerów wyznających nowe trendy. Dlatego zrezygnowałam - wyznała ze smutkiem. - A potem usłyszałam, że to lodowisko jest na sprzedaż. Przez ten czas, jak uprawiałam łyżwiarstwo i dobrze zarabiałam, udało mi się sporo zaoszczędzić. - Rozejrzała się dookoła i rozpostarła ramiona. - I proszę, tak to się skończyło - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

- Pani choreografia była niesamowita - stwierdziła Karina.
- Dwie olimpijskie pary, które pani trenowała, wróciły z igrzysk z medalami - przypomniała. - Ich układy były podobne do tych, które wykonywałam z Paulem. Tylko dużo lepsze.

- Znam waszego trenera. Jest dobry, ale za mało wymaga od zawodników.

- To samo powiedział Paul po tym, jak w Soczi zajęliśmy ósme miejsce.

- Oglądałam wasze występy - oznajmiła pani Meyer. - Rzeczywiście, parę rzeczy bym w nich zmieniła.

- Nasz trener był wtedy związany z pewną łyżwiarką - zauważyła ze śmiechem Karina. - Skupiał się bardziej na niej niż na naszej choreografii.

- Wielka szkoda. Miałaś talent. Mogłaś zejść naprawdę wysoko. A Paul! Co za gracia i sprawność fizyczna! Podnosił cię tak, jakbyś była piórkiem. Dobrze słyszałam, że jest teraz w Kolorado i trenuje z Garnerówną? - Pokręciła głową. - Ta dziewczyna potrafi skakać, jest świetną atletką, ale nie ma za grosz wdzięku. I jeszcze te wszystkie kolczyki, tatuaże i kolorowe włosy rodem z karnawału. Poza tym ma niewłaściwe nastawienie. Paul może mieć z nią problem. Jest taki jak ty, skarbie. Nie lubi konfliktowych ludzi.

- To prawda, też ich nie lubię - przyznała Karina.

- I gdzie jej do twojej elegancji! Ty się z nią urodziłaś. Pamiętam twoją matkę - dodała ze smutnym uśmiechem. - Była z ciebie taka dumna.

- Nadal mi jej brakuje. Jej i taty. Tyle się dla mnie wyrzekli, żebyśmy mogła dalej jeździć. - Nie wspomniała, że wciąż mie-

wa koszmary o tym, jak zginęli, choć od katastrofy minęły już trzy lata.

- Rodzice są zdolni do wielu wyrzeczeń dla swoich dzieci. Razem z moim świętej pamięci mężem nie doczekaliśmy się własnych. Dlatego „zaadoptowałam” łyżwiarzy - dodała z szerokim uśmiechem. - Poza tym założyłam tu klub łyżwiarski i zamierzam zatrudnić instruktora, który pomoże początkującym w ramach programu nauki jazdy sponsorowanego przez Związek Łyżwiarstwa Figurowego.

- To krok we właściwym kierunku - ucieszyła się Karina. - Myśli pani o kimś konkretnym?

- Owszem. Za tydzień mam z nim rozmowę. Zaszedł wysoko w mistrzostwach świata, a na ostatnich igrzyskach zajął dziesiąte miejsce w konkurencji solistów.

Karina pokiwała głową. Aż tak jej to nie interesowało.

- Tęsknię za jazdą - powiedziała z westchnieniem, spoglądając na ortezę. - Lekarz powiedział, że w tym miesiącu mogę już wrócić na lód. Ale nie przywiozłam ze sobą łyżew. Nie można ich tu wypożyczyć, prawda?

- Gdy kupowałam to lodowisko, wypożyczalnia wydała mi się zbędnym wydatkiem.

Karina przechyliła głowę.

- Myślę, że wiele osób nie chce wydawać pieniędzy na łyżwy i wszystkie akcesoria - zauważyła. - Zwłaszcza przygodni łyżwiarze. Wynajem sprzętu zwiększyłby ruch.

- Tak sądzisz? - spytała pani Meyer.

- Jak najbardziej. Wypożyczalnia to gwarantowany wzrost dochodów. Gdyby ludzie nie musieli inwestować w sprzęt, chętniej by się zapisali na płatne zajęcia sportowe.

Oczy pani Meyer rozbłysły.

- Na pewno to rozważę.

- Jeszcze jedno - zaczęła, ale się zawahała. - Przepraszam, że się wtrącam...

- O co chodzi? - przerwała jej zaciekawiona trenerka.

- Cóż, o muzykę.

- Nie mamy muzyki - oświadczyła, marszcząc brwi.

- Wiem. W tym sęk. Zazwyczaj na lodowiskach puszcza się muzykę, głównie z myślą o młodszych łyżwiarzach. Ale tak w ogóle dobrze się jeździ do muzyki, zwłaszcza różnorodnej. Lodowiska mają też swoich spikerów, którzy na zmianę zapraszają na taflę innych ćwiczących: to solistów, to solistki, to pary.

- Muzyka i spiker - powtórzyła Meyer. - Nie zastanawiałam się wcześniej nad muzyką, choć okablowanie i głośniki już są. Można by dać jakiś miks muzyki klasycznej i popu - rzuciła w zamyśleniu.

Karina wyszczerzyła się w uśmiechu, ale szybko dodała:

- Mam nadzieję, że pani nie uraziłam. Nie miałam zamiaru pani krytykować.

- Konstrukttywne sugestie to nie krytyka. Byłoby miło, gdyby ten biznes zaczął przynosić zyski - oznajmiła ze smutkiem.
- Owszem, nie spodziewałam się tłumów, kiedy kupowałam to lodowisko, ale... - Wymownie urwała.

- Myślę, że wystarczy wprowadzić kilka zmian, żeby inwestycja się opłaciła nawet w tak małej miejscinie jak Catelow. Na północ od Jackson Hole nie ma zbyt wielu lodowisk. Można z tego zrobić bardzo rentowny biznes. Warto również rozważyć rozreklamowanie lodowiska i klubu łyżwiarskiego w lokalnych gazetach. To zachęci ludzi do zapisów, zwłaszcza że dzięki członkostwu będą mogli startować w zawodach i zdawać testy na wyższe poziomy.

Pani Meyer wstrzymała oddech.

- Wspaniały pomysł! - wykrzyknęła. - Karina, jesteś niesamowita!

- Oj tam. - Zachichotała. - Jestem po prostu spostrzegawcza. Bardzo bym chciała, żeby się pani powiodło. Na pewno wielu aspirujących łyżwiarzy byłoby zawiedzionych, gdyby musieli tłuc się na lodowisko aż do Jackson Hole.

- Zgadza się. To jeden z powodów, dla których kupiłam ten

obiekt. – Pokiwała głową. – Rozważę te wszystkie zmiany... jeśli ty rozważysz powrót do łyżwiarstwa.

Karina westchnęła.

– To będzie bardzo trudne.

– Jak większość rzeczy wartych zachodu. Masz wspaniały dar. Ta pewność siebie i gracia na lodzie... Szkoda by było, gdybyś go zaprzepaściła tylko dlatego, że nie zdołałaś przełamać strachu.

– Może ma pani rację. – Zawahała się, ale w końcu dodała: – Właściwie to przyszedłam do pani w innej sprawie. Opiekuję się małą dziewczynką. Jej ojciec zatrudnił mnie jako nianię, bo sam często wyjeżdża. Ona chce jeździć na łyżwach. Jej przyszła macocha uczyła ją tylko dawnych obowiązkowych figur. Mała nie zna żadnych podstawowych elementów, które będzie musiała wykonywać na zawodach, jeśli do tego dojdzie. Potrzebuje trenera z prawdziwego zdarzenia. Ja mogę jej pokazać, co i jak, ale żadna ze mnie trenerka.

– To chyba dobrze, że za tydzień spotykam się z kandydatem na instruktora, *ja*? – spytała ze śmiechem pani Meyer.

– W rzeczy samej. W takim razie muszę tylko przekonać jej ojca, żeby opłacił lekcje. Ale to nie powinno być trudne. Jest zamożny.

– Pieniądze się przydadzą, jeśli jego córka faktycznie chce startować w zawodach.

– Coś o tym wiem – rzuciła z westchnieniem Karina. – Kiedy z Paulem przygotowywaliśmy się do mistrzostw świata, na sprzęt, podróże, łyżwy i kostiumy wydawaliśmy rocznie ponad sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Łyżwiarstwo to kosztowny sport, zwłaszcza na wyższym poziomie. Kiedy awansowaliśmy do zawodów seniorów, a potem do mistrzostw krajowych, moi rodzice zaciągnęli drugą hipotekę, żeby to wszystko opłacić. Ale nawet jeśli ma się stypendium sportowe, większości zawodników i tak nie stać na pokrycie związanych z tym kosztów.

– To prawda – zgodziła się Hilde Meyer. – Ale wracając do tej dziewczynki, to nikt nie nauczy jej lepiej niż mistrzyni

świata. Przynajmniej dopóki nie zatrudnię trenera.

Karina była w rozterce.

- Musiałabym wyjść z nią na lód, a narzeczona pana Torrance'a może sobie nie życzyć, żebym się wtrącała.

- Dziewczynka, którą się opiekujesz, to Janey Torrance, tak? - cicho spytała Hilde. - Ta kobieta zaczęła ją tu przyprawiać jakieś dwa miesiące temu. Ćwiczy z nią tylko raz w tygodniu. - Pokręciła głową. - Beszta ją i krytykuje za każdy błąd. Nie tak powinna wyglądać nauka. Poza tym to, jak ją uczy, też pozostawia wiele do życzenia. Dziewczynka zaliczyła niejednego upadek dzięki jej tak zwanemu instruktażowi.

- Zobaczę, co da się z tym zrobić - oznajmiła Karina. - Mała uwielbia ten sport, ale nie każdy jest do tego stworzony. Zanim ją do tego zachęcę, najpierw chcę sprawdzić, co potrafi. Jeśli się okaże, że ma talent i zapał, chętnie ją potrenuję. - Skrzywiła się. - Tylko że nigdy tego nie robiłam.

- Spróbuj. Tylko przez jakiś tydzień - oznajmiła pani Meyer, a jej oczy rozbłysły. - Później przekażesz pałeczkę nowemu trenerowi.

- No dobrze - odparła z uśmiechem Karina.

Klamka zapadła.

To oznaczało, że musi pojechać do Jackson po łyżwy. Do tego czasu instruowała Janey z za bandy, co wcale nie było łatwe, zwłaszcza podczas pierwszych żmudnych prób zrobienia „beczek”. Do przodu szło jej całkiem nieźle, ale do tyłu... to już inna para kaloszy.

Dlatego gdy tylko Torrance wrócił z podróży służbowej, Karina zwróciła się z prośbą o kilka godzin wolnego.

- Po co? - spytał szorstko. - Już ci się znudziło?

- Muszę pojechać do swojego mieszkania po łyżwy - wyjaśniła. - Właścicielka lodowiska nie prowadzi wypożyczalni.

- Jak zamierza utrzymać ten biznes, skoro nie ma wypożyczalni sprzętu? - zdziwił się.

- Pytałam ją o to. Mówi, że planuje to zmienić.

- Oby cała ta inwestycja się opłaciła. Ostatni właściciel po prostu machnął na to ręką. A ona sprawia wrażenie, jakby nie miała pojęcia, co robi.

- Wszystkiego trzeba się nauczyć - stwierdziła wyrozumiale Karina. - Janey na pewno chce się uczyć - dodała po chwili. - Ale powinna mieć prawdziwego trenera. W przyszłym tygodniu pani Meyer ma się spotkać z kandydatem, który jej zdaniem się nadaje. - Spojrzała na niego spokojnym, cierpliwym wzrokiem, a gdy odwzajemnił jej spojrzenie, poczuła nagły dreszcz. Natychmiast spuściła oczy, zaniepokojona szybszym biciem serca. - Jeśli Janey myśli poważnie o zawodach, powinna wstąpić do klubu łyżwiarskiego. Inaczej nie pozwolą jej zdawać testów. Powinna się też zapisać do Związku Łyżwiarstwa Figurowego. Członkostwo daje dodatkowe korzyści.

- Lodowisko nie zatrudnia instruktorów - skomentował, ignorując wszystko, co powiedziała. - Już pytałem. Dlatego Lindy próbuje ją czegoś nauczyć.

Skrzywiła się.

- Wyduś to! - rzucił na widok jej miny i podszedł bliżej, a gdy Karina przygryzła dolną wargę, dodał: - Okej. Najwyraźniej Lindy robi coś, co ci się nie podoba, ale boisz się powiedzieć, bo myślisz, że wpadnę w złość i cię wyleję.

Otworzyła szeroko oczy.

- Jest pan jasnowidzem? - wysnęło jej się.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze wygrywam w pokera, więc kto wie. No mów. Co Lindy robi nie tak?

- Uczy Janey dawnych obowiązkowych figur, które pod koniec lat dziewięćdziesiątych wypadły z programu zawodów i nie są już wymagane - oświadczyła. - Nie żeby było w tym coś złego. Te figury wyrabiają dyscyplinę. Ale jeśli Janey chce jeździć na zawody, to powinna nauczyć się „beczek”, przekładanek, loopów i flipów...

- Widzę, że coś o tym wiesz - zauważył.

- Jeżdżę na łyżwach prawie od urodzenia - odpowiedziała. -

Moja znajoma startowała w zawodach – skłamała.

- To może ty będziesz ją uczyć?

Spojrzała na niego wzrokiem pełnym obawy.

- Złamałaś nogę w kostce i teraz boisz się wrócić na lód? – zgadł, sprawiając, że się zaczerwieniła. – Kiedy spadnie się z konia, trzeba od razu na niego wsiąść, w przeciwnym razie strach zwycięży. I człowiek już nigdy nie wróci na siodło. W któreś wakacje, gdy miałem sześć lat, zrzucił mnie wierzchowiec i złamałem sobie obojczyk. Bałem się potem zbliżać do koni, a co dopiero na nich jeździć. Ale tu, na ranczu, każdy ma jakieś obowiązki. Nawet taki sześciolatek. Mój ojciec był bardzo wymagający. Gdy tylko lekarz dał mi zielone światło, ojciec wsadził mnie z powrotem na siodło i odesłał do pomocy przy znakowaniu bydła. – Uśmiechnął się tęsknie. – To była dla mnie trudna lekcja, ale teraz wiem, że przed strachem nie ma ucieczki. Trzeba stawić mu czoło.

- No, chyba – stwierdziła, wbijając wzrok z kontuzjowaną stopę. – Zabiorę swoje łyżwy i spróbuję ją czegoś nauczyć, o ile pańska narzeczona nie będzie mieć nic przeciwko.

- Nie będzie. Nie ma ręki do dzieci, poza tym jest niecierpliwa. Któregoś razu Janey wróciła do domu zapłakana, bo Lindy na nią nawrzeszczała.

Karina zagotowała się w środku ze złości.

- Krzykiem niczego się nie osiągnie.

- Wiem. Ty nigdy nie krzyczysz, prawda? – Uśmiechnął się, a jego brązowe oczy zabłysły.

- Nie – przyznała. – Nigdy.

- Nie przejmuj się Lindy – oznajmił. – Wszystko załatwię. To ja ją do tego namówiłem, bo Janey tak bardzo na tym zależało. Bądź co bądź Lindy zdobyła medal na zawodach regionalnych. Wie wszystko o łyżwiarstwie.

Karina mogłaby z tym polemizować, ale bała się, że się zde-maskuje. Nie chciała, żeby ktoś wiedział o jej mistrzowskiej karierze. Miała już dość wiecznych pytań. Po kontuzji reporterzy nie dawali jej spokoju, niektórzy byli naprawdę okrutni.

Skończyła z tym na dobre.

- Powiesz coś?

- Przepraszam. Zamyśliłam się. - Podniosła wzrok i spojrzała z zaciekawieniem w jego ciemne, łagodne oczy. - Dlaczego Lindy nie lubi dzieci? - spytała bez namysłu.

- Jest biznesmenką. Nie widujemy się za często i pewnie tylko dlatego jakoś się dogadujemy - wyjaśnił ze śmiechem. - Liczę, że po ślubie trochę złagodnieje. Chciałbym mieć więcej dzieci, ale ona raczej nie ma ich w planach. Cóż, chyba jedno będzie musiało wystarczyć.

- Szkoda - odparła cicho. Wyglądał na faceta, który chętnie powitałby w domu gromadkę dzieci. Uśmiechnęła się na myśl o tych wszystkich maluchach dokazujących na lodowiskach, na których sama trenowała.

- Chciałabym kiedyś mieć dzieci. Całe mnóstwo.

Zmarszczył brwi.

- Ile masz lat? Dwadzieścia trzy? Dlaczego nie masz męża albo chłopaka?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie chciała zdradzać mu prawdy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Micah utkwiał wzrok w szarych, życzliwych oczach Kariny, i z miejsca się w nich zatracił. To było coś nowego. Nawet Lindy, która w sypialni była gorąca jak wulkan, nie miała w sobie tyle ciepła. Była wymagająca, porywcza, namiętna, ale nie troskliwa. I nie chciała mieć dzieci.

Za to ta kobieta emanowała czułością, jaką rzadko się spotyka. Swoją świętej pamięci żonę Anabelle poślubił pod wpływem impulsu, bo była świetna w łóżku, a jej rodzina cieszyła się takim samym statusem i była równie majątna jak jego. To była raczej fuzja niż małżeństwo, pomimo cudownego zrządzenia losu, jakim były narodziny Janey. Micah nie mógł się jej doczekać od chwili, kiedy dowiedział się o ciąży. Anabelle wręcz przeciwnie; próbowała go przekonać, żeby zgodził się na aborcję, ale twardo oświadczył, że sam zajmie się dzieckiem. Miała je tylko urodzić.

Anabelle z bólem donosiła ciążę i urodziła dziewczynkę. Gdy Janey przyszła na świat, Micah nie posiadał się ze szczęścia i zajął się nią zgodnie z danym słowem. Najął do pomocy pielęgniarkę, która mieszkała z nimi przez kilka pierwszych miesięcy i opiekowała się Janey, podczas gdy on pilnował interesów. Anabelle nie zważała na córkę. Wyłączyła się z przyjaciółmi w dalekie rejsy i zdawała się w ogóle nie przejmować tym, że w domu ma maleńkie dziecko, które potrzebowało obojga rodziców.

A kilka lat później zginęła w katastrofie. Micah obwinał się za jej śmierć i nie mógł dojść z tym do ładu. Po tej tragedii córka stała się jego największą pociechą. Burt, starszy jego mość około sześćdziesiątki, który zajmował się domem i gotował dla całej rodziny, pomagał w jej wychowaniu. Ale w miarę jak biznes Micaha się rozwijał, a Janey znajdowała sobie coraz to nowe hobby, to wszystko zaczęło go przerastać. Nie nadążał ze swoimi obowiązkami i wożeniem dziewczynki na liczne zajęcia, zwłaszcza zimą, kiedy śnieg utrudniał jazdę.

A zima znów zbliżała się wielkimi krokami. Poprosił więc szeffa o pomoc. Micah zamieścił ogłoszenie i tak oto Karina została opiekunką Janey.

Gdy Micah ujrzał ją po raz pierwszy, nie był pewny, czy się do tego nadaje. Karina leczyła kontuzję i chodziła o lasce. Ale Janey ją polubiła. I to było najważniejsze. Jednak wciąż czuł się niekomfortowo z myślą, że jego córka będzie sama na lodowisku. Niektórzy jeździli jak wariaci, nie dbając o to, że dziecko, które dopiero stawia pierwsze kroki na lodzie, nie radzi sobie na tyle, żeby uniknąć kolizji. Upadek mógł się źle skończyć. Lindy opowiadała, podając za przykład znajomych, że nawet o własne łyżwy można się nieźle pokaleczyć, a co dopiero o czyjeś. Trzeba się liczyć ze stłuczeniami i siniakami czy wręcz z połamanymi kośćmi.

Spojrzał wymownie na kostkę Kariny. Jej kontuzja była jawnym dowodem na to, że nie powinna się zbliżać do lodowiska.

Czy ona w ogóle umie jeździć na łyżwach? – pomyślał.

Widząc, w co się wpatruje, Karina wzięła głęboki oddech i powiedziała łagodnie:

– Panie Torrance, wiem, że nie wyglądam, jakbym była w stanie przypilnować Janey na lodowisku. Ale mogę jeździć... tak jakby – dodała przez zaciśnięte zęby, bo drżała już na samą myśl o powrocie na lód. – Obiecuję, że pod moim okiem będzie bezpieczna.

– Twoja noga...

– Już prawie wyleczona – przyznała cicho, choć niechętnie, bo nie miała już wymówki. – Mogę na niej stawać. Codziennie ją ćwiczę i wzmacniam. Ortezę noszę z przyzwyczajenia – wyjaśniła, spuszczać wzrok. – Laska pomaga jedynie utrzymać równowagę. Ale umiem jeździć na łyżwach. Mama mnie nauczyła wiele lat temu. Dam sobie radę.

Tak sądzę, dodała w myślach.

Wiedział, że kręci. Pewnie potrzebowała tej pracy. Byстрыm okiem zauważył, że nosi zwykłe rzeczy ze zwykłych sklepów. Ten markowy strój, w którym się pojawiła pierwszego dnia, zapewne był takim na specjalne okazje. Teraz w kółko chodzi-

ła w dzinsach i swetrach. A jej wóz, choć w dobrym stanie, miał już swoje lata. Nie byłoby jej tutaj, gdyby mogła robić coś innego poza opieką nad dzieckiem. Mógł jej przynajmniej dać szansę.

- W porządku - powiedział po namyśle. - Ale jeśli nie będziesz się czuła na siłach, daj mi znać. Poproszę Lindy, żeby zabrała ją na lodowisko.

Po moim trupie, pomyślała Karina. Ktoś, kto ją strofuje na każdym kroku, to najgorsze, co mogło ją spotkać. Przecież to normalne, że początkujący łyżwiarze popełniają mnóstwo błędów.

Uśmiechnęła się jednak i wydusiła:

- Oczywiście. Tak zrobię.

- Jadę do sklepu! - zawołał z kuchni Burt. - Jakies życzenia?

- Ja niczego nie potrzebuję - odparła z uśmiechem Karina.

- Ja też - odezwał się Torrance. - Uważaj, żebyś nie wylądował w zaspie. Przez noc nasypało sporo śniegu. Jest ślisko jak cholera.

Burt się skrzywił.

- Będę się trzymał kolein. - Podniósł rękę na znak pożegnania i wyszedł.

Karina lubiła Burta, który również tu mieszkał i był specem od wszystkiego. Wspaniały kucharz, znakomity szachista, poeta i wieloletni pracownik, ostoja tego skądinąd wielkiego domu. Raz w tygodniu miejscowa firma sprzątająca przysyłała swoich ludzi, żeby wypucowali wszystko na wysoki połysk. Tamci szorowali, polerowali i czyścili, a Burt zmieniał pościel, przyrządzał posiłki i odbierał telefon, który nigdy nie przestawał dzwonić. To dzięki ich wspólnemu wysiłkowi gospodarstwo sprawnie funkcjonowało.

Micah wciąż świdrował wzrokiem ortezę Kariny. Wyglądał, jakby bił się z myślami.

- Ach, jeszcze jedno - rzuciła, odwracając oczy i licząc, że to powstrzyma szefa od zadawania kolejnych osobistych py-

tań.

- Co znowu? - spytał zrezygnowanym głosem.

- Chodzi o łyżwy Janey. Są do hokeja.

- No i?

Podniosła wzrok.

- Panie Torrance, jeśli Janey ma się nauczyć jazdy figurowej, to powinna mieć odpowiednie łyżwy, takie z ząbkami. Są niezbędne do skoków. Poza tym powinny być profesjonalnie dopasowane, nawet jeśli miałyby jeździć tylko rekreacyjnie. W źle dobranych może sobie zniszczyć stopy. Nowe łyżwy trzeba uformować termicznie, żeby nie miała tylu otarć i odciisków.

Ściągnął usta w wąską kreskę.

- Według ciebie niczego nie zrobiliśmy, jak należy, tak?

Zarumieniła się i zapatrzyła na jego szeroką klatkę piersiową.

- Proszę wybaczyć - odparła. - Nie chciałam nikogo krytykować. Tylko...

- Lindy startowała w zawodach regionalnych - przypomniał. - Zdobyła medal. Wydaje mi się, że ma większe pojęcie o łyżwach niż ty, panno...?

Przełknęła z trudem ślinę. Zaczęła się denerwować.

- Carter - dokończyła, przenosząc ciężar na zdrową nogę.

- Panno Carter - powtórzył i nabrawszy powietrza, mruknął: - Nie mam czasu uganiać się za głupimi łyżwami.

Zacisnęła zęby. Nie miała nic więcej do dodania. Nie była pewna, czy jest w stanie wytrzymać z kimś, kto jest tak wrogo nastawiony.

- Cholera, w porządku - warknął nagle, zirytowany jej uległością. Nie przywykł do ludzi, którzy nawet nie próbują się bronić. Przez jej postawę zaczęło go dręczyć sumienie i wcale mu się to nie podobało. - Pojadę z nią w weekend do Jackson i kupię nowe łyżwy.

- Dziękuję - odparła, przełykając gulę, która nagle wyrosła jej w gardle.

- Jeśli chcesz jechać, to lepiej się już zbieraj - rzucił krótko.

- Tak jest.

Przez chwilę chciała mu zasalutować, ale się powstrzymała. Wróciła do swojego pokoju, wzięła płaszcz i torebkę, i powoli pokuśtykała do wyjścia, podpierając się laską.

- I jak ty zamierzasz jeździć z tym czymś? - huknął, wskazując ortezę.

- Jeszcze nie wiem - odparła szczerze. - Ale coś wymyślę - dodała z cieniem dawnej determinacji, dzięki której zdobyła mistrzostwo świata.

W jej szarych oczach rozbłysły srebrzyste iskierki buntu. Była wyraźnie rozdrażniona. Dotąd spokojna i opanowana, po raz pierwszy pokazała pazurki.

- Cóż, to twoja noga - stwierdził. - Ale jeśli znów coś ci się stanie... - zawiesił wymownie głos.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Co, jeśli znów złamie kostkę? Nawet nie chciała o tym myśleć.

Nabrała powietrza i odpowiedziała:

- Proszę się nie martwić.

- Drogi są strome i oblodzone - rzucił, zły na siebie za okazywanie troski. - Uważaj.

- Wrócę raz-dwa - obiecała.

- Oby - zripostował. - Nie mogę tu siedzieć cały dzień. Za kilka godzin muszę być na spotkaniu w Los Angeles.

- Będę się śpieszyć.

- Łyżwy. Formowane termicznie. Skaranie boskie z tym hobby! - mruknął, odchodząc.

Karina wyszła zaraz po nim. Dopiero kiedy usiadła za kierownicą swojego auta, odetchnęła z ulgą.

Im dłużej nie będzie go w domu, tym lepiej! - pomyślała.

Gdy tylko przekroczyła próg swojego mieszkania, podeszła do szafy i wyjęła łyżwy, które nosiła podczas ostatnich zawodów i treningu z Paulem – tego, który tak wiele ich kosztował.

To wspomnienie przywołało kolejne o wypadku sprzed trzech lat, w którym również złamała nogę, w dodatku tę samą. To było potworne. Nie mogła wymazać z pamięci obrazu zmasakrowanych rodziców, który wciąż uparcie powracał w koszmarach. Dwoje cudownych, kochających ją ludzi. I zginęli taką okropną śmiercią!

Siłą woli zmusiła się, żeby o tym nie myśleć. Miała zadanie do wykonania: musiała pomóc małej dziewczynce w spełnieniu łyżwiarskich marzeń. Entuzjazm Janey rozpałił w niej tęsknotę, sprawił, że znów zapragnęła włożyć łyżwy i poczuć, jak mkną po gładkiej tafli lodu.

Podniosła je i dobrze się im przyjrzała. Były brudne i podniszczone, ale za to bardzo wygodne i już rozbite. Nie obetrą jej kostek i stóp. Jeśli pokona strach, może znów będzie mogła jeździć. Przerazało ją to, ale bardzo tego pragnęła.

Rodzice zawsze ją wspierali i zagrzewali do walki:

- Teraz przegrałaś - mówili - ale masz mnóstwo czasu, żeby się przygotować do następnych igrzysk. Trenuj, wygraj wszystko, co się da, żeby się na nie dostać, i daj nam powód do dumy!

I tak właśnie zrobiła. Paul i Gerda przygarnęli ją do siebie i dali jej dom, kiedy dochodziła do siebie po katastrofie. Sprzedała farmę, ale długi pochłonęły tyle pieniędzy, że niewiele jej zostało. Wystarczyło raptem na wynajem małego mieszkania w Jackson, jedzenie i niezbędne łyżwiarskie akcesoria. Paul i jego żona bardzo jej wtedy pomogli.

Dzięki stypendium sportowemu i wsparciu prywatnego sponsora ona i Paul byli w stanie pokryć koszty związane z łyżwiarstwem i kontynuować to, co zaczęli, triumfując niemal w każdym zawodach i ostatecznie zdobywając mistrzostwo świata.

Aż tu nagle po trzech latach rywalizacji wydarzył się ten nieszczęsny wypadek. To nie była wina Paula, choć on tak

właśnie uważał. Karina i Gerda długo starały się go przekonać, że to był zwykły pech i nie powinien się obwiniać. Z pomocą Gerdy i swoich synów Paul wyszedł wreszcie z depresji. Pomysł startowania z nową partnerką nie przypadł mu do gustu, ale Karina nie chciała, żeby stracił szansę na olimpijskie złoto. Wiedziała, że miną miesiące, zanim sama wróci do zdrowia, a opanowanie nawet najprostszych skoków zajmie jej jeszcze więcej czasu. Nie była pewna, czy ma odwagę, by znowu spróbować.

Na łyżwach jeździła od małego, a Paul, który mieszkał w pobliżu, był tak samo zafascynowany łyżwiarstwem jak ona. Karina zaczęła z nim trenować, mając zaledwie dziesięć lat. Był dla niej właściwie jak brat. Kochała go, ale nie łączyło ich romantyczne uczucie. Za to na lodzie tworzyli magiczny duet. Nawet matka Kariny, patrząca niezwykle krytycznie na sport, któremu przecież poświęciła życie, chwaliła ich i dopingowała.

Marzenia. Marzenia starte na proch...

Paul odszedł. Choć dręczyło go poczucie winy, postanowił pójść za radą Kariny. Ona tymczasem została nianią. Zrezygnowała z kariery za radą lekarza, którego zdaniem nie powinna wracać na lód. Zdjęta strachem, nie chciała ryzykować kolejnej, być może poważniejszej kontuzji. Widziała już tragiczne upadki, które kończyły się wstrząśnieniem mózgu lub paskudnymi bliznami po ranach zadanych płozami. Takie wypadki zdarzały się nawet podczas treningów. Doświadczyła tego na własnej skórze.

Wiedziała jednak, że prędzej czy później będzie musiała spróbować. Więc czemu nie teraz? Tylko żeby sprawdzić, czy zdoła utrzymać równowagę i czy w ogóle jest w stanie jeździć.

Wyciągnęła torbę z akcesoriami i schowała do niej łyżwy. Miała jeszcze trzy inne pary, przy czym jedną zdobyły podpisy wykonane czarnym niezmywalnym markerem. Jeździła na nich podczas igrzysk w Soczi. Startujący w nich łyżwiarze należeli do światowej czołówki. Zjechało tam także kilkoro złotych medalistów z dawnych lat, a jej matka знаła większość z nich. Spotkanie z nimi było dla Kariny prawdziwym zaszczy-

tem i niezapomnianym przeżyciem, nie mówiąc już o autografach, które złożyli na jej łyżwach.

Przesunęła po nich wzrokiem i z uśmiechem odłożyła do szafy. Janey pewnie nie rozpoznałaby tych wszystkich nazwisk, ale Lindy tak. Nie warto było ryzykować. Zresztą te łyżwy, które zabierała ze sobą do Catelow, były tak samo dobre.

Zamknęła mieszkanie na klucz i wróciła na ranczo.

- Ja też mam taką torbę na łyżwy! - wykrzyknęła podekscytowana Janey, gdy zobaczyła ją u Kariny w pokoju.

- Każdy łyżwiarz powinien w czymś trzymać swoje rzeczy - rzuciła żartem Karina.

- Ale twoja jest ładniejsza od mojej - stwierdziła z westchnieniem dziewczynka. - Chciałabym taką jasnoróżową i błyszczącą. Pełen szyk! - dodała ze śmiechem.

- To prawda.

- Pokażesz mi swoje łyżwy?

Usiadły na dywanie, a Karina wyjęła je z torby.

- Wow - powiedziała cicho Janey. - Porządna marka.

- Owszem. Ale najlepsze jest to, że są już rozbite. - Roześmiała się. - Zero pęcherzy.

- Też bym tak chciała - wyznała z żalem Janey.

Karina prawie się wygadała o wyprawie do Jackson Hole po nowe łyżwy, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Możliwe, że szef chciał zrobić córce niespodziankę.

- Nie od razu zaczniesz skakać - powiedziała łagodnym głosem. - Więc sprawa nie jest pilna. Najpierw poznasz podstawy: jak jeździć do przodu i do tyłu, i jak hamować.

- O, hamowanie się przyda - westchnęła Janey. - Zawsze wpadam na bandę.

- Nauczę cię - zapewniła ją Karina. - Dasz sobie radę.

- Miejmy nadzieję.

- Przykro mi, że opuściłaś dziś trening - powiedziała, odkła-

dając torbę. – Ale do Jackson jest daleko, a nie zabrałam ze sobą łyżew.

– To tam wcześniej mieszkałaś?

– Tak, mam tam swoje lokum. Nic wielkiego, ale je lubię.

– Cieszę się, że tata cię przyjął – oznajmiła Janey. – Bałam się, że będziesz zupełnie inna. Tata lubi takie kobiety jak Lindy – dodała, wykrzywiając usta w podkówkę. – Wszystkie były takie jak ona. Wyniosłe, wymuskane i warkliwe.

Karina uniosła brwi.

– Ukradłaś moje słowo! – wykrzyknęła. – „Warkliwy”. To moje prywatne, osobiste słówko. Ciągle go używam, a ty je ukradłaś.

Janey się skrzywiła.

– Nieprawda – zaprotestowała. – Nie można posiadać słowa na własność.

– Pewnie, że tak. Zastrzegę sobie do niego prawo – oznajmiła Karina, wpatrując się w Janey szarymi oczami, w których tańczyły iskielki rozbawienia.

Janey wybuchnęła śmiechem.

Micah Torrance, który właśnie wszedł do domu, usłyszał śmiech córki, tak rzadki w ostatnim czasie. Janey chodziła przybita, bo w szkole była gnębiona, ale on nie mógł toczyć za nią walk. Chciał, żeby umiała sobie radzić i funkcjonować wśród ludzi, a nic nie uczy tego lepiej niż twarda szkoła życia.

Widok zapłakanej córki sprawiał mu ból, ale on też przez to przechodził w jej wieku. Podobnie jak Janey był jedynakiem. Miał surowego ojca, który służył w wojsku i wychowywał go jak małego żołnierza. Micah przywykł do tej musztry i teraz sam ją stosował, komenderując wszystkimi wokół. Nawet Janey.

Ale to dla jej dobra, tłumaczył sobie. Dziecko potrzebuje dyscypliny. Skoro sam na tym skorzystał, to i Janey nie zaszkodzi.

Zatrzymał się przy pokoju Kariny i zmarszczył brwi.

- Czemu siedzicie na podłodze? - spytał szorstko.

- Bo nie mam krzesel - wypaliła Karina, wskazując kolejno łóżko, komodę i stolik pod telewizor. Rzeczywiście, w pokoju nie było ani jednego krzesła.

Mruknął gardłowo i szybko się odwrócił, zanim zdążyła zobaczyć jego uśmiech.

- Burt! - krzyknął. - Kiedy kolacja? Umieram z głodu!

- A idź stąd i coś ustrzel. Robię gulasz z dziczyzny. Nie wracaj mi głowy, bo jeszcze go przypalę - rzucił w żartach do szefa.

- Nic nowego - burknął Micah.

- Zaraz czymś oberwiesz - zagroził Burt, wystawiając głowę. Jego siwe włosy połyskiwały w świetle lampy nad rozbawionymi ciemnymi oczami.

- Tylko spróbuj. Jak Boga kocham, będę krzyczał.

Burt się roześmiał i wrócił do swoich zajęć. Micah z kolei poszedł do gabinetu, żeby sprawdzić skrzynkę mejlową i odzwonić na nieodebrane telefony.

Karina stłumiła śmiech. Nie podejrzewała zręczliwego szefa o poczucie humoru, ale najwyraźniej takowe posiadał. Szkoda, że rzadko je okazywał.

Janey wyszczerzyła się do niej.

- W poniedziałek zaraz po szkole pojedziemy na lodowisko, dobrze? - obiecała dziewczynce, mając na uwadze szykowaną niespodziankę. Oby tylko szef nie zapomniał.

- Okej - zgodziła się niechętnie Janey.

- Wytrzymaj jeszcze trochę. Nie pożałujesz. Obiecuję - powiedziała Karina, poklepując torbę. Miała nadzieję, że zdoła dotrzymać obietnicy.

Codzienna sielanka panująca na ranczu zmieniała się w pandemonium, gdy na miejscu był szef. Micah trzymał wszystkich w ryzach. Karina trochę się go bała. Był wielki i onieśmielający niczym czołg.

Starala się schodzić mu z drogi, co nie było trudne, bo czę-

sto wyjeżdżał. Wystarczyło kilka dni, żeby jej zaufał. Nie całkiem, ale dostatecznie, żeby zostawić ją samą z córką.

A w weekend zgodnie z obietnicą zabrał podekscytowaną Janey do Jackson Hole, żeby kupić jej łyżwy i odpowiednio dopasować. Nie był tym zachwycony, lecz gdy tylko zobaczył radość w oczach dziewczynki, przestał marudzić.

- Piękne, prawda? - zapięła z zachwytem Janey, prezentując je Karinie przed snem.

- W istocie. - Przypomniała sobie, jak sama cieszyła się z pierwszych prawdziwych figurówek. Była wtedy znacznie młodsza niż Janey, ale zachowała to dla siebie.

- Już się nie mogę doczekać poniedziałku! - powiedziała z westchnieniem dziewczynka.

Karina przywołała na twarz uśmiech, choć w duchu się wzdrygnęła. Strach, który czuła, przytłaczał ją niczym żywa, oddychająca istota. Co, jeśli znów złamie kostkę podczas jazdy? Co, jeśli złamie nogę? Co, jeśli upadnie...

Potrząsnęła głową. Musiała przestać się tym zadręczać, przynajmniej do czasu. Ale to nie było łatwe.

W poniedziałek po szkole przyjechała z Janey na lodowisko i po raz pierwszy od feralnego upadku włożyła łyżwy, starając się nie myśleć o owacjach tłumów, blasku reflektorów, zgrzycie lodu, gdy mknęła płoza w płoze obok Paula, i o tym uczuciu szybowania w powietrzu, kiedy wykonywała wyrzucane lutze, toe-loopy i salchowy.

Janey była tak podekscytowana nowymi łyżwami, że najchętniej od razu wskoczyłaby na taflę. Miała wrażenie, że czeka już całe wieki.

Karina zasznurowała jej łyżwy, po czym zabrała się do wiązania swoich. Janey patrzyła z niecierpliwością, jak powtarza tę żmudną procedurę.

- Nie wiedziałam, że to takie ważne, jak się je zasznurowuje - zauważyła.

- Od tego może zależeć, czy po skoku czysto wylądujesz, czy upadniesz - wyjaśniła Karina. - Zawsze dbam o to, żeby

były porządnie zasznurowane. Dzisiaj raczej niewiele zrobimy – dodała z uśmiechem, wskazując jej nowy nabytek. – Trzeba je jeszcze trochę rozbić. Formowanie na gorąco powinno pomóc. – Włożyły już wkładki, które miały zapobiec powstawaniu pęcherzy, a Karina dodatkowo włożyła ochraniacze stabilizujące kostki.

– Tyle się muszę nauczyć – westchnęła Janey.

– A to dopiero początek – zripostowała Karina. – Na pewno jesteś na to gotowa? To trudniejsze, niż ci się zdaje.

Janey pokiwała głową.

– Na pewno. Nie ma nic lepszego niż jazda na łyżwach – oświadczyła, próbując ubrać w słowa to uczucie czystej euforii. – Niczego tak bardzo nie pragnęłam!

Karina rozpoznała w niej siebie.

– Też się tak czułam, gdy moja mama po raz pierwszy zasznurowała mi łyżwy.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Trzy – odpowiedziała Karina.

Janey otworzyła usta, wciągając powietrze.

– Trzy?

Karina potwierdziła ruchem głowy.

– W wieku czterech lat wykonywałam już obowiązkowe figury.

– Mówiłaś, że nie są już wymagane na zawodach – zaczęła Janey, popisując się zdobytą wiedzą.

– To prawda. Ale akurat w tej kwestii narzeczona twojego taty ma rację: powinny być wymagane – odparła stanowczo. – Uczą dyscypliny i techniki, i tego, jak odpowiednio wykorzystywać obie krawędzie. Właśnie dlatego mama nauczyła mnie ich na samym początku.

– Nawet nie wiedziałam, że łyżwy mają dwie krawędzie – oznajmiła Janey.

Karina ściągnęła brwi; nadal nie mogła w to uwierzyć.

- Lindy w kółko na mnie krzyczała - wyjawiała żalonym tonem dziewczynka. - A kiedy ją o coś pytałam, śmiała się ze mnie. Ona chyba jednak nie zna się na tym za dobrze - dodała z wyjątkową goryczą. - Nie stoi prosto na łyżwach, tylko wykrzywia stopy. Widziałam taki filmik na YouTubie, na którym trener mówił, że nie wolno tak robić, bo to niedbalstwo i uczy złych nawyków.

- Racja - potwierdziła Karina. Pamiętała, że Janey już o tym wspominała. - Ale nie mów o tym Lindy. Okej?

- Okej - zgodziła się ze śmiechem.

Karina wreszcie skończyła sznurować łyżwy. Na płozach wciąż miała ochraniacze, które zabezpieczały drewnianą posadzkę przed porysowaniem. Wzięła głęboki oddech i wstała z ławeczki, spoglądając powątpiewająco w kierunku tafli.

Panował tam spory tłok. W części wydzielonej zwykłymi słupkami i sznurkiem jakiś rodzic ćwiczył z trójką przedszkolaków. Pozostali jeździli chwiejnie, gnali na złamanie karku albo próbowali ćwiczyć skoki, nie zważając na innych łyżwiarzy.

Jeden z nich upadł i wstając, oparł się dłońmi płasko o taflę. Karina aż jęknęła. Inny łyżwiarz, który przejeżdżał obok, omal nie rozorał mu palców płozami.

- Pamiętaj, żeby nigdy nie opierać się dłońmi o lód, próbując wstać - powiedziała, odwracając się do Janey.

- To jak mam się podnieść?

- Pokażę ci jeszcze raz. Upadać też trzeba umieć. Najważniejsze to trzymać nogi blisko siebie. Jeśli poczujesz, że upadasz, ugnij kolana i pochyl się lekko do przodu. Nie wymachuj rękami, żeby nie stracić równowagi i nie przewrócić się do tyłu.

- Jakie to wszystko skomplikowane - stwierdziła Janey.

- Bardzo - potwierdziła Karina. - Ale jazda na łyżwach to też frajda.

Nabrała powietrza i ruszyła w kierunku lodowiska. Po wypadku, który wykluczył ją z gry, była przerażona. Lecz jeśli

chciała zachować tę pracę, musiała zmierzyć się z własnym strachem.

Micah Torrance miał rację. To niebezpieczne, żeby Janey wchodziła na lód bez nadzoru i odpowiedniego szkolenia. Karina musiała pokonać lęk i nauczyć ją jeździć.

- Boisz się? - spytała łagodnie Janey. - Będzie dobrze. Złapię cię, jeśli upadniesz.

Karina nie mogła powstrzymać śmiechu. Janey była taka kochana.

- Dam sobie radę - uspokoiła ją. - Zaczniemy pomalutku. Wiesz, jak wejść na lód?

- Po prostu wjeżdżam. Tak robiła Lindy.

- Nie. Pokażę ci.

Zdjęła ochraniacze i odłożyła je na bok. Przytrzymując się bandy, stanęła jedną łyżwą na tafli, a potem wolno dostawiła drugą. Ugięła nogi w kolanach i zaczęła się posuwać do przodu, układając stopy na kształt litery V.

- O tak - zwróciła się do Janey. - Widzisz?

- Och, tak jest łatwiej - przyznała ze śmiechem dziewczynka, idąc za jej przykładem. - To wcale nie takie trudne.

- Pamiętaj o zgiętych kolanach. Pochyl się lekko do przodu. Schowaj brodę i poruszaj nogami do przodu, jakbyś maszerowała.

- Okej!

Samo chodzenie również sprawiało frajdę. Karina znów poczuła tę magię, przypominając sobie słodko-gorzkie, lecz cudowne chwile, które spędziła na lodzie z matką, kiedy sama dopiero uczyła się jeździć.

Obejrzała się za siebie i rzuciła do Janey:

- Jak tam?

- Super! - odparła uradowana dziewczynka. - Nawet się nie przewracam.

- Rób tak dalej. Gdy poczujesz się pewniej, spróbujemy cze-

gość innego.

- Dobrze!

Maszerowały wokół tafli do odgródzonej strefy i z powrotem, przez cały czas przytrzymując się bandy. Ale gdy oswoiły się z lodem i nabrały pewności, nie potrzebowały już asekuracji.

- Widzisz? Jeśli skierujesz czubki butów na zewnątrz, tak żeby stopy tworzyły literę V, będziesz mieć lepszą przyczepność - wyjaśniła Karina.

- Zauważyłam... Och, no nie - mruknęła pod nosem, chwytając się kurczowo gładkiej drewnianej barierki.

Karina również dopadła bandy, bo nagle na lodowisku zjawił się pan Torrance w towarzystwie narzeczonej.

Na ich widok Lindy wybuchnęła śmiechem.

- Wielkie nieba! Nie możecie po prostu wyjechać na środek tafli? Czemu chodzicie w kółko jak pingwiny?

- To najlepszy sposób, żeby Janey oswoiła się z łyżwami i nabrała pewności - oświadczyła cicho Karina, czerwieniąc się pod wpływem krytyki.

- Ze mną już pierwszego dnia jeździła - wyśmiała ją Lindy.

Janey nie wspomniała, ile razy tego dnia przewróciła się w tych topornych łyżwach, które od niej dostała.

- Może lepiej zacząć pomału - stwierdził Torrance. - To mniej ryzykowne.

Lindy zrobiła minę i huknęła wyniośle, odrzucając do tyłu swoje blond włosy:

- Byłam wyczynową łyżwiarką. Wiem, jak należy uczyć. Janey jest po prostu niezdarna. Nie słucha, co się do niej mówi.

- Dzisiaj szło jej bardzo dobrze - zaproponowała Karina, wywołując uśmiech na twarzy dziewczynki.

Lindy zmierzyła ją gniewnym spojrzeniem.

- Tak, chodzenie po lodzie... - zakpiła, kiwając głową. - Świetnie. Widzę, że znasz się na rzeczy.

- Chodźmy już - rzucił do niej szorstko Torrance, po czym uśmiechnął się do córki. - Kochanie, tak trzymaj. Robisz wszystko, jak należy - powiedział łagodnym głosem. - Lecimy w interesach do Denver. Chciałem tylko wstąpić i zobaczyć, jak ci idzie.

- Jak po maśle, tato - oznajmiła z szerokim uśmiechem. - Uwielbiam te nowe łyżwy.

- Jakie nowe łyżwy? - zdziwiła się Lindy, wbijając wzrok w jej białe buty. - Na litość boską, na co jej figurówki?! Ma tylko jeździć, nie skakać!

- Ale ja chcę skakać - odparowała Janey, z trudem powstrzymując złość. - Karina mnie nauczy.

- Ze złamaną kostką? - zakpiła. - Jasne!

- Lindy, lepiej poczekaj w samochodzie - powiedział chłodno Torrance.

- Jak chcesz! - Westchnęła z irytacją, spiorunowała wzrokiem Karinę i Janey, po czym pomaszerowała wściekła do wyjścia.

- Nie jest dzisiaj w humorze - stwierdził lekceważąco Torrance. - Uważajcie na siebie. Obie. - Spojrzał w stronę lodowiska, gdzie panoszył się pewien łyżwiarz i wszystkich przewracał. - Tamten chłopak jest niebezpieczny.

Karina przeniosła na niego wzrok. Zauważyła, że Hilde Meyer stoi przy bandzie i wzywa do siebie chłopaka.

- Długo tu nie pobędzie - stwierdziła ze śmiechem.

Miała rację. Właścicielka lodowiska coś mu powiedziała, a on zaczął się wyklócać. Wreszcie stanowczym gestem wskazała strefę za bandą. Chłopak zszedł z płyty i ruszył za nią do biura.

- Ma przechlapane - zawyrokowała Janey, szczerząc się od ucha do ucha. - Pani, która tu rządzi, nie lubi takiego zachowania. Pewnie każe mu się zabierać i już nie wracać.

- Oby - skwitował Torrance. - Tacy ludzie powinni mieć dożywotni zakaz wstępu. Jak twoja kostka? - zwrócił się do Kariny.

- W porządku. Trochę się stresowałam, ale Janey dodała mi otuchy.

Dziewczynka spojrzała na nią rozpromieniona.

- Wcale nie, ale dziękuję.

- Jesteś naprawdę dobra - skontrowała Karina. - Słuchasz moich instrukcji.

- A ty jesteś miła - odpowiedziała Janey. - I nie krzyczysz.

- Krzyki w niczym nie pomagają - stwierdziła z uśmiechem Karina.

- No właśnie!

- Cóż, będę się zbierać. Mogę być późno - oznajmił Micah.

- Okej - odparła Janey.

- Nie przesadzaj, dobrze? - pouczył Karinę. - Małymi kroczkami.

- Tak jest. - Jego troska ujęła ją za serce. Spojrzała mu prosto w brązowe oczy i głęboko w siebie poczuła ich żar.

- Na razie - rzucił, rozciągając usta w leniwym uśmiechu.

- Pa, tato!

Pomachał ręką i ruszył w stronę wyjścia.

- Lindy była naprawdę wredna - zauważyła Janey.

- Jest wielu dobrych łyżwiarzy, ale nie wszyscy potrafią uczyć - spokojnie odparła Karina. - Zresztą ma rację. Trochę głupio tak chodzić wokół tafl. Ale to pierwszy krok. Jak już się uczyć, to we właściwy sposób. Później, jeśli naprawdę chcesz skakać, to wszystko ci się przyda.

- Chcę. Naprawdę chcę!

- To pochodźmy jeszcze chwilę, a potem spróbujemy pojeździć. Okej? - zasugerowała.

- Okej! - wykrzyknęła uradowana Janey.

Dziewczynka posłusznie wykonywała instrukcje Kariny. Nauczyła się jeździć do przodu i do tyłu, rozsuwając nogi na boki i ponownie je złączając. Nauczyła się też, jak upadać

i bezpiecznie wstawać z tafli, a także co robić, żeby nie wyrznąć głową o lód i nie doznać wstrząśnienia mózgu.

- To wszystko jest strasznie skomplikowane - zauważyła, uśmiechając się do opiekunki.

- Naprawdę świetnie ci idzie - odparła Karina. - No dobra. Chcesz się nauczyć hamowania?

- Pewnie!

- Stopy blisko siebie. Przenosisz ciężar ciała w jedną stronę i skręcasz tułów na zgiętych kolanach, dociskając płozy do tafli. Jeśli zrobisz to jak należy, spod łyżew powinien trysnąć śnieg.

- Widziałam, jak robią to łyżwiarze - oświadczyła Janey.

- To niezwykle istotne, żeby umieć hamować. Dzięki temu nie będziesz tyle upadać. No więc to wygląda tak. - Zaczęła jechać, uginając lekko kolana, a potem ustawiła stopy równolegle do siebie, przeniosła ciężar ciała w jedną stronę i nieznacznie podskoczyła, jednocześnie zmieniając kierunek jazdy i wyrzucając spod łyżew fontannę śniegu.

Roześmiała się podekscytowana. Ten krótki przejazd przywołał dawne wspomnienia - te smutne i te radosne.

- To było niesamowite! - krzyknęła z zachwytem Janey.

Karina ponownie parsknęła śmiechem.

- Zanim się obejrzyysz, też będziesz tak potrafiła - obiecała. - Rób to co ja - dodała. - Stopy razem, palce na zewnątrz, kolana lekko ugięte. Pojedź do przodu, tak jak ćwiczyliśmy. A potem zrób tak. - Ponownie zademonstrowała tę samą technikę.

Janey próbowała kilka razy i wreszcie udało jej się zeszlifować trochę lodu przy hamowaniu.

Obie się roześmiały. Ta dziewczynka jednak miała talent!

- Ładnie. Bardzo ładnie!

- Dzięki!

Jeździły jeszcze przez godzinę. Karina marzyła o tym, żeby wyjść na środek tafli i po prostu zrobić to, co robiła, odkąd

skończyła trzy lata. Pragnęła znów mknąć po lodzie i czuć, jak chrzęści jej pod stopami, gdy nabiera prędkości do skoku. Zamknęła oczy i na chwilę przeniosła się do Soczi. Niemal słyszała aplauz publiczności, czuła tę euforię po przejechaniu idealnego programu i ten gorzki smak porażki, kiedy się okazało, że inna para była lepsza. Zajęcie ósmego miejsca na igrzyskach było druzgocącym przeżyciem.

Ale jej matka nie przestała w nią wierzyć. Była pewna, że Karina i Paul mają szansę na złoty medal. Jeździli perfekcyjnie. Nie brakowało im prędkości i wdzięku, a ich układy były popisem kreatywności i atletyki. Mieli wszystko, co trzeba, żeby zająć na sam szczyt.

Niestety wkrótce to marzenie legło w gruzach. Złamana noga wykluczyła Karinę z rywalizacji na kilka miesięcy. Ale się nie poddała: wraz z lekarzem i fizjoterapeutą pracowała nad odzyskaniem pełnej sprawności, aż w końcu dopięła swego i w parze z Paulem wywalczyła złoto na mistrzostwach świata.

Jednak ta sprawa z kostką nie dawała jej spokoju. Co, jeśli pierwsze złamanie było poważniejsze, niż wszyscy sądzili? Co, jeśli jej noga stała się podatna na urazy, a kontuzja sprzed kilku miesięcy była tego dowodem?

Bała się tego. Była wręcz przerażona. Ale tak cudownie było znów stanąć na lodzie. Uwielbiała zgrzyt sunących po nim płóz. Po prostu kochała jeździć na łyżwach.

Uśmiechnęła się lekko, a potem, dając wyraz ogarniającej ją radości, wybuchnęła szczerym śmiechem. Rozmarzona i pogrążona we własnym świecie, zaczęła wirować, wykonując perfekcyjnego laybacka, pełnego wdzięku i elegancji, tak jak przed laty uczył ją trener. Zapomniała o innych łyżwiarzach i o Janey, która patrzyła na nią z zapartym tchem.

Dziewczynka podjechała do niej i wykrzyknęła:

- O raju, nigdy nie będę tak dobra jak ty! To było... po prostu piękne!

Karina szybko wróciła do rzeczywistości. Zatrzymała się nagle z wypisanym na twarzy zakłopotaniem.

- Ale ty jeździsz! - dodała cicho Janey. - Naprawdę się na tym znasz.

Karina wstrzymała oddech.

- No, tak jakby - przyznała zaniepokojona. - Ale niech to pozostanie między nami, okej? - Przed oczami stanęła jej koszmarna wizja, jak Janey opowiada ojcu, co widziała. Nie chciała, żeby inni odkryli, kim jest. Jeszcze nie teraz. Nie była pewna, czy znów będzie startować w zawodach. Chciała się podleczyć i dać sobie czas na powrót do formy.

Janey nie miała pojęcia, jakiej wprawy wymaga taki lay-back. Ale Lindy owszem. Mogła zacząć zadawać pytania, na które Karina nie chciała odpowiadać. Nie robiła niczego nielegalnego ani niemoralnego, po prostu pragnęła odrobiny prywatności. Tylko tyle.

- Bez obaw - odparła szybko Janey. - Nikomu nie powiem. Przysięgam.

Karina uśmiechnęła się siłą woli.

- Dziękuję.

- Nie chciałabym stracić trenerki - rzuciła żartem dziewczynka.

- Ach tak?

- Owszem. No więc nauczysz mnie chassé? - spytała. - Patrzyłam, jak robią to tamte dzieciaki. - Wskazała grupkę trenującą w wydzielonej strefie. - Wydaje się trudne.

- Kwestia wprawy, to wszystko. - Spojrzała na zegarek i się skrzywiła. - Ale musimy już wracać do domu.

- Ojeej - zasmuciła się Janey.

- Jutro też tu przyjdziemy. Obiecuję.

- No dobrze - zgodziła się dziewczynka i ruszyły powoli w kierunku bandy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Micah wrócił do domu późnym wieczorem. Janey była w swoim pokoju, a Karina w swoim. Jego ciężkie kroki zadudniły na korytarzu, kiedy przeszedł nieśpiesznie do swojej sypialni, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Karina naprawdę miło spędziła pierwszy dzień na lodowisku. Janey z łatwością przeszła do jazdy przodem, a potem tyłem, i do hamowania, które sprawiało jej tyle frajdy. Później miały dojsć nieco trudniejsze elementy: chassé, flipy, przekładanki i toe-loopy, ale przynajmniej na razie Janey świetnie sobie radziła.

A jeśli chodzi o Karinę, to powrót na lód dodał jej skrzydeł. Nie było tak strasznie, jak sądziła. Owszem, kontuzjowana noga była słabsza, ale oba złamania ładnie się zagoiły, a ona nie odczuwała ani bólu, ani sztywności ograniczającej ruchy. Zamierzała kontynuować ćwiczenia i przy najbliższej okazji odwiedzić terapeutę sportowego w Jackson.

Zamknęła powieki i odpłynęła w sen, wspominając blask reflektorów, pęd jazdy i to, jak z Paulem sunęli do dźwięków ich sztandarowego utworu - *Rapsodii na temat Paganiniego* Rachmaninowa. Oczami wyobraźni widziała ten piękny, fantastyczny program, który zaprezentowali podczas ostatnich zawodów. Pojechali perfekcyjnie i zdobyli wysokie noty. Jako mistrzowie świata trzymali równy poziom - właściwie nie popełniali błędów. Aż do wypadku Kariny.

Podczas jednego z treningów, gdy Paul wyrzucił ją w powietrze, nie dokręciła się i źle wylądowała. Zareagowała gwałtownie, zanosząc się niemal histerycznym płaczem. Od razu wiedziała, co to oznacza: koniec kariery i koniec wspólnych występów. Przynajmniej na kilka miesięcy. Odkąd zaczęła jeździć, jeszcze nigdy nie doznała tak poważnej kontuzji. Ten incydent złamał jej serce i ducha. Lekarz, który ją leczył, radził, żeby porzuciła łyżwiarstwo nie tylko z powodu

tego urazu, ale też wcześniejszego złamania. Uważał, że kontynuując karierę, narazi się na niepotrzebne ryzyko i trwałe kalectwo.

Karina, która przeżyła traumę, uwierzyła w jego słowa. Była pewna, że już nigdy nie wróci na lód. Lecz oto kilka miesięcy później znów stanęła na lodowisku, robiąc pierwsze niepewne kroki z uroczą dziewczynką, która dodawała jej otuchy, choć właściwie powinno być na odwrót. Janey chyba wyczuwała jej strach. Uśmiechała się do niej i zachęcała, mówiąc, że może wszystko. Karinę bawiło to dziwne partnerstwo, ale też dawało jej radość.

I z tą błogą świadomością zasnęła.

Nagle w środku nocy zbudził ją głośny i pełen przerażenia krzyk jakiegoś mężczyzny. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to głos szefa.

Wstała i owinęła się grubym szenilowym szlafrokiem sięgającym do kostek. Upięte w kok włosy rozsypały się i okryły jej ramiona złocistymi falami. Nie tracąc czasu na ich upinanie, wyszła na korytarz, lecz gdy dotarła do sypialni Michała, zawahała się.

Zza drzwi znowu dobiegły krzyki.

- Panie Torrance? - rzuciła głośno, pukając. Nie zamierzała wchodzić do środka. Jeszcze nigdy nie widziała nagiego mężczyzny i na pewno nie chciała ujrzeć go teraz. Co, jeśli szef spał bez piżamy?!

Krzyki nie ustawały, więc zapukała ponownie.

- Szefie? Wszystko w porządku?

Nie odpowiedział, ale słyszała, że cierpi.

Pobiegła do telefonu w salonie i wybrała wewnętrzny do Burta.

Odebrał zaspanym głosem.

- Co jest?

- Burt, wydaje mi się, że pan Torrance ma koszmary. Nie wejdę do jego pokoju. Możesz sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku?

- Koszmary? Znowu? - zdziwił się. - Myślałem, że już przestały go nękać. Dobra. Daj mi chwilę.

Minutę czy dwie później wyszedł w piżamie i szlafroku. Karina, wciąż zatroskana, stała boso pod sypialnią szefa, nie wiedząc, co robić.

- Już dobrze - powiedział łagodnie Burt. - Sprawdzę, co z nim.

- Dziękuję.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Mijały kolejne minuty. Nagle usłyszała głos Burta. Potem inny głos, zszokowany i zły. Po chwili Burt wyłonił się z pokoju i obrzuciwszy Karinę spojrzeniem, tylko się skrzywił i bez słowa podreptał na koniec korytarza.

To nie wróżyło nic dobrego. Karina już miała wracać do siebie, gdy nagle drzwi się rozwarły i stanął w nich Micah ubrany tylko w kraciaste spodnie od piżamy. Był wspaniale zbudowany. Miał szerokie i silne ramiona, lecz nie przesadnie muskularne, a nagą klatkę piersiową pokrywał gęsty zarost. Wyglądał bosko z tymi prostymi, czarnymi potarganymi włosami, opadającymi niesfornie na czoło.

Jedyną rzeczą, która psuła ów piękny obrazek, był morderczy błysk w jego brązowych oczach.

- Do cholery, co ty sobie wyobrażasz? Co ci strzeliło do głowy, żeby w środku nocy stawiać na nogi cały dom? - spytał rozgorączkowany.

- Miał pan koszmary sen...

- To moja prywatna sprawa - warknął. - Zrób tak jeszcze raz, a wrócisz w podskokach do Jackson, zrozumiałaś? Pilnuj swojego nosa!

- Tak, panie Torrance - odparła, wzdrygając się na jego surowy ton. Do oczu napłynęły jej łzy. Brzmiał tak samo jak jej dawny trener, który znęcał się nad nią i Paulem. Te wyzwiska i obelgi złamały w niej ducha.

- Wracaj do łóżka!

- Tak... tak jest, proszę pana - wyjąkała.

Pobiegła korytarzem do swojego pokoju i zamknęła drzwi, zalewając się łzami.

Nienawidziła go. Martwiła się o niego i chciała mu pomóc, a on okazał się potworem. Nie mogła tu zostać. Zamierzała wyjechać z samego rana.

Jeśli będę musiała, zatrudnię się gdzieś na zmywaku, pomyślała. Wszystko jest lepsze niż to!

Po przebudzeniu Micah czuł się niezręcznie i miał wyrzuty sumienia. Narzucił na siebie szlafrok i poszedł do kuchni po kawę. Na miejscu zastał Burtę.

- Nie przyszła na śniadanie? - spytał, wskazując głową korytarz.

- Wzięła tylko kawę. Wyglądała, jakby całą noc płakała. Krzyczałeś na nią czy coś w tym stylu?

Micah zacisnął wargi.

- Coś w tym stylu.

- To jeszcze dziecko - powiedział łagodnie Burt. - Przypomnij sobie, jak sam byłeś w jej wieku. Silni, władczy ludzie nie budzili w tobie lęku?

Roześmiał się pusto.

- Nie. Mój ojciec był generałem. Nie wychował mnie na mięczaka.

- Cóż, o ile mi wiadomo, ona nie dorastała w wojskowej rodzinie - zripostował Burt. Podał szefowi filiżankę czarnej kawy i dodał: - Przebąknęła coś, że pewnie dziś wyjedzie.

Micah się skrzywił.

- Janey nie będzie zachwycona - kontynuował Burt. - Już pokochała tę dziewczynę. Karina nie krzyczy na nią, jeśli zrobi coś nie tak - dodał z chichotem. - Odkąd tu jest, Janey wyszła ze swojej skorupy.

- Zauważyłem.

- Nie posmakuje ci ta żaba - zaczął Burt, a Micah uniósł pytająco brwi. - Ale na twoim miejscu bym ją przełknął. Popełnisz błąd, jeśli pozwolisz Karinie odejść.

Szef zmierzył go wzrokiem. Burt tylko się uśmiechnął i rzucił:

- Robię naleśniki.

- Ubiorę się i coś przegryzę - odparł Micah i westchnął. - Nie cierpię żab.

Wziął kubek kawy i wrócił do swojego pokoju.

Karina zeszła na śniadanie rozchwiana i przybita. Chciała odejść. Nie mogła zostać tam, gdzie na nią krzyczą. Dawny trener też wrzeszczał na nią i Paula, aż w końcu powiedzieli „dość!”. Groźby i krzyki nigdy nie są dobrym rozwiązaniem.

Janey wyczuła, że coś jest nie tak. Wiedziała, że Karina płakała. Miała to wypisane na twarzy. A kiedy przyszedł ojciec z pochmurną miną, od razu się domyśliła, że doszło między nimi do zgrzytu.

- Dobry - przywitał się szorstko.

Karina nie odpowiedziała. Usiadła i zjadła naleśnika, nie odrywając wzroku od talerza.

Micah nałożył sobie porcję.

- Jedziesz dziś na lodowisko? - zwrócił się do córki.

Janey spojrzała nerwowo na Karinę.

- Jedziemy? - spytała płaczliwym tonem.

Karina podniosła wzrok. W jej oczach krył się niewysłowiony smutek.

- Janey, ja... - zaczęła.

- Nakrzyczałem na nią - wpadł jej w słowo Micah. - Nie chciałem. Przepraszam - rzucił krótko, ale nie zaszczycił Kariny spojrzeniem.

Karina odniosła wrażenie, że nigdy wcześniej za nic nie przeproszał, bo Janey i Burt patrzyli na niego w osłupieniu.

Wzięła głęboki oddech.

- Panie Torrance - podjęła - chyba nie nadaję się do tej pracy...

Odwrócił głowę, wbijając w nią spojrzenie swoich ciemnych oczu, które zdawały się prosić o wybaczenie.

- Nie odchodź - powiedział łagodnie. - Wiem, że chciałaś dobrze. Nie przywykłem do tego, że ktoś się o mnie martwi. Zwłaszcza kobieta. - Odwrócił wzrok. - Przesadziłem.

Karinę naszły wątpliwości. W Micahu nie było już wrogości, a ona naprawdę potrzebowała tej pracy. Poza tym pokochała Janey. Jej twarz i jej szare oczy zdradzały, że była w rozterce.

Torrance spojrział na nią badawczo spod przymrużonych powiek.

- Boisz się mnie? - spytał kpiąco. - Chcesz uciec?

Przełknęła z trudem ślinę.

Owszem, chciała uciec. A on się z nią droczył. Dlaczego? Czyżby chciał, żeby została?

- Proszę, zostań - powiedziała cicho Janey, patrząc na nią błagalnym wzrokiem.

Karina zacisnęła zęby.

- Och, no dobrze - wymamrotała z lekką irytacją. - Skoro taka mała dziewczynka daje radę w jednym domu ze złym wilczykiem, to i mnie się uda.

Gromki śmiech Torrance'a przetoczył się przez jadalnię, ale nie było w nim sarkazmu.

- Złe wilczyko? - powtórzył. - Okej. Niech ci będzie. Janey, skarbie, podasz mi syrop?

- Się robi. - Janey podała mu butelkę syropu klonowego, szczerząc się od ucha do ucha. Potem zwróciła się do Kariny, która lekko się uśmiechała: - Czyli zostajesz, tak?

Karina objęła ją czułym spojrzeniem.

- Tak, zostaję.

- Jupi! - wykrzyknęła Janey. - Burt, te naleśniki są przepyszne!

- Racja, bardzo dobre - przytaknęła Karina.

- Dziękuję - odparł ze śmiechem Burt. - Nieczęsto słyszę tu

komplementy – dodał, posyłając szefowi wymowne spojrzenie.

– Nieczęsto też przyrządzasz coś zjadliwego – odgryzł się Micah.

– I za to na kolację dostaniesz siekaną wątróbkę! – fuknął.

– Tylko spróbuj, a cię zwolnię!

– Sam odejdę!

– Nie przejmuj się nimi. – Janey zwróciła się do Kariny, która patrzyła w osłupieniu na ich przekomarzanki. – Oni tak zawsze.

– Nie zawsze – zaprotestował Micah. – Pamiętam, jak któregoś razu wytrzymaliśmy bez kłótni przez cały dzień.

– Tylko dlatego, że pojechałem na polowanie, a ty zagnałeś do garów Doris – zripostował Burt. – To był naprawdę udany dzień. Nikt na mnie nie krzychał!

Micah spiorunował go wzrokiem.

Burt tylko uśmiechnął się szeroko i wrócił do kuchni.

Dietrich spał przy łóżku Janey na wielkim psim legowisku. Wyglądał przezabawnie, próbując wpasować swoje cielsko w owal kojca wypełnionego pianką zapamiętującą kształt.

– Jest ogromny – skomentowała Karina, czekając, aż Janey spakuje torbę. – Ile on waży?

– Czterdzieści trzy kilo! – odparła Janey, zanosząc się śmiechem. – Mógłby spać ze mną na łóżku, ale nie chce. Ma lęk wysokości. Prawda, staruszkule?

Wielki pies uniósł łeb, zamrugał sennie, po czym zamknął ślepia i wrócił do drzemki.

– Śpioch – rzuciła żartobliwie Janey, głaszcząc Dietricha po głowie. – Nie lubi wczesnie wstawać.

– Jest przeuroczy – stwierdziła Karina.

– Też tak myślę.

– No, chodź już.

- Tata nie jest zły - wypaliła Janey, ścisząc głos. - Czasami bywa szorstki dla innych. Ale nie jest złym człowiekiem.

- Nigdy go za takiego nie miałam - skłamała Karina.

- No to musisz zostać - powiedziała cicho dziewczynka. - Serio. Tylko pomyśl, może kiedyś zostanę światowej klasy łyżwiarką, a wtedy będziesz mogła powiedzieć, że to ty mnie trenowałaś. - Rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu, poruszając wymownie brwiami.

Karina zaśmiała się serdecznie.

- Jesteś niemożliwa. Okej. Jakoś go zniosę.

- Dziękuję.

Karina miała już swoją torbę. Janey przypomniała jeszcze Burtowi, żeby wyszedł na spacer z Dietrichem, i dopiero wtedy ruszyły na lodowisko.

Janey czyniła duże postępy. Hilde Meyer również to widziała i zagrzewała ją do dalszej pracy.

- Mistrzowie przychodzą i odchodzą - zwróciła się do dziewczynki, po czym dodała z uśmiechem: - Ty masz zadatki na mistrzynię. Zaczęłaś trochę późno, ale szybko się uczysz i jesteś pełna zapału. Poradzisz sobie.

Janey zaczerwieniła się z radości.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Kocham jazdę na łyżwach. - Zmarszczyła brwi i po chwili wahania dodała: - Ale mam już dziewięć lat. To późno? Znaczy się, żeby zacząć jeździć.

- Owszem - przyznała łagodnie Hilde. - Większość zaczyna już w wieku dwóch lub trzech lat.

- Wow. Nie miałam pojęcia.

- Daj sobie czas, niczego nie przyspieszaj. Jeśli opanujesz podstawy i wyćwiczysz je do perfekcji, będziesz mieć przewagę nad innymi w twoim wieku.

- Dziękuję! - odparła Janey z szerokim uśmiechem.

- Poza tym - ciągnęła dalej pani Meyer, spoglądając z zabawieniem na Karinę - masz świetną trenerkę.

- Wiem! Jest niesamowita. I nie krzyczy - oznajmiła z powagą Janey.

- Widziałam wielu trenerów wydzierających się na swoich podopiecznych - usłyszała w odpowiedzi. - Co wrażliwsi łyżwiarze często odpadali przez to z rywalizacji.

- Nie lubię ludzi, którzy krzyczą. - Skrzywiła się. - Mój tata chce właśnie kogoś takiego poślubić. - Spojrzała na Karinę i panią Meyer, a przez jej twarz przemknął szelmowski uśmiech. - Muszę szybko dorosnąć, żeby wyprowadzić się z domu - dodała i wszystkie zaniósł się śmiechem.

Karina niepokoiła się o Janey. Kilka dni później dziewczynka wróciła ze szkoły z ponurą miną. Była bliska płaczu.

- Co się stało? - spytała ją cicho.

Po zaczerwienionym policzku Janey spłynęła samotna łza.

- Nic...

Karina uklękła przed nią i przytuliła mocno, kołysząc. Pamiętała, jak sama miała dziewięć lat i koledzy z klasy jej dokuczali, bo odstawała od reszty.

- Kiedy dorosniesz, to wszystko będzie tylko złym wspomnieniem - wyszeptała. - Niektórzy ludzie są okrutni, bo tacy się urodzili, a inni dlatego, że sami doświadczyli okrucieństwa. Wynieśli to z domu.

Janey się odsunęła; oczy miała przekrwione, a policzki mokre od łez. Położyła ręce na ramionach Kariny i wyjawiała:

- Sally Miller powiedziała, że jestem głupia i opóźniona, bo nie zadaję się z chłopcami, tak jak ona.

Karina uniosła brwi w zdziwieniu.

- Co? W takim wieku zadaje się z chłopcami?! - wykrzyknęła.

Janey wciągnęła z drzeniem powietrze.

- Sally ma jedenaście lat - wydukała. - Urywa się z lekcji i buja z chłopakami. Ona... robi z nimi pewne rzeczy. Wszyscy o tym wiedzą. Powiedziała, że jestem debilką, bo tego nie robię.

Karina odgarnęła jej włosy do tyłu.

- Ja w twoim wieku też nie robiłam takich rzeczy - wyznała z uśmiechem. - Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy ich nie robiłam - powiedziała szeptem, żeby Burt nie usłyszał.

- Naprawdę? - spytała Janey. - Nigdy, przenigdy?

- Nigdy, przenigdy. Zawsze płynęłam pod prąd. I tak jest do dziś. - Westchnęła. - Jestem trochę takim odmieńcem. Cały wolny czas poza szkołą spędzałam na lodowisku. To była moja ucieczka od rzeczywistości. Gdy jeździłam na łyżwach, wszystkie smutki rozwiewały się jak mgła na wietrze.

- Wow! - Janey była pod niemałym wrażeniem. - Podobno porządne dziewczyny nie przechodzą do historii.

- A Joanna d'Arc? - spytała Karina. - Była nastolatką, niewinną, prostą dziewczyną ze wsi. Nie znała się na polityce ani na walce. Miała wizję, w której dostała polecenie, żeby odszukać następcę tronu Francji. Ten, obawiając się, że jest oszustką, kazał jednemu z podwładnych udawać, że jest nim. Lecz ona poszła prosto do delfina i opowiedziała mu o swoim widzeniu, o tym, że została wybrana, by poprowadzić jego wojska do walki, wyzwolić Francję i przywrócić go na tron.

- Serio? - spytała przejęta Janey.

Karina potwierdziła ruchem głowy.

- I rzeczywiście stanęła na czele wojsk, uzbrojona jedynie w wiarę i sztandar. Żołnierze, sami mężczyźni, poszli za nią i nigdy jej nie dokuczali. Joanna pokonała Anglików i doprowadziła do koronacji delfina. A potem została pojmana przez wrogów, oskarżona o herezję i spalona na stosie. Spotkał ją przykry koniec, który zresztą sama przepowiedziała. Ale pamięć o niej przetrwała stulecia i dziś wszyscy znają jej imię. - Uśmiechnęła się. - No więc bez względu na to, jak bardzo dokuczają ci w szkole, przynajmniej nie spalą cię na stosie, no nie?

Janey parsknęła śmiechem. Objęła Karinę, a ta również ją przytuliła.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy się odsunęła. - Tutaj mało kto się przytula - wyjaśniła, czerwieniąc się na twarzy.

Kariny wcale to nie zdziwiło. Mrukliwy szef nie należał do uczuciowych ludzi.

Nagle rozległ się trzask zamykanych drzwi.

- Dlaczego, do diabła, znów siedzisz na podłodze? - spytał szorstko Micah. - Tylko nie mów, że z braku krzeseł - dodał, wskazując gestem jadalnię, w której się znajdowali, i sąsiedni salon.

- To przez grawitację - wymyśliła na szybko Karina. - Właśnie. Dopadła mnie grawitacja.

Micah milczał przez chwilę. Wreszcie odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Cóż, bez względu na powód muszę przyznać, że jesteś pomysłowa.

Przeniósł wzrok na Janey i jej wciąż zaczerwienione oczy. Jego uśmiech natychmiast zniknął i zastąpił go surowy wyraz twarzy.

- No dobrze, co się stało? - spytał córkę.

- Inne dzieci. - Westchnęła.

- A konkretnie?

- W naszej klasie jest taka jedna dziewczyna. Ma jedenaście lat - zaczęła z wahaniem, zażenowana.

- No, śmiało - powiedział nieco cichszym głosem.

- Ona... ona robi różne rzeczy z chłopcami. Nazwała mnie debilką, bo ja tego nie robię.

- Robi coś z chłopcami w szkole?! - wykrzyknął.

- Tak. To jest w lesie, za szkołą. Urywa się z lekcji i nabija się ze mnie. Wszyscy wiedzą, że chodzę do kościoła, i uważają, że jestem głupia i zacofana.

Zmrużył oczy.

- A jak się nazywa to postępowe dziecko?

Zawahała się, ale ojciec najwyraźniej nie zamierzał dać za wygraną, dopóki mu nie powie.

- Sally Miller - wyjawiała niechętnie.

- Ale już jest lepiej? - Widząc zapłakaną twarz córki i kłęczącą obok nianię, od razu się domyślił, że Karina ją pocieszała.

- Tak, tato - odpowiedziała Janey. - Szczerze.

Przeniósł wzrok na Karinę.

- Grawitacja już trochę odpuściła?

Podniosła się szybko.

- Tak, proszę pana.

Nie podobał mu się ten jej oficjalny ton. W nocy był dla niej nieprzyjemny, a przecież nie zrobiła nic złego. Po prostu się o niego martwiła. Żałował tego, jak ją potraktował. Była życzliwa i pełna współczucia, którego tak brakowało mu w życiu. Lindy takich uczuć nie przejawiała. Podobnie jak jego zmarła żona. Zachodził w głowę, dlaczego marnował swój czas z kobietami, które były tak bezduszne. Ale to nie był odpowiedni moment, żeby się nad tym rozwodzić.

- Nie powinniście jechać na lodowisko? - spytał, zerkając na zegarek.

- Tak, już dawno - oznajmiła łagodnie Karina i uśmiechnęła się do Janey. - Jedziemy?

- Tak! Tylko wezmę torbę. - Pobiegnęła do pokoju.

Micah przyglądał się uważnie Karinie. Z jej twarzy biła niemal dziecięca niewinność.

- Ty też nie miałaś łatwo w życiu, prawda? - spytał zniecierpliwiony, mrużąc oczy.

- Prawda - odpowiedziała, a potem się skrzywiła. - Mnie również dokuczano, tak jak Janey.

- A twoi rodzice? Stawali w twojej obronie?

Nabrała głęboko powietrza.

- Byli zdania, że powinnam radzić sobie sama. Interweniowali tylko raz, kiedy byłam w drugiej klasie liceum. Jedna dziewczyna tak mnie dręczyła, że nie chciałam chodzić na

lekcje. Mama poszła wtedy do dyrektora, a moją gnębicielkę przeniesiono po cichu do innej szkoły. Do końca liceum miałam spokój. Ale potem znów spotykały mnie przykrości ze strony innych... ludzi. – Omal nie wypaliła: „łyżwiarzy”, ale w porę się zreflektowała. Rywalizacja na zawodach, zwłaszcza regionalnych i krajowych, była naprawdę zacięta. Niektórzy zrobiliby wszystko, żeby wygrać; byli nawet gotowi okaleczyć konkurentów albo z nich szydzili, żeby tylko podkopać ich pewność siebie.

– Ja też uważam, że Janey powinna sama staczać swoje bitwy – oświadczył. – Ale to zupełnie inny przypadek. Trzeba powiadomić władze szkoły.

– Oczywiście! – zawtórowała Karina. – Janey jest takim słodkim dzieckiem. Na samą myśl o tym, że jakaś rozpasana smarkula naśmiewa się z jej niewinności, robi mi się słabo.

Mówiła z takim przekonaniem... Podobała mu się, choć nie powinna. Był zaręczony. Lindy naciskała, żeby wyznaczył datę ślubu, ale wciąż się opierał. Właściwie to nie chciał się z nią żenić i właśnie to sobie uzmysłowił. Jeszcze nie było za późno.

– Jak twoja kostka? – spytał.

– Dużo lepiej – odparła Karina. – Ale na wszelki wypadek wciąż ją bandażuję. Już kiedyś złamałam tę nogę. To było trzy lata temu. Muszę uważać, ale mogę już jeździć. Po prostu nie chcę jeszcze próbować skoków.

– Skoków? – spytał, bacznie się jej przyglądając. Nagle jej twarz wydała mu się dziwnie znajoma, jakby gdzieś już ją widział. – Skąd pochodzisz?

– Z małego miasteczka pod Jackson Hole. Moi rodzice mieli tam niewielkie ranczo. Tata znał się na genetyce i hodował angusy. Ale gdy zostałam sama, nie dałam rady tego wszystkiego utrzymać. Musiałam sprzedać farmę. – Uśmiechnęła się smutno. – Płakałam przez bite trzy dni. Tylko to mi po nich zostało.

– Wspominałaś, że zmarli w tym samym czasie.

– Tak. My... yyy, znaczy się, lecieli z Rosji małym pasażer-

skim samolotem. Samolot się rozbił, a oni zginęli. – Zbladła, odtwarzając w głowie cały ten koszmar. Po chwili zamrugła, spychając okropne myśli w najdalsze zakamarki pamięci.

To drobne przejęzyczenie nie umknęło jego uwadze. Ona też była na pokładzie i prawdopodobnie patrzyła na ich śmierć. Teraz, gdy to zrozumiał, poczuł się jeszcze gorzej. Nakrzyczał na nią, a przecież tylko się o niego martwiła, kiedy i on ponownie przeżywał swój koszmar.

– Moja żona Anabelle – zaczął – też zginęła w katastrofie lotniczej. – Zacisnął zęby. – I to ja siedziałem za sterami.

Karina poczuła ból na tę wieść.

– Tak mi przykro – wychrypiała. Domyślała się, co ujrzał po zderzeniu z ziemią. Utkwiła wzrok w jego ciemnych oczach i dodała: – Czasami lepiej zginąć niż przeżyć.

Pokiwał wolno głową.

– Zdecydowanie. – Zmrużył oczy. – Byłaś tam, prawda? Widziałaś ich? Tuż po wypadku.

Przełknęła z trudem ślinę i walcząc ze łzami, przygryzła dolną wargę.

– Nie przypominali ludzi – wyszeptała z trudem.

– Tak samo jak moja żona.

Stali w milczeniu, przeżywając wspólnie tamte przerażające chwile. Oboje widzieli coś, czego żaden człowiek widzieć nie powinien.

– Ile miałaś wtedy lat? – spytał po chwili.

– Dwadzieścia.

– Miałaś jakichś krewnych, którzy się tobą zaopiekowali?

– Nie. Mama i tata nie mieli rodzeństwa, a ja urodziłam się dość późno. Moi dziadkowie dawno poumierali. Mieszkałam u przyjaciela i jego żony do czasu, aż sprzedałam farmę i mogłam sobie pozwolić na własne mieszkanie. Byli przekochani. Ale nie mogli zastąpić mi rodziców – dodała ze smutkiem. – To był dla mnie prawdziwy koszmar.

– Dla mnie również. Służąc w wojsku za granicą, widziałem

wiele strasznych rzeczy, ale to coś zupełnie innego, kiedy człowiek jest spokrewniony z ofiarą, choćby przez małżeństwo. Anabelle może nie była najlepszą żoną ani matką – dodał po cichu, żeby Janey nie słyszała – ale człowiek przyzwyczaja się do ludzi, z którymi dzieli życie. No i jeszcze to poczucie winy.

- Że pan przeżył, a ona nie?

- Tak. A to ja pilotowałem.

- To zabrzmiało dziwnie, ale gdy na człowieka przychodzi czas, nic już się nie da zrobić – skonstatowała. – Musiałam to sobie uzmysłowić, bo inaczej nigdy bym się nie otrząsnęła z traumy. Właściwie to nadal się nie otrząsnęłam. Ale nie winię za nic pilota. Padał gęsty śnieg, a główny śledczy powiedział, że nikt nie przewidziałby takiej burzy i nie dałby rady zapobiec katastrofie.

- Usłyszałem to samo, kiedy rozbiłem samolot. Marne pocieszenie.

- Racja. To nie przywróci im życia.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu, łącząc się w żalu, cierpieniu i poczuciu winy.

Nagle Micah zmarszczył brwi.

- Co robiliście w Rosji?

Zaczerwieniła się zakłopotana. Nie mogła wyznać mu prawdy. Jeszcze nie teraz.

- Polecieliśmy do Soczi na zimowe igrzyska – powiedziała po prostu. – Rodzice wykosztowali się na tę podróż, ale szalenie chcieli zobaczyć zmagania sportowców. Byli zachwyceni. Ja zresztą też... do czasu.

- To straszne tak stracić bliskich.

- To straszne stracić bliskich. Nieważne jak...

- Gotowa! – oświadczyła Janey, wchodząc do pokoju z torbą sportową przewieszoną przez ramię.

Karina posłała jej uśmiech.

- Tylko wezmę łyżwy i możemy jechać.

- Okej!

Micah odprowadził je wzrokiem z mieszanymi uczuciami. W tym krótkim czasie naprawdę sporo się dowiedział o opiekunce swojej córki. Wyszła cało z katastrofy lotniczej, tak samo jak on. Oboje żyli z poczuciem winy, choć jego było pewnie większe, bo to on siedział za sterami samolotu.

Ale może Karina miała rację? Istniało coś takiego jak siła wyższa, dziwne, losowe zdarzenia, w których ludzie tracili życie: katastrofy w przestworzach, kraksy samochodowe, zatonięcia statków. Jeśli śmierć jest nieunikniona, to może ci, którzy przyczyniali się do tych wypadków, byli tylko narzędziami w rękach Boga służącymi wypełnieniu Jego woli, kiedy wreszcie na człowieka przychodziła jego kolej.

Takie ujęcie najgłębszej istoty ludzkich losów sprawiało, że trochę łatwiej było się z tym pogodzić.

Nagle z tej dziwnej zadumy wyrwał go dzwonek telefonu.

- Gdzie jesteś, do cholery? - rzuciła zniecierpliwiona Lindy, kiedy odebrał. - Muszę się dostać do Denver. Mam spotkanie z klientem. Pośpiesz się!

Nie odpowiedział. Miarka się przebrała. Miał już serdecznie dość jej roszczeniowej i agresywnej postawy, choć uświadomił to sobie dopiero po zatrudnieniu Kariny. Kontrast między nią a Lindy był wręcz uderzający.

- Będę, kiedy będę - warknął w końcu. - Niech ci się nie wydaje, że możesz mi rozkazywać. Bo możesz się bardzo zdziwić. - Rozłączył się.

Po chwili oddzwoniła, ale po prostu wyłączył dzwonek.

Burt wystawił głowę zza węgła.

- Lindy znów daje ci w kość? - spytał.

- Nigdy nie przestaje - mruknął Micah.

- Obrączka ślubna nie zawsze symbolizuje szczęście małżeńskie. Czasami oznacza stryczek - skomentował Burt. - Twoja sprawa, ale widziałem już facetów, którzy zostali stłamszeni przez wiecznie ujadające i krytykujące kobiety.

- Ja też... - Skrzywił się. - Cóż, chyba jestem na nią skaza-

ny.

- Wcale nie – skontrolował doświadczony przez życie Burt.

Micah pochwycił jego spojrzenie.

- Myślałem o tym.

- Przestań myśleć, zacznij działać – rzucił z rozbawieniem.

- Ona chce cię siłą zaciągnąć przed ołtarz.

- Tak, o tym też myślałem.

- Ta niania to miła dziewczyna. Przytulała Janey i pocieszała, że wszystko będzie dobrze. Dawno nie widziałem, żeby Janey tak płakała, a już na pewno, by była tak szczęśliwa jak teraz, dzięki niej.

- A, właśnie... – mruknął Micah i wykręcił numer do szkoły Janey.

Dyrektorka przeżyła szok, kiedy przedstawił jej sytuację.

- Ona ma dopiero jedenaście lat – skomentowała.

- Janey nigdy nie kłamie – zripostował Micah. – Skoro twierdzi, że tamta dziewczyna zabawia się z chłopcami w czasie zajęć, to tak właśnie jest. Wie pani, co się stanie, gdy jej rodzice się dowiedzą, że wymyka się ze szkoły, żeby podokazywać z chłopakami.

- Tak, wiem – przyznała dyrektorka. – Wytoczą nam taki proces, że się nie pozbieramy. A jeśli dowie się o tym lokalna prasa... Zajmę się tym. Jeszcze nie wiem jak, ale to załatwię. Ma pan moje słowo.

- Dziękuję. Porozmawiam jeszcze z wychowawczynią córki. Tamta dziewczyna uprzykrza jej życie. Każdego dnia Janey wraca ze szkoły zapłakana. – Zawahał się, ale dodał po cichu:
- Wie pani, mam swoich prawników.

Usłyszał, jak wciągnęła gwałtownie powietrze. Większość mieszkańców Catelow wiedziała, że Micah Torrance jest niewyobrażalnie bogaty. Władza i pieniądze mogą budzić lęk, zwłaszcza w połączeniu z opiekuńczym instynktem rodzica.

- Jestem tego świadoma. Skontaktuję się z panem, kiedy rozwiązę problem – odpowiedziała. – Będę musiała zbadać

sprawę, a to może trochę potrwać.

- Proszę zapisać ten numer. - Zaczął dyktować.

- Czyj to telefon?

- Znam waszego prawnika i wiem, że chwilowo nie ma nikogo, kto mógłby przeprowadzić dochodzenie. To numer do prywatnego detektywa. Moi znajomi korzystali z jego usług. Jest dyskretny i skuteczny. Zdobędzie dowody. Przekaze pani jego telefon prawnikowi?

Chwila ciszy, a potem westchnienie.

- Tak - odparła w końcu. - Przekażę. Bez twardych dowodów potwierdzających zarzuty nie mogę nic zrobić.

- Rozumiem. Chcę tylko, żeby moja córka lubiła chodzić do szkoły - powiedział wprost i zaraz dodał: - Żyjemy w smutnych czasach. Gdy sam byłem dzieckiem, chłopcy woleli wznosić forty i grać w kosza, niż wymykać się z dziewczynami. Zwłaszcza w tym wieku.

- Wiem, świat stanął na głowie. Będę się odzywać, panie Torrance. I dziękuję za pomoc.

- Ja też będę się odzywać - odpowiedział cicho. - Może być pani tego pewna.

- Tak. Oczywiście. - Zanim się rozłączyła, brzmiała tak, jakby ją ktoś dusił.

Micah wiedział, jak w takich miejscach działa machina sprawiedliwości. Dyrektorka bała się złego rozgłosu, gdyby grzeszki tamtej dziewczyny wyszły na jaw. On jednak zamierzał dopilnować, żeby zajęła się tą sprawą i nie próbowała zamieść jej pod dywan. W ostateczności jego prawnik skontaktuje się z rodzicami rozbrykanej uczennicy i zagrozi im pozwem. Zazwyczaj to wystarczało.

Nikt nie będzie gnębił mojej córeczki, przyrzekł sobie w myślach.

Janey z reguły sama rozwiązywała swoje konflikty, ale ta sytuacja była haniebna i bardzo niepokojąca. Nie mógł nie zareagować i pozwolić, żeby eskalowała.

Spojrzał na zegarek. Już widział, jak Lindy się wścieka. Ale

miał to gdzieś.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Właśnie tak! - powiedziała z uznaniem Karina, gdy Janey skoczyła swojego pierwszego flipa. Uśmiechnęła się, widząc radość i dumę rozpieszczającą dziewczynkę. - Świetnie sobie radzisz!

- Ale fajnie! - rzuciła Janey. - Gdy jeżdżę na łyżwach, zapominam o wszystkich zmartwieniach.

- Mam tak samo - przyznała Karina, po czym dodała: - Od kąd nauczyłam się chodzić, właściwie nie rozstawałam się z łyżwami. To było całe moje życie. - Na chwilę na jej twarzy zagościł smutek.

Janey to zauważyła i podjechała do niej.

- Jeszcze nie wszystko stracone - próbowała ją pocieszyć. - Znaczący się ty i łyżwy. Czytałam o wielu łyżwiarzach, którzy wracali po kontuzji. Pewna para nie jeździła przez dwa lata, bo ona urodziła dziecko, a gdy wrócili na lód, zdobyli srebro na olimpiadzie.

Karina dobrze wiedziała, o kim mowa, ale nie mogła się przyznać. Po prostu się uśmiechnęła.

- Tak, też o nich czytałam.

- Jeśli chodzi o łyżwiarstwo, to jestem prawdziwą fanatyczką - stwierdziła ze śmiechem Janey. - Pochłaniam wszystko, co uda mi się znaleźć na ten temat. Kiedyś będę startować w zawodach. Po prostu to kocham!

Karina świetnie ją rozumiała. Jako dziecko czerpała z tego tyle samo radości, tylko że kiedy była w wieku Janey, od lat startowała już w konkursach.

- Słyszałaś, co powiedziała właścicielka lodowiska. Uważa, że masz to coś. Ja zresztą też tak myślę - dodała. - Już jesteś świetna.

Janey oblała się rumieńcem.

- Dzięki - odparła uradowana. - Obiecuję, że będę ciężko pracować.

- No dobrze. W takim razie pora na chassé.

Kolejne dni mijały leniwie. Instruktor, o którym mówiła Hilde, nie mógł dotrzeć, ale obiecał, że zjawi się wkrótce. Tymczasem Karina instruowała Janey na lodowisku, a gdy dziewczynka była w szkole, pomagała Burtowi w obowiązkach. Burt z początku marudził, dopóki mu nie uświadomiła, że praca to praca, a przecież nie będzie siedziała beczynnienie. Jak ma się opiekować dzieckiem, którego nie ma w domu? Wreszcie ustąpił, bo lubił jej towarzystwo.

- Słyszałem, że właścicielka lodowiska ma otworzyć wypożyczalnię łyżew - rzucił któregoś razu po śniadaniu, kiedy zmywali naczynia. To znaczy on zmywał, a ona wycierała. W domu nie było zmywarki. Najwyraźniej Micah Torrance uznał, że jest zbędna.

- Tak, też o tym słyszałam - przyznała z uśmiechem. - To mądre posunięcie, dobre dla interesów. Ludzie raczej nie będą kupować łyżew, żeby wybrać się raz czy dwa razy na ślizgawkę.

- To prawda. Zwłaszcza przy obecnym stanie gospodarki. Podobno ta kobieta trenowała kiedyś łyżwiarzy.

- Zgadza się, ale usłyszała od innych, że jej choreografia jest przestarzała. - Prychnęła z pogardą. - Moim zdaniem miała piękny styl. Wiesz, zanim zaczęła trenować, sama też jeździła. Była mistrzynią.

- Dlaczego potem nie dołączyła do jednej z tych rewii na lodzie, w których występują zawodowi łyżwiarze?

- To umierający biznes - stwierdziła ze smutkiem Karina. - Sporty zimowe, takie jak łyżwiarstwo, nie przyciągają już publiczności. No, może z wyjątkiem igrzysk olimpijskich, ale igrzyska są co cztery lata. Wiele rewii zdjęto z afisza z powodu marnej sprzedaży biletów. Chyba niedługo odejdą do lamusa.

- Wiesz, kiedyś, w latach osiemdziesiątych, uwielbiałem oglądać zawody łyżwiarskie - rzucił tęsknie Burt, lecz zaraz

się roześmiał: - Byłem pewny, że gdyby zamknąć gdzieś w szafie te wszystkie rosyjskie pary sportowe, to nasi łyżwiarze zdobyliby złoto. Rosjanie byli naprawdę niesamowici.

Uśmiechnęła się.

- Owszem. Ale Stany Zjednoczone też miały świetnych łyżwiarzy, zwłaszcza wśród solistek. Peggy Fleming. Dorothy Hamill. I wiele innych.

- Wtedy łyżwiarstwo figurowe było pełne wdzięku i elegancji. Uwielbiałem tamtą muzykę. Wyłącznie klasyczne utwory. - Pokręcił głową i dodał: - Teraz na lodowisku królują dzikie rytmy, a łyżwiarze nie mają szans na wygraną, jeśli nie wykonują spektakularnych skoków i akrobacji. Gdzie tu gracia? Dawniej łyżwiarstwo przypominało balet. Teraz to zwykłe... - Zawahał się. - Teraz to zwykłe roller derby na lodzie!

Parsknęła śmiechem.

- Aż tak źle nie jest!

- No, może nie. - Też się roześmiał. - Ale mam płyty DVD z występami dawnych mistrzowskich par. I teraz tylko to oglądam.

Ona też miała takie nagrania. Nie mogła mu jednak zdradzić, że została nazwana na cześć dwóch złotych medalistek, ani że wiedziała o łyżwiarstwie więcej, niż mu się zdawało.

- Janey bardzo cię polubiła - zmienił temat. - Cieszę się. Ostatnio nie miała łatwo. Micah przez chwilę rozważał, czy jej nie posłać do szkoły z internatem. Sam też chodził do takiej w dzieciństwie i już myślałem, że ulegnie namowom Lindy, ale Janey się zbuntowała. Pierwszy raz widziałem, żeby szef wziął jej stronę. Tak małe dziecko nie powinno przebywać z dala od domu. No, chyba że nie ma innego wyjścia.

- Jestem tego samego zdania - zgodziła się z nim.

- Janey ma tylko ojca. Żadnych innych żyjących krewnych, nawet dziadków. A on stale gdzieś wyjeżdża. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Fajnie mieć swoje imperium, ale ile się trzeba dla niego wyrzec... Omija go całe dzieciństwo Janey. Ona ma już dziewięć lat, a za kolejne dziewięć będzie w college'u albo na swoim.

- To prawda, dzieci tak szybko dorastają.

- Jak Janey radzi sobie na łyżwach? Tak szczerze.

- Świetnie - odparła entuzjastycznie. - Aż się wierzyć nie chce, jak wielkie poczyniła postępy. Robi piękne flipy. Nad toe-loopami musi jeszcze popracować, ale to kwestia ćwiczeń. No i świetnie jej wychodzą przekładanki, nawet na słabszej nodze.

- Widzę, że trochę się na tym znasz.

- Jeżdżę na łyżwach, odkąd skończyłam trzy lata. Gdy byłam w wieku Janey, znajdowałam w tym pocieszenie. Mnie też w dzieciństwie dokuczano. Byłam niezdarna i dziwna, i jakoś nigdy nie potrafiłam znaleźć wspólnego języka z innymi dziećmi. Z jednym wyjątkiem. - Tym wyjątkiem był Paul, ale nie zamierzała o nim wspominać.

- Szeף nigdy nie miał takich problemów w tym wieku - stwierdził w zadumie. - Wiesz, jego ojciec był generałem. Michah był musztrowany tak w domu, jak i w szkole. To go zahartowało. Większość dzieciaków po prostu schodziła mu z drogi. Niektórzy do dziś tak robią, bo bywa szorstki w obyciu.

- To prawda, ale jest sprawiedliwy i uczciwy. Zawsze wiadomo, czego można się po nim spodziewać.

Uniósł wysoko brwi.

- Proszę, proszę. Pojętna z ciebie uczennica.

- Na to wygląda - odpowiedziała ze śmiechem.

- Świetnie go podsumowałaś. Tylko zapomniałaś o jego wybuchowym charakterze. Z tego chyba nie da się wyleczyć.

- Mój tata też taki był - zauważyła. - Ale szybko mu przechodziło. Z mamą było podobnie. Tak czy siak, była świetną towarzyszką.

- Utrata rodziców jest bolesna - skomentował. - Moi nie żyją już od trzydziestu lat, a nadal mi ich brakuje.

- Nikt nas nie docenia tak jak rodzice - skwitowała.

Nagle rozwarły się drzwi i do środka wraz z kłębem niesio-

nego podmuchem śniegu wszedł Micah.

- Na dworze szaleje śnieżycą - mruknął. - Omal nie przydzwońłem w sosnę, która wyrosła na drodze dosłownie znikąd.

- Sypie już od około godziny - potwierdził Burt.

- Odwołali lekcje - dodał Micah, taksując wymownie Karinę.

Splonęła się.

- O raju, przepraszam! Nie słuchaliśmy radia!

- Nie widziałaś, co się dzieje za oknem? - warknął.

Jej rumieniec jeszcze bardziej się pogłębił. Zdjęła fartuch, który pożyczył jej Burt, i przewiesiła go przez oparcie krzesła.

- Już jadę po Janey - powiedziała zdenerwowana.

Widząc, jak bardzo jest roztrzęsiona i jak groźną minę zrobił Burt, Micah poczuł się niezręcznie.

- Do diabła! - rzucił. - Sam po nią pojedę.

Włożył kapelusz i wypadł jak burza na dwór, trzaskając za sobą frontowymi drzwiami.

- O rety - zaniepokoiła się Karina.

- Bywa humorzasty - stwierdził lakonicznie Burt. - Zwykle z powodu Lindy. Nie da się jej dogodzić. Pewnie go rozwścieczyła, jeszcze zanim zdążył wysiąść z samolotu.

- Jest bardzo ładna - zmieniła temat, nie chcąc obgadywać narzeczonej szefa.

- Tak jak niektóre gady... - skwitował, kręcąc głową. - Janey jej nie cierpi. Ani ja. Najmilsze, co powiedziała o moim jeźdzeniu, to że nadaje się dla psów.

- Mnie twoja kuchnia bardzo smakuje - oznajmiła łagodnym tonem.

- Dziękuję.

Ich rozmowę przerwało niecierpliwe pukanie do drzwi, a po

chwili do kuchni wmaszerował Billy Joe z Dietrichem.

- Szef już wrócił? - spytał.

- Wrócił i od razu wyszedł - odpowiedział Burt. - Czego ci trzeba?

- Niczego. Chciałem tylko spytać, czy mogę wziąć wolne na niedzielę wieczór. To jest, jeśli minie śnieżycy. W Cheyenne odbywa się wystawa psów. Pomyślałem, że pojedę z Dietrichem i zawstydzę inne psy użytkowe.

Burt zawył jak prawdziwy pies.

- Jeśli tak mu to zreferujesz, to na pewno nie będzie miał nic przeciwko.

Billy Joe wyszczerzył się w uśmiechu. Przechylił głowę i spojrzał na Karinę.

- Lubisz filmy dla dzieci? - spytał.

Zamrugnęła zdziwiona.

- Słucham?

- No, takie animowane - wyjaśnił. - W Catelow Rialto grają ten nowy, *Coco*.

- Ach, ten! Tak, lubię takie filmy.

- To może wybierzemy się razem w sobotę wieczorem, jeśli nie jesteś zajęta?

- Nie jestem zajęta w żaden sobotni wieczór - odparła z uśmiechem. - Chętnie się przejdę. Dziękuję.

Zaśmiał się i lekko zaczerwienił.

- Okej, no to jesteśmy umówieni. Powiedzmy na osiemnałą. Po drodze możemy wstąpić na kolację na jakąś rybę.

- Uwielbiam ryby - wyznała.

- Świetnie. - Uchylił kapelusza, uśmiechnął się szeroko i wyszedł na śnieg z Dietrichem.

Burt słowem się nie odezwał, coś jednak nie dawało mu spokoju. Micah był szorstki dla panny Carter, ale raczej nie dlatego, że jej nie lubił. Tak czy owak, był pewny, że szefowi

się to nie spodoba. Ani trochę.

Janey wparowała do środka z plecakiem oblepionym śniegiem.

- Raju, omal nie wylądowaliśmy w rowie! Na dworze jest okropnie!

- Z łyzew też dzisiaj nici - mruknął Micah. - Drogi są prawie nieprzejezdne.

- Ojej - zasmuciła się Janey.

- Wkrótce się roz pogodzi - pocieszyła ją Karina. - Zobaczysz.

- Cóż, dziś piątek. Jutro też możemy pojechać, prawda? Znaczy się, jeśli przestanie sypać.

- Oczywiście - odparła z pewnym wahaniem. - Ale musimy wrócić przed osiemną.

- Dlaczego?

- Billy Joe zabiera mnie do kina... Och!

Podskoczyła przestraszona. Micah upuścił but, który huknął o podłogę niczym grzmot.

- Na co? - spytał, stojąc w jednym bucie.

- Na *Coco* - wydusiła.

- Przecież to kreskówka.

- Nie widzę w tym nic złego - zaperzyła się. - Lepsze to niż te świństwa, które uchodzą dziś za rozrywkę!

Otworzył szeroko oczy, po czym wyskandował:

- Pozamykać kina! Zlikwidować bary! Zakazać muzyki!

- Nie jestem Oliverem Cromwellem, a to nie jest Anglia - stwierdziła z wyniosłą godnością.

- Ale niewiele ci brakuje do purytanki!

Nadąsała się, a wtedy przypomniała o sobie Janey:

- Będziemy miały tylko dwie godziny. Ale to nic. - W jej głosie pobrzmiwał smutek. - Znaczy się...

- Możemy zapytać Billy'ego Joe, czy też się możesz z nami wybrać - zasugerowała Karina. - Podobno film jest świetny.

Wszyscy wokół osłupieli, jednak Karina nie była tego świadoma.

- Przecież idziesz na randkę - zaproponowała Janey.

- Nie, idę na film - sprostowała, kręcąc głową.

- Och.

Burt i Micah wymienili zdumione spojrzenia.

W tej samej chwili znowu pojawił się Billy Joe. Wsunął głowę przez drzwi i zaczął się kajać:

- Karina, naprawdę chciałem cię zabrać do kina, ale to druga sobota w miesiącu. Wiesz, gram w kapeli i mamy już umówione koncerty. Jeden wypada akurat jutro. Kompletnie o nim zapomniałem... - Rozejrzył się niepewnie, bo wszyscy mieli dziwne miny.

- Nie szkodzi - powiedziała wesoło Karina. - Janey i ja spędzimy więcej czasu na lodowisku. Nic się nie stało. Szczerze.

Jego twarz pojaśniała.

- No to świetnie. Dzięki! Innym razem?

- Pewnie - zgodziła się ochoczo.

Uchylił kapelusza, wpuścił Dietricha do domu i wycofał się z uśmiechem, zamykając drzwi.

- Poszło gładko - rzucił Micah, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - I obyło się bez rozlewu krwi - skwitował enigmatycznie, po czym zdjął drugi but, cisnął go obok pierwszego i poczłapał do swojego pokoju.

Zamknął się w sypialni, nieco zaskoczony nagłą ochotą wrzucenia Billy'ego Joe do gnojowicy. Nie powinien czuć się zdradzony tylko dlatego, że opiekunka córki chciała się umówić z młodym kawalerem do wzięcia. W końcu był zaręczony. Prawda?

Im częściej porównywał Lindy do Kariny, tym podlej się czuł. Nie rozumiał, dlaczego w ogóle to robi. Tak go to rozeźliło, że do końca dnia nie wyściubił nosa z pokoju.

Karina nie mogła się pozbyć wrażenia, że czymś rozzłościła szefa, ale nie miała pojęcia czym. Była z Janey na lodowisku i ćwiczyła z nią toe-loopy oraz chassé, które na słabszej nodze nie wychodziły dziewczynce za dobrze.

- Ale fajnie - westchnęła Janey. - Uwielbiam tu z tobą przychodzić.

- Ja też - odpowiedziała z uśmiechem Karina, jadąc obok niej. - Tak bardzo bałam się powrotu na lód. Kostka już prawie się zagoiła, ale wciąż wracałam pamięcią do tamtego dnia, kiedy ją złamałam. To było okropne przeżycie.

- Musisz przestać oglądać się za siebie i ruszyć do przodu - oświadczyła z szerokim uśmiechem Janey. - Ale do tyłu też jest fajnie, no nie?! - Odwróciła się i zaczęła jechać tyłem, na przemian rozsuwając i złączając nogi.

- Nieźle - pochwaliła ją Karina.

- Pokażesz mi, jak skaczesz toe-loopa? - spytała mała łyżwiarka. - I może jeszcze lutza...?

Karina wzięła głęboki wdech.

- Cóż, kiedyś muszę spróbować. - Zawahała się. W sobotę wieczorem na lodowisku zwykle roіło się od łyżwiarzy, ale tego dnia w Catelow sporo się działo, więc była ich raptem garstka.

Pani Meyer zobaczyła, że Karina rozgląda się po tafli, jakby do czegoś się przymierzała. Uśmiechnęła się i zmieniła muzykę. Włączyła kompozycję Rachmaninowa - *Rapsodię na temat Paganiniego*, opus 42, wariację VIII - i mocno podekscytowana czekała, co się wydarzy.

Na dźwięk tej melodii Karina wstrzymała oddech. Nagle przeniosła się w czasie do tamtych mistrzostw świata, które wygrała z Paulem. To był ich utwór.

Niewiele myśląc, zaczęła jechać wokół tafli, z każdym ruchem nóg nabierając coraz większej prędkości. Właśnie za to najczęściej chwalono ją i Paula. Ich układy miały w sobie moc i grację.

Rozmarzyła się i odtworzyła starą choreografię, zupełnie

nieświadoma utkwionych w nią spojrzeń tych kilku łyżwiarzy, którzy zjechali na skraj lodowiska i z podziwem patrzyli na jej lutze, toe-loopy, salchowy i piruety. Zapomniała o bożym świecie; jechała tak, jakby miało nie być jutra, całkowicie zatracając się w melodii, do której kiedyś występowała.

Na koniec wykonała pięknego laybacka w kombinacji z siadanym piruetem, a gdy wróciła na ziemię, zerwała się burza oklasków. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jeździła na oczach publiczności.

Speszona oblała się rumieńcem i podjechała do Janey, uśmiechając się nieśmiało do innych łyżwiarzy.

- To było piękne! - rzuciła z zachwytem dziewczynka. - Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak jeździł. No, chyba że w telewizji!

Karina wzięła głęboki oddech.

- Kiedyś dużo jeździłam - przyznała. - To było, zanim zламаłam nogę, a potem kostkę. Bałam się do tego wrócić. Chciałabym ci podziękować.

- Mnie? Za co? - zdziwiła się Janey.

- Dzięki tobie nabrałam odwagi, żeby znów spróbować - powiedziała łagodnym głosem. - Gdyby nie ty, nie wiem, czy bym się przełamała.

Janey uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Czy będę kiedyś tak dobra jak ty? - spytała.

- Oczywiście - odpowiedziała Karina. - To nie jest takie trudne. Ale bez ćwiczeń się nie obędzie. I bez upadków - rzuciła żartem.

Pani Meyer podeszła do bandy. Karina i Janey podjechały do niej.

- Przepraszam - powiedziała, ale nie było jej przykro. Na jej twarzy malował się szeroki uśmiech. - Pomyślałam, że może cię zainspiruję.

- Obie mnie zainspirowałyście - odparła rozpromieniona Karina. - Dziękuję - dodała wzruszona. - Ta muzyka... cóż, jest jakby częścią mnie.

- Dlatego ją włączyłam - oświadczyła Hilde. - Tak pięknie jeździsz. Żałuję, że cię nie trenowałam.

- Ja też - przytaknęła Karina i się skrzywiła. - Mieliśmy trenera, który nas terroryzował. Znosiliśmy go przez dwa lata, aż w końcu zabił w nas ducha i chęć do jazdy. W końcu go zwolniliśmy, ale to wymagało od nas nie lada odwagi.

- Od nas, czyli od kogo? - spytała Janey.

Karina szybko zebrała myśli.

- Yyy, ode mnie i jeszcze kilku innych łyżwiarzy - odpowiedziała, by nie wspominać o Paulu. - To było dawno temu, w Nowym Jorku.

- W Nowym Jorku?! - wykrzyknęła Janey. - Myślałam, że mieszkałaś w okolicach Jackson Hole.

- Zgadza się. Widzisz, jeśli się awansuje w turniejach, to trzeba jeździć tam, dokąd cię zapraszają. Gdy startowałam w zawodach, zatrzymywałam się w różnych miejscach u rodzin innych łyżwiarzy, którzy zwykle są mili i bardzo gościnni. Mieszkałam w wielu miastach w całym kraju, a nawet za granicą... - Zawiesiła głos. Zdradziła już więcej, niż chciała.

Janey zacisnęła wargi.

- Boisz się, że komuś wygadam. Nikomu nie powiem. Słowo honoru - dodała uroczyście. - Jeździłaś wyczynowo, prawda?

Karina nabrała powietrza.

- Tak, w parze z partnerem. Gdy to się stało - wskazała kontuzjowaną stopę - musiał sobie poszukać innej partnerki. To był dla mnie wielki cios. Jeździliśmy ze sobą od dziecka.

- Rany, to przykre - stwierdziła Janey.

- Tamta partnerka właśnie go zostawiła - zauważyła Hilde.

- Co? - zdziwiła się Karina. - Ale zawody regionalne są w tym miesiącu, a zaraz potem kolejne eliminacje! Powinien w nich startować!

Hilde skinęła głową.

- Tak, ale przez te komplikacje w tym roku nie będzie rywalizował. Poza tym jego trener przeniósł się do Norwegii. Ma

tam kilku młodszych podopiecznych, w których pokłada wielkie nadzieje. Twierdzi, że wkrótce zostaną mistrzami świata.

- Biedny Paul...

- Szczerze mówiąc, niezbyt się tym smuci - wesoło skwitowała Hilde. - Podobno nowa partnerka bardziej się przejmowała swoim kostiumem, makijażem i paznokciami niż poprawnym wykonaniem potrójnych skoków. Najwyraźniej marząca z niej była łyżwiarka.

- Dawno z nim nie rozmawiałam - przyznała Karina. - Powinam się częściej odzywać.

- On wie, że nie jest ci łatwo - pocieszała ją Hilde. - Rozmawiałam z nim i powiedziałam, że się przemogłaś i znów zaczęłaś jeździć. Był z ciebie dumny.

Karina się rozpromieniła.

- Mówił, co u Gerdy i chłopców?

- Wszystko dobrze. Są teraz całą czwórką w Jackson Hole.

- Nie kontaktowałam się z nimi. Muszę to naprawić.

Kiedy tak rozmawiały, podjechał do nich chłopiec kilka lat starszy od Janey.

- To było genialne! - rzucił do Kariny, lekko się rumieniąc. - Ten potrójny salchow był bezbłędny! Ja tak nie potrafię. Chciałbym kiedyś tak jeździć.

- Kwestia praktyki - stwierdziła skromnie Karina. - Trzeba trenować po kilka godzin dziennie, żeby dojść do wprawy.

- Szkoda, że nie ma tu jakiegoś trenera - odpowiedział ze smutkiem.

- Właściwie to mam już kandydata na to stanowisko - oświadczyła z promiennym uśmiechem Hilde. - W przyszłym tygodniu mam z nim rozmowę.

- Prawdziwy trener? - spytał z niedowierzaniem chłopiec.

- Owszem. Będzie tu uczył.

- Muszę powiedzieć tacie! - wykrzyknął. - Tak bardzo potrzebuję prawdziwych treningów!

Hilde wyszczerzyła się w uśmiechu.

- Postaram się, żebyśmy mieli tu kogoś, kto się tym zajmie.

- Dziękuję!

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało i wrócił do swoich przyjaciół.

- Zatrudnienie instruktora to naprawdę dobry pomysł - przyznała Karina.

- Sama bym się tym zajęła, ale tak jakby wypadłam z gry - powiedziała ze smutkiem Hilde. - Podobno nie mam pojęcia o tym, jak się teraz trenuje łyżwiarzy, i nadal tkwię w średniowieczu. - Roześmiała się. - Mój znajomy oczernił mnie wśród łyżwiarzy, których trenowałam, i wszyscy poszli do niego. I tak oto wylądowałam tutaj.

- Uważam, że była pani świetną trenerką - zaproponowała Karina. - Pani układy były pełne gracji, niczym balet, i równie piękne. Uwielbiałam oglądać pani podopiecznych.

- Brakuje mi tego.

Karina rozciągnęła usta w uśmiechu.

- A mnie brakuje zawodów. - Spuściła wzrok. - Mogę już jeździć. Ale trudno będzie mi wrócić do dawnego poziomu.

- Nic, co jest coś warte, nie przychodzi łatwo - skomentowała Hilde.

- Cóż, ma pani rację - zgodziła się Karina.

- Czy kiedykolwiek będę tak dobra jak ty? - spytała Janey, patrząc na Karinę.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Kiedy zjawi się trener, porozmawiamy z twoim tatą o zajęciach. Ja mogę ci pokazać, co i jak, ale potrzebujesz instruktora, i to dobrego, który nauczy cię różnych skoków i przeszkoli tak, żebyś wykonywała je bezbłędnie. Ja się do tego nie nadaję - dodała.

- Myślę, że świetnie sobie radzisz - oświadczyła Janey.

- Dziękuję. Ale jeśli chcesz brać udział w zawodach, to musisz mieć prawdziwego trenera. Przejście z poziomu początkującego choćby tylko do następnego to długi i żmudny pro-

ces. Czeka ją cię testy, a żeby je zdać, musisz opanować wymagane elementy. Przed tobą jeszcze długa droga, nawet do zawodów regionalnych. Musisz zaliczyć kolejno wszystkie szczeble. Nie da się tego przeskoczyć, a to wymaga ciężkiej pracy. Codziennych wielogodzinnych treningów. No i nie wolno ci się opuścić w nauce – dodała Karina. – Bo z łyżwiarstwa się nie utrzymasz, chyba że zdobędziesz złoto na igrzyskach.

– Kolejna olimpiada już w lutym – zauważyła Janey. – W Pjongczangu. Będzie ekstra!

– Na pewno – przyznała ze smutkiem Karina. Ona i Paul tak bardzo pragnęli w niej wystartować.

Hilde zmarszczyła brwi.

– Wiesz – powiedziała – do igrzysk jeszcze kilka miesięcy, a ja mogę wrócić do trenowania.

Karina zaniemówiła. Niemal słyszała, co chodzi Hilde po głowie.

Paul nie miał partnerki ani trenera, a Karina znów była w stanie skakać.

– Myśli pani, że... – zaczęła.

– Wiesz, która jest godzina? – zza pleców dobiegł niski, wściekły głos.

Karina zacisnęła zęby. Micah zjawił się niespodziewanie. Nawet go nie zauważyła. Zerknęła na zegarek.

– O rety.

– Tak, o rety – wycedził. – Pora do domu. Nie możecie spędzać każdej chwili na przeklętym lodowisku.

– Ale tato, ja muszę ćwiczyć – rzuciła smętnie Janey.

– Ćwiczysz już od pięciu godzin – zauważył.

– Tak, ale...

– Musisz odrobić lekcje na poniedziałek – dodał szorstko. – Jeśli opuścisz się w nauce, możesz zapomnieć o łyżwach.

– Wiem. – Westchnęła. – Karina już mi to mówiła.

– Ach tak? – spytał, zerkając na nianię.

- Powiedziała, że nie utrzymam się z łyżwiarstwa, chyba że wygram igrzyska, no więc muszę się dobrze uczyć i zdobyć jakiś zawód.

- No proszę. - Wyraźnie był pod wrażeniem.

Karina zwróciła się do Hilde:

- Pomyślę nad tym, co pani powiedziała.

- Koniecznie. To może być dla nas wszystkich druga szansa - odparła z uśmiechem, skinęła głową do Micaha i wróciła do biura.

- Chodź, Janey, zdejmujemy łyżwy.

Nagle do Kariny podjechała jakaś nastolatka, niewiele młodsza od niej.

- To było niesamowite - oznajmiła. - Uczysz tu?

Karina wzdrygnęła się w duchu pod przeszywającym spojrzeniem Micaha.

- Nie, przykro mi. Ale pani Meyer ma zatrudnić instruktora.

- Wspaniale! Szkoda, że nie ciebie. Nie widziałam nikogo, kto by tak jeździł - dodała bez tchu. - Jesteś naprawdę świetna!

- Dziękuję. Ale jestem tylko amatorką. - W sumie to prawda. Nigdy nie przeszła na zawodowstwo.

Dziewczyna posłała jej uśmiech i odjechała.

- O czym ona mówiła? - spytał Micah.

- Wykonałam parę skoków - odpowiedziała Karina, ucinając dalsze pytania. - Już prawie zapomniałam, jak to się robi.

- Skoczyła potrójnego salchowa! - wykrzyknęła zniecierpliwiona Janey.

Karina zacisnęła zęby, przybierając zboląły wyraz twarzy, ale Micah w ogóle nie zareagował na tę informację. Uśmiechnęła się pocieszająco do dziewczynki, która wyglądała na zakłopotaną.

- No nic, zbierajcie się - rzucił Micah. - Pojadę za wami.

Zjechały z tafli, zdjęły łyżwy i zaczęły je wycierać irchą, którą Karina nosiła w torbie.

- Nie wystarczą do tego papierowe ręczniki? - spytał z ciekawionym.

- Ircha lepiej wchłania wilgoć - wyjaśniła Karina. - Jeśli źle się je osuszy, płozy zardzewieją. A skoro już o tym mowa, to musimy znaleźć kogoś, kto je naostrzy. Z czasem łyżwy się tępią i gorzej się na nich jeździ. Trzeba je ostrzyć co kilka tygodni.

- Burt się na tym zna - oświadczył Micah.

- Naprawdę?

- Owszem. Też jeździł kiedyś w zawodach. Nie chwalił się? - spytał z sarkazmem. - Myślałaś, że skąd tyle wie o łyżwiarstwie? Z telewizji?

Nie rozumiała, dlaczego jest do niej tak wrogo nastawiony. Tylko się przez to denerwowała. Mówiąc dokładniej, to on ją denerwował.

- Nic nie mówił - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku. Był dosyć szorstki w obyciu. I zbyt macho jak na jej gust. Woląла czulszych, delikatniejszych mężczyzn.

Patrzył spod przymrużonych powiek, jak wyciera płozy, a potem naciąga na nie puchate różowe ochraniacze i chowa łyżwy do toreb.

- Widzę, że umiesz się z tym obchodzić - zauważył.

Uśmiechnęła się, ale nie zaszczyciła go spojrzeniem.

- Jeżdżę na łyżwach od dawna.

- To znaczy?

- Odkąd skończyłam trzy lata.

Przyglądał się jej intensywnie, gdy pochylała się nad torbą. Miała długie blond włosy, które teraz były zebrane w kok. Chcąc nie chcąc, przypomniał sobie, jak wyglądały tamtej nocy, gdy poprosiła Burta, żeby do niego zajrzał, wtedy, kiedy ją zbeształ, i skrzywił się na to wspomnienie. Uwielbiał długie włosy. Lindy strzygła się na krótko.

Lindy. Z każdym dniem coraz bardziej się do niej zniechęcał. Rządziła się i wszystkim wokół rozkazywała. Strasznie go to irytowało. W ostatnim czasie dużo częściej jej odwarkiwał. Popędzała go ze ślubem, a on najchętniej by go odwołał. Burt miał rację. Nie byli dobraną parą. Musiał odbyć z Lindy trudną i nieprzyjemną rozmowę. Ale to mogło jeszcze poczekać.

- Gotowa do drogi? - spytał Karinę.

Podniosła wzrok, a on zatracił się w jej jasnoszarych oczach. Były niczym poranna mgła unosząca się nad jeziorem. Jej usta z kolei tworzyły piękny łuk. Wpatrywał się w nie dopóty, dopóki na jej wysokich kościach policzkowych nie pojawiły się rumieńce.

Zakłopotana odwróciła wzrok. Oddech jej przyśpieszył i uwiązał w piersi. Przenikliwe spojrzenie Micaha sprawiło, że serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Była przerażona; jeszcze nigdy się tak czuła.

- Gotowa... Och! - Wstała za szybko i potknęła się o torbę. Upadłaby, gdyby Micah nie złapał jej w ramiona.

- W porządku? - spytał.

Zabrakło jej słów. Pachniał drogą wodą kolońską o korzennej, egzotycznej nucie. Był taki ciepły i silny. Miała ochotę wtulić się w niego i opowiedzieć historię swojego życia.

Była zdziwiona, że prawie obcy mężczyzna wzbudzał w niej takie uczucia. Co gorsza, podobały jej się ta bliskość i dotyk jego dłoni na jej nagiej skórze.

- Zmarzłaś - zauważył. - Na lodowisku jest mroźno. Czemu nie nosisz kurtki?

- Tylko zawadza - odparła. - Przywykłam do zimna. Nawet go nie czuję.

Przesunął wielkimi dłońmi po jej ramionach.

- Skoro tak mówisz...

Podniosła wzrok na wysokość jego brody.

- Tylko... się ubiorę - wyjąkała łamiącym się głosem. Działał na nią jak nikt inny.

W dodatku był tego świadomy. Kątem oka dostrzegła cień arogancji na jego twarzy, kiedy wyswobodziła się z jego uścisku, sięgając po puchową kurtkę. Micah podszedł bliżej i pomógł jej ją włożyć. Znowu poczuła na ramionach jego ciepły, delikatny dotyk i aż się zdziwiła, jaki jest przyjemny.

- Gotowa? - spytał z uśmiechem, odwracając się do córki.

- Tak. Tato, wiesz, że mają zatrudnić prawdziwego instruktora, który będzie uczył jazdy? Może...?

Skrzywił się.

- Myślałem, że uczy cię panna Carter.

- Nie jestem profesjonalną trenerką - oznajmiła Karina, gdy ruszyli do drzwi. - Jeśli Janey chce startować w zawodach, to czekają ją testy i coraz wyższe poziomy. Powinien się nią zająć ktoś, kto ma o tym jakieś pojęcie. Ja potrafię tylko jeździć, nie umiem uczyć.

- Nieprawda - zaprotestowała Janey. - Jesteś świetną nauczycielką!

Karina wybuchnęła śmiechem.

- Dziękuję, skarbie, ale przekazuję ci tylko to, czego nauczyła mnie mama.

- No to co z tym trenerem, tato? - spytała Janey. - Naprawdę chcę jeździć. Niczego bardziej nie pragnę. Proszę!

Micah wziął głęboki oddech.

- Porozmawiamy o tym. Ale musisz się dobrze uczyć.

- Będę, obiecuję!

Skinął tylko głową, co właściwie mogło znaczyć wszystko.

- Pojadę za tobą - zwrócił się do Kariny. - Nie śpiesz się. Nadal mocno sypie.

- W porządku - odpowiedziała.

- Będę jechać z Kariną - rzuciła Janey. - Żeby się nie denerwowała.

- Jesteś kochana - odparła czule Karina, ściskając dziewczynkę, po czym dodała: - No to w drogę! - i pobiegły do sa-

mochodu.

Patrząc na nie, Micah poczuł w środku dziwne, nieznane dotąd ciepło. Anabelle nie chciała mieć dziecka. Janey była tak jakby „szczęśliwym wypadkiem”. Ale Micah pragnął być ojcem. Kochał Janey i troszczył się o nią. Lindy nie cierpiała dzieci. Karina z kolei ubóstwiała jego córkę, zresztą z wzajemnością. Nigdy nie słyszał, żeby Janey tyle się śmiała. Z nikim nie była tak szczęśliwa, jak z nią.

Tylko co będzie, kiedy Karina odejdzie? Była młoda i na pewno nie chciała wiecznie zajmować się małą dziewczynką, bez względu na to, jak bardzo ją lubiła. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Obracał ją w głowie przez całą drogę powrotną.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karina i Janey wpadły do domu, a tuż za nimi wszedł Micah. Burt odkładał właśnie na miejsce umyte naczynia.

- Trzeba naostrzyć łyżwy Janey - rzucił do niego Torrance.
- Możesz się tym zająć?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem, po czym zwrócił się do Kariny: - Jeśli trzeba, naostrzę też twoje.

- Przydałoby się - odpowiedziała. - Ostatnio dałam im niezły wycisk.

- Skoczyła potrójnego salchowa! - wykrzyknęła z zachwytem Janey, lecz zaraz ugryzła się w język, bo przecież obiecała, że nikomu nie powie.

Burt uniósł brwi w zdziwieniu.

- Potrójnego?

- Sporo ćwiczyłam - skłamała Karina, starając się zachować pozory. - Janey mnie zainspirowała - dodała ze śmiechem.

- Potrójny salchow, fiu, fiu - zagwizdał z uznaniem. - To trudny skok, zwłaszcza dla początkującej łyżwiarki - zauważył, rzucając Karinie przenikliwe spojrzenie, którego nie widział nikt poza nią.

- Bardzo trudny - przyznała. - Cóż, chyba już pójdę spać.

- Ja też - przytaknęła jej Janey, mówiąc bezgłośnie: „Przepraszam!”.

Karina tylko się uśmiechnęła, kiwając do niej głową, zanim dziewczynka zniknęła w swoim pokoju.

- Burt, zaparzysz kawę? - spytał Micah.

- Pewnie. Już się robi.

Micah przeniósł wzrok na Karinę.

- Napijesz się?

Idź spać. W tej chwili! – upomniała się w myślach. Ale zamiast tego odpowiedziała:

- Chętnie – i usiadła z nim przy stole.

Burt nalał kawy do dużych kubków i wystawił na stół dodatki.

- Sera i krakersów? – spytał.

- Zdecydowanie – odparł Micah ze śmiechem. – Na lunch miałem dziś żarcie dla królików. – Skrzywił się. – Jeśli zjem coś innego niż warzywa, Lindy zaraz wszczyna kłótnię.

- To przykre – stwierdziła cicho Karina i podniosła kubek, dziękując za cukier i śmietankę.

- Przykre? – spytał Micah, unosząc brwi.

Zaczerwieniła się.

- Przepraszam. To nie moja sprawa.

- Przykre? – powtórzył, świdrując ją wzrokiem.

Skrzywiła się pod jego spojrzeniem.

- Cóż, jeśli wychodzę z kimś na obiad, to nie dyktuję mu, co ma jeść.

Jego ciemne oczy złagodniały.

- Powinniśmy oprawić cię w ramkę i zawiesić na ścianie – skomentował. – Dzisiaj ludzie rzadko zachowują swoje opinie dla siebie.

- Są zbyt zajęci paradowaniem po ulicach z transparentami – skwitowała.

- Echa lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – zauważył Burt, krzątając się w kuchni przy serze i talerzykach.

- Wtedy też odbywały się protesty? – spytała zdziwiona Karina.

- Częściej niż teraz. – Roześmiał się. – Szalała wojna w Wietnamie. Ruch *flower-power* organizował marsze protestacyjne przeciwko naszemu udziałowi. Na kampusach wybu-

chały zamieszki. Doszło nawet do kilku śmiertelnych tragedii – oświadczył, wspominając dawne czasy. – Ale w końcu dopięli swego. Prezydent Nixon wycofał nasze wojska z południowo-wschodniej Azji i sprowadził żołnierzy do domu.

– O ile wiem, to Nixon został postawiony w stan oskarżenia. Czytałam o tym na zajęciach z historii.

– Pamiętaj, że każdy medal ma dwie strony – zauważył Burt. – Nixon nie był bez wad, ale wycofując się z konfliktu, ocalił wiele istnień. W tym mojego ojca.

– Mało kto jest albo dobry, albo zły – zgodził się Micah. – Przydałby się nam drugi Theodore Roosevelt.

Karina się roześmiała.

– To mój ulubiony prezydent – wyjaśniła, gdy utkwili w niej wzrok. – Jako dziecko był wąły i chorowity, miał też astmę, ale to go nigdy nie podłamało. Był twardy jak skała. Podobno w szeregach jego ochotniczego oddziału kawalerii, z którym ruszył na Kubę podczas wojny z Hiszpanią, znaleźli się Indianie, sportowcy z Ivy League, byli Buffalo Soldiers, wyjęci spod prawa Strażnicy Teksasu, żołnierze z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, Niemcy i wielu innych wyjątkowych ludzi. Nikt nie mógł zarzucić Teddy’emu, że jest uprzedzony wobec jakiejś grupy.

Micah potwierdził ruchem głowy.

– Ten człowiek wyprzedzał swoje czasy. Zasłynął głównie z działań antymonopolowych. Właśnie kogoś takiego nam trzeba, kogoś, kto rozbije wielkie międzynarodowe korporacje. Część z nich kontroluje media i decyduje o tym, jakie wiadomości oglądamy w telewizji, nierzadko prezentując tendencyjny politycznie punkt widzenia. To mają być wiadomości? Gdzie tu obiektywizm?

– Poza tym – wtrącił się Burt – niemal każdy program telewizyjny i każda reklama zawiera jakieś przesłanie polityczne. Oglądam telewizję dla rozrywki, a czuję się tak, jakby mnie indoktrynowano.

Karina wybuchnęła śmiechem.

– Można odnieść takie wrażenie, prawda? Ja właściwie nie

oglądałam telewizji. Gdy nie pracuję, siedzę w internecie.

- I co robisz? - spytał Micah.

- Zwiedzam odległe zakątki świata. Tajemnicze miejsca, na przykład ruiny miasta Inków w Peru, azteckie pozostałości w Meksyku czy ruiny budowli Majów na Jukatanie. Takie tam.

- Ach, archeologia - rzucił w zadumie.

- W Teotihuacán między poziomami piramid znaleziono duże ilości miki - przypomniała. - A ten konkretny rodzaj wydobywano tylko w Ameryce Południowej. Jestem ciekawa, jak Majowie ją wtedy transportowali. To przecież kawał drogi. - Spojrzała na Micaha. - Nikt nie wie, po co się tak fatygowali ani właściwie czemu wykorzystali ten minerał przy budowie piramid.

Burt ściągnął wargi.

- Mika świetnie przewodzi prąd - zauważył.

- Może to była taka prymitywna antena - rzucił Micah, posyłając mu dziwne spojrzenie. - Wiesz, żeby Majowie mogli oglądać telewizję, kiedy rzeźbili stele.

Karina parsknęła śmiechem.

- Hmm, kto wie? - ciągnął Burt. - A jak powstały te wielkie konstrukcje, na przykład w Machu Picchu? To też wielka niewiadoma. Do dziś nikt nie był w stanie zbudować niczego podobnego, nawet przy całej tej nowoczesnej technologii.

- Może to sprawka kosmitów? - zasugerowała Karina z błyskiem w oku.

Obaj spiorunowali ją wzrokiem.

- No wiecie - zaczęła - Indianie wierzą, że w czasach prehistorycznych istniało kilka cywilizacji, które osiągnęły taki sam poziom rozwoju jak my. Uważają, że te cywilizacje zostały zniszczone przez kataklizmy, a lud, który się rozpieczęł, musiał zaczynać od nowa, od epoki kamienia łupanego. Tak w ogóle to - dodała z rosnącym entuzjazmem - część Stanów Zjednoczonych znajdowała się kiedyś pod wodą. Potwierdzają to muszle znalezione na szczytach gór na Wschodnim Wy-

brzeżu.

- Lubisz teorie spiskowe? - zadrwił Micah, ale życzliwie.

- No, tak jakby. - Westchnęła. - Chodzi o to, że tak naprawdę nie wiemy za wiele o naszej planecie. W większości to tylko domysły, bo ustalenie wieku ruin, które nie zawierają w swoim składzie związków organicznych, jest właściwie niemożliwe. A nawet jeśli je zawierają, to i tak łatwo o błąd.

- Naukowcy nieustannie opracowują nowe metody datowania kamieni - odparł Micah. - Właściwie to...

Przerwał mu dzwonek komórki. Odebrał zirytowany faktem, że ktoś ma czelność mu przeszkadzać.

Wciągnął głęboko powietrze, wstał od stołu i wziął kawę.

- Tak - rzucił do telefonu, kierując się do gabinetu. - W porządku, daj mi chwilę.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- W kółko te interesy - skwitował Burt i kręcąc głową, postawił na stole krakersy, krojony ser i talerzyki. - Ten telefon nigdy nie przestaje dzwonić. Szef nie wyłącza go nawet na noc.

- A powinien - stwierdziła Karina. - Długotrwały stres może doprowadzić do zawału nawet u stosunkowo młodych osób.

- Może jedzenie zieleniny wyjdzie mu na dobre - odparł z błyskiem w oku.

- Zielenina nie jest zła. Ale i tak wolę steki - wyznała.

- Ja też. - Roześmiał się. - Poczekaj, podgrzeję ci kawę.

- Dziękuję.

Zdażyła zjeść i wypić kawę, ale Micah jakoś nie wracał. Poczowała lekki zawód. Uwielbiała słuchać jego głosu. Miał piękną głęboką barwę, jak aksamit.

Wstała i włożyła naczynia do zlewu, po czym podziękowała Burtowi za przekąskę i ruszyła do siebie. Było już późno i ogarnęło ją zmęczenie.

Kostka lekko jej spuchła od jazdy, ale wcale się tym nie

przejęła. Była wniebowzięta, że nadal ma w sobie to coś i pamięta te wszystkie kroki i figury, dzięki którym wraz z Pauliem zdobyli złoto na mistrzostwach świata. Naprawdę powinna się z nim skontaktować. Wcześniej nawet nie myślała o powrocie do rywalizacji. Ale Janey i Hilde odmieniły jej życie. Dostrzegła nowe możliwości. Mogła ćwiczyć w tym samym czasie co Janey i na nowo oswoić się z lodem. Jeśli poczuje, że jest gotowa, i nabierze wystarczającej pewności, zadzwoni do Paula i spyta, czy chciałby wraz z nią pod okiem nowej trenerki wywalczyć sobie bilet do Pjongczangu.

Wiedziała, że przed nią ciężka batalia. Ale życie to ciągła walka. Trzeba się przemóc i nie odpuszczać.

Była już prawie przy swoim pokoju, gdy nagle z gabinetu wyłonił się Micah.

- To był mój prawnik - oświadczył Karinie. - Podobno zajęli się dziewczyną, która dokuczała Janey. Została wydalona ze szkoły razem z chłopakiem, z którym się spoufaliła. Jej rodzice najwyraźniej o niczym nie wiedzieli. Byli zdruzgotani.

- To przykre - skomentowała. - Ale przynajmniej biedna Janey nie będzie już szykanowana.

- Na ogół staram się nie interweniować, chyba że nie ma innego wyjścia - dodał Micah. - Jednak z tym problemem nie uporałaby się sama - stwierdził i zaraz dodał ze śmiechem: - Mój prawnik był w szoku, mówiąc delikatnie. Jest w wieku Burta.

- Nie mów o mnie, jakbym był jednym z pasażerów, którzy uratowali się z Titanica - zaperzył się Burt, który wyrósł jak spod ziemi.

- Burt, ty nie jesteś stary. Jesteś jak dobre, wiekowe wino - odezwała się Karina.

Uśmiechnął się szeroko.

- Słyszałeś? - rzucił do szefa.

- Raczej jak bimber z metanolem - usłyszał w odpowiedzi.

Burt spiorunował go wzrokiem.

- Jutro na kolację dostaniesz siekaną wątróbkę.

- Sadysta - zripostował.

Burt chrząknął znacząco.

- No to ja się już pożegnam. Na stole zostały krakersy i ser. Podgrzałem też kawę.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Dobranoc.

Oddalił się do pokoju na końcu korytarza, ale Micah nie ruszył się z miejsca.

- Janey wspomniała, że skoczyłaś potrójnego salchowa - zagadnął Karinę, kiedy chciała już odejść.

Zarumieniała się. Nic nie umykało jego uwadze.

- No, tak jakby...

Zbliżył się o krok. Karina ledwie sięgała mu do brody. Pachniała kwiatami. Zauważył, że jej oddech stał się płytszy i szybszy. Schlebiało mu to. Kobiety od lat się do niego przy-
milały; były świadome jego bogactwa i łase na prezenty. Lindy także była bardziej zainteresowana jego majątkiem. Lecz oto przed sobą miał kobietę, którą podniecał on sam, a nie stan jego konta.

Wyciągnął ku niej wielką dłoń i ujął niesforny kosmyk bujnych włosów, który wymknął się z wysoko upiętego koka.

- Dokąd sięgają? - spytał.

- Do... do pasa - wyjąkała, z trudem łapiąc oddech.

Podszedł bliżej, by poczuć jej ciepło, a wówczas jej cudowny zapach wypełnił mu nozdrza.

- Doprawdy? - spytał, wpatrując się zachłannie w jej usta.

W środku cała drżała. Gdy dorastała, spotykała się z chłopakami, ale z żadnym nie była blisko fizycznie, chyba że z Paulem. Ale Paul był dla niej brat. A ten mężczyzna był jak wulkan, który tylko czekał, żeby go sprowokować do wybuchu. Był wielki i silny, a zarazem delikatny. Jeszcze nikt jej tak bardzo nie pociągał.

Micah widział, jak na niego reaguje. Nie potrafiła tego

ukryć. Naturalnie była dla niego zdecydowanie za młoda; miała dwadzieścia trzy lata, a on trzydzieści cztery. Poza tym był jej szefem i pewnie znalazłby jeszcze z dwadzieścia innych powodów, dla których nie powinien nawet myśleć o niej w ten sposób.

Karina toczyła z góry przegraną walkę. Widziała, jak wpa-
truje się w jej usta. Czuła, że pragnie się w nich zatopić. Ona
też tego pragnęła; jego zmysłowe wargi zdawały się wiedzieć
wszystko o całowaniu.

Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, uniosła lodowate dłonie,
jakby chciała go powstrzymać, i zaparła się o jego silną, mu-
skularną pierś, odzianą we flanelową koszulę w czarno-czer-
woną kratę, spod której przy szyi wyzierał gęsty czarny za-
rost.

Jego duże dłonie spoczęły na jej ramionach i zaczęły gła-
dzić miękki materiał swetra.

- To jest bardzo zły pomysł - powiedział schrypniętym gło-
sem.

Karina przełknęła z trudem ślinę.

- Owszem. Co z pana narzeczoną?

Zamrugał, jakby dopiero to do niego dotarło. I w jednej
chwili uświadomił sobie, co robi. Próbował się dobrać do nia-
ni swojej córki. O takich mężczyznach napisano już całe
tomy. Karina, rzecz jasna, nie była nastolatką, tylko dorosłą
kobietą. Ale mimo wszystko była, a w każdym razie powinna
być niedostępna, zwłaszcza dla niego.

Cofnął się o krok, zdejmując ręce z jej ramion. Zapadła nie-
zręczna cisza.

- To wina moich perfum - wypaliła Karina.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Co proszę?

- W reklamie ostrzegali, że mężczyźni będą skakać ze spa-
dochronami, żeby zdobyć kobietę, która się nimi skropi.

- Ja nie mam spadochronu.

- Och, pewnie zwisa z gałęzi jakiejś sosny - dodała, a jej jasne oczy figlarnie rozbliły.

- Niewykluczone - przyznał ze śmiechem.

- Dobranoc, panie Torrance - rzuciła na pożegnanie.

- Dobranoc, panno Carter.

Zamknęła drzwi do sypialni i usiadła na łóżku. Serce waliło jej jak młotem; nie mogła złapać oddechu.

Boże, ależ on jest seksowny! - pomyślała.

Rozumiała, dlaczego kobiety lgną do niego jak muchy do miodu. A pieniądze wcale nie były głównym powodem.

Musiała się pilnować i trzymać od niego z daleka. Pokochała Janey i lubiła swoją pracę. Nie mogła sobie pozwolić na jakąkolwiek zażyłość z szefem. Zresztą, jak słusznie zauważyła, był zaręczony.

Pomyślała o Lindy i przypomniała sobie, jak drwiła z Janey na lodowisku. Nie przepadała za dziećmi. Jakież to życie czekało biedną Janey, jeśli jej ojciec ją poślubi? Lindy nie była troskliwą i opiekuńczą osobą. Oboje, i on, i jego córka, będą nieszczęśliwi. Nie mówiąc już o Burcie, który również nie dogadywał się z narzeczoną szefa.

Ale, upomniała się w myślach, to nie moja sprawa. Lepiej się nie wtrącać i pozwolić, by pan Torrance sam pokierował swoim życiem.

Przebrała się w koszulę nocną i wślizgnęła pod kołdrę. Ale długo jeszcze nie mogła zasnąć.

Z każdym dniem Janey coraz lepiej jeździła na łyżwach. Pomimo gęstego śniegu całą sobotę spędziły razem na lodowisku. Podczas gdy Hilde omawiała z dziewczynką wymogi klasy wstępnej, pokazując jej, co powinna umieć, Karina pracowała nad powrotem do dawnej formy.

Zaczęła tak jak zwykle od prostych kroków. Wcześniej porządnie się rozgrzała i rozciągnęła, zwracając szczególną uwagę na kostki, żeby bardziej sobie nie zaszkodzić. W przyszłym tygodniu zamierzała odwiedzić terapeutę sportowego, żeby ją zbadał i stwierdził, czy na pewno może już skakać.

Martwił ją obrzęk, który wystąpił po potrójnym salchowie.

Tego dnia nawet nie próbowała go powtórzyć. Ćwiczyła jedynie standardowe elementy, których się nauczyła na początku sportowej kariery. Dzięki temu mogła być spokojna, że Janey nie zobaczy więcej, niż powinna. Janey była bystrą dziewczynką. Wiedziała, że żaden początkujący łyżwiarz nie wykonałby potrójnego skoku. No i Karina nieopatrznie wspomniała, że mieszkała w wielu miejscach, gdy startowała w zawodach. Ale miała pomysł, jak z tego wybrnąć. Po prostu powie, że dotarła tylko do rozgrywek regionalnych. To powinno zakończyć temat, zanim Janey nabierze podejrzeń i zacznie zadawać trudne pytania.

Podobało jej się to, z jaką cierpliwością Hilde podchodzi do nauki dziewczynki. Gdy widziała ją wcześniej na mistrzostwach świata, tak samo traktowała swoich podopiecznych – tych, którzy później ją zostawili, twierdząc, że jej metody są przedpotopowe.

Karina nie mogła się z nimi zgodzić. Hilde była genialną choreografką.

Zatrzymała się przy niej, patrząc na postępy Janey.

- Jest naprawdę dobra - odezwała się Hilde. - Trochę praktyki i dyscypliny i może dotrzeć nawet do zawodów krajowych. Ba, może się nawet dostać na igrzyska. Tak jak ty - dodała z czułym uśmiechem.

- O ile się nie zniechęci - zauważyła Karina. - Nie ma pojęcia, jaka to ciężka praca ani jak wredni potrafią być łyżwiarze i ich rodzice.

- Skoro ty dałaś radę, to i ona sobie poradzi.

- Widziała pani nasz układ? Ten, który zaprezentowaliśmy na mistrzostwach USA? Co by pani w nim zmieniła? - spytała.

- Widziałam. Był bardzo dobry - stwierdziła Hilde.

- Ale co by pani zmieniła? - powtórzyła Karina, nie dając się zbyć.

Hilde wzięła głęboki oddech.

- Wiesz, że jestem niepoprawną romantyczką.

- Owszem, i dlatego uwielbiałam patrzeć na łyżwiarzy, których pani trenowała. To nas natchnęło, mnie i Paula. Gdy pozbyliśmy się tego despoty i zaczęliśmy trenować z Harmonem, zasugerowaliśmy, żeby wprowadził do programu elementy podobne do pani choreografii.

Hilde się rozpromieniła.

- Czuję się zaszczycona.

- To co by pani zmieniła?

- Przede wszystkim kostiumy. Żeby przedstawić fantazję, trzeba odpowiednio wyglądać. Myślę o czystych, łagodnych liniach, bardzo konserwatywnych i zarazem kobiecych. A dla niego coś eleganckiego, skrojonego na miarę, ale z jakimś baśniowym akcentem.

- Na przykład z krótką peleryną - rzuciła w zadumie Karina.

- Otóż to - przytaknęła ze śmiechem Hilde. - I z szerokim czerwonym pasem, jaki dawniej nosili księżęta.

- Co jeszcze? - dopytywała rozmarzona Karina.

- Kombinację skoków. Zmieniłabym je tak, żeby lepiej współgrały z przepiękną muzyką Rachmaninowa.

Opisała, jak by to sobie wyobrażała.

- Tak, to by bardziej pasowało do tempa - przyznała jej rację Karina, widząc to oczyma wyobraźni.

- Coś w tym stylu. - Hilde wyjechała na środek i wykonała serię skoków, kończąc popisowym odchylanym piruetem.

- Jejku! - wykrzyknęła Karina. - Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś z taką gracją wykonał laybacka!

- Sama spróbuj!

Karina nabrała rozpędu, starając się odtworzyć kombinację z takim samym wdziękiem.

- Doskonale! - zawołała Hilde. - Przy tobie wyglądam jak niezdara.

- Pani? W życiu! - zaoponowała Karina. - Powiem pani, że

ja...

Urwała rozproszona widokiem Micaha, który wszedł do budynku z wyraźnie poirytowaną Lindy. Zastanawiała się, czy coś się stało. Szef sprawiał wrażenie rozdrażnionego.

Przywołał gestem Janey. Dziewczynka podjechała do bandy, ale trochę niezdarnie, bo inny łyżwiarz zajęchał jej drogę i ją spłoszył. Karina dołączyła do nich z cichą nadzieją, że nie napytała sobie biedy. Zostały na lodowisku dłużej, niż planowała. Zapomniała się, jeżdżąc, i straciła poczucie czasu.

Lindy roześmiała się na widok Janey, obrzucając Karinę gniewnym spojrzeniem.

- Jeśli tak wygląda twoja nauka, to szkoda na nią czasu - zwróciła się do dziewczynki. - Brakuje ci samodyscypliny.

Karina musiała ugryźć się w język, żeby jej nie przygadać. Ale jej oczy pałały nienawiścią.

Micah to widział. Jemu też się nie spodobała uwaga Lindy.

- Nie oczekuję od początkującej łyżwiarki, że będzie jeździć jak na pokazach - rzucił szorstko do narzeczonej.

Lindy wzruszyła ramionami.

- Jak uważasz. Ona i tak nie traktuje tego poważnie. Gdy ja ją uczyłam, ani razu nie zrobiła niczego poprawnie.

Janey zaczerwieniła się. Te słowa ją zaboląły.

- Według mnie radzi sobie bardzo dobrze - wzięła ją w obronę Karina.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - fuknęła Lindy. - Sama jeździsz jak amatorka. Ja zdobyłam medal na zawodach regionalnych!

Ciekawe, ilu sędziów musiałaś przekupić, pomyślała złośliwie Karina, ale nie powiedziała tego na głos, tylko się uśmiechnęła.

Janey otworzyła usta. Karina wiedziała, że zaraz wyskoczy z potrójnym salchowem, więc ją ubiegła:

- Zasiedziałyśmy się? - spytała Micaha. - Przepraszam. Rozmawiałam z Hil... z właścicielką lodowiska - szybko się

poprawiła. Woląca, żeby Micah nie wiedział, jak dobrze zna Hilde.

- Z tą starą nic niewartą trenerką - skomentowała znudzona Lindy, przetrząsając torebkę w poszukiwaniu szminki. - Wszyscy łyżwiarze od niej odeszli. Dlatego musi prowadzić tę nędzną ślizgawkę.

Micah zmarszczył brwi.

- Co z tobą, Lindy? Osa cię użądliła? - spytał z irytacją. - Na litość boską, już sobie odpuść!

Chyba wreszcie dotarło do niej, że wszystkich do siebie zraziła. Janey i Karina nawet się z tym nie kryły, tylko świdrowały ją gniewnym wzrokiem, a Micah był rozjuszony.

- Jestem głodna. Nie jadłam jeszcze kolacji - powiedziała, ostentacyjnie zapinając torebkę.

- Nie licz, że dzisiaj gdzieś z tobą wyjdę. Muszę lecieć do Billings i spotkać się z właścicielem rafinerii, którą zamierzam kupić.

- To pewnie przyjdzie mi zjeść miskę płatków - stwierdziła z żalną miną.

Chciała zagrać na jego uczuciach. Karina od razu ją przejechała. O dziwo, Micah też nie dał się zwieść.

- Niewykluczone - odparł szorstko.

Lindy spiorunowała całą trójkę wzrokiem.

- Poczekam w samochodzie - oznajmiła. - Powiało chłodem.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Nawet jej chód był bezczelny, podobnie jak jej ton.

- Wreszcie spokój - mruknął pod nosem Micah i przeniósł wzrok na zgnębioną córkę. - Nikt nie oczekuje, że zaledwie po kilku tygodniach nauki będziesz jeździć jak mistrzyni olimpijska. Świetnie ci idzie. Serio.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała rozpromieniona Janey.

- Owszem. - Uśmiechnął się życzliwie. - Ale musisz być bardziej pewna siebie. Nie daj sobie wmówić, że czegoś nie potrafisz. Możesz wszystko.

- Nie całkiem. - Gdy zdziwiony uniósł brwi, wyjaśniła: - Nie mogę polecieć na Marsa.

Przewrócił oczami.

- Czas na mnie. Jedziemy z Lindy na lotnisko. Słuchajcie, jeden z kowbojów zauważył niedźwiedzia w pobliżu domu. Nigdzie nie wychodźcie, chyba że do szkoły i na lodowisko. Lepiej nie ryzykować. Miejcie przy sobie komórki i pilnujcie, żeby były naładowane. - Spojrzał na Karinę. Jej policzki pokrywał rumieniec. Nie spuszczać z niej wzroku, wyciągnął rękę.

Sięgnęła do saszetki, którą nosiła na pasku zapiętym na biodrach, i podała mu telefon.

- Jedna kreska - wycedził, zwracając jej komórkę. - Mówiłaś, że w samochodzie masz ładowarkę.

- Tak, mam - przyznała, ciężko wzdychając. - Podłączę telefon, gdy tylko do niego wsiądziemy.

- Okej. Śnieg pada coraz mocniej. Powinnyście już wracać do domu.

- Spakujemy się i jedziemy - obiecała Karina.

Spojrzał w jej szare, łagodne oczy.

- Jedź powoli - powiedział niskim, ciepłym głosem. - Nie ryzykuj.

- Dobrze.

- Dopilnuj tego - zwrócił się z szerokim uśmiechem do córki.

Janey podjechała do bandy i wyszła na drewniany parkiet, żeby uściskać ojca.

- Ty też na siebie uważaj - zripostowała, a zaraz potem dodała głośnym szeptem: - I dopilnuj, żeby tym razem pilot nie był pijany.

- Tamten z nami nie leci. Wysłałem go na odwyk - zapewnił ją.

- Okej - roześmiała się.

- Uważajcie na siebie. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, powinienem wrócić za dwa dni.

- W porządku - odezwała się Karina.

Przyglądał się jej trochę dłużej, niż wypadało. Powściągnęła zażenowanie, starając się normalnie oddychać, aż w końcu pociągnął córkę lekko za włosy i wyszedł.

- Nie mogę z tą Lindy - westchnęła Janey, zdejmując łyżwy. Osuszyły płozy, naciągnęły ochraniacze i schowały łyżwy do toreb. - Nie wiem, jak tata z nią wytrzymuje. Jest wiecznie niezadowolona.

- Niektórzy już tak mają - skomentowała Karina.

- Ale nie ty.

- Robię dobrą minę do złej gry - wyjaśniła ze śmiechem. - Po co mam jeszcze dołować innych?

- No i uśmiech wymaga mniej wysiłku niż zmarszczenie brwi - dodała mała mądrała.

- Słuszna uwaga.

- Przyjedziemy tu jutro, jeśli pogoda się nie pogorszy? - spytała Janey.

- Zobaczymy. Śnieg to nie problem, ale jedziemy bardzo wąskimi górskimi drogami. Nie chciałabym, żebyśmy skończyły jak naleśniki.

Janey potrzebowała chwili, żeby zrozumieć aluzję, aż wreszcie się roześmiała.

- Racja, ja też nie - przytaknęła, wydeptując ścieżkę w świeżym śniegu. - Cieszę się, że jesteś moją przyjaciółką - dodała, gdy dotarły do auta.

- Wzajemnie - odparła Karina.

- Pani Meyer powiedziała, że mam potencjał - oznajmiła Janey, rzucając torbę do tyłu i zajmując miejsce obok Kariny. - Co to znaczy? - spytała, marszcząc czoło.

- To znaczy, że dobrze się zapowiadasz. - Karina odpaliła silnik. - Jeśli coś kochasz, to wkładasz w to całe serce.

- Kocham łyżwiarstwo.

- To tak jak ja. - Przeniosła wzrok na podopieczną. - Ale nauka jest ważniejsza.

- Tak, wiem. Bez dobrych ocen mogę zapomnieć o łyżwach. Załapałam - przyznała z ciężkim westchnieniem Janey.

Karina parsknęła śmiechem.

- Coś w tym stylu.

Gdy weszły do domu, na stole w kuchni czekała już późna kolacja.

- Naleśniki i kiełbaski - oznajmił Burt. - W sam raz na taki zimny śnieżny wieczór.

- Uwielbiam kiełbaski - ucieszyła się Karina.

- Ja też! A jeszcze bardziej naleśniki! - zawtórowała jej Janey.

Burt tylko się roześmiał. Dobrze o tym wiedział.

- Poprosiłam tatę, żeby zamówił mi na Amazonie kilka książek o łyżwiarstwie - oświadczyła po posiłku Janey. - Wiesz, wszystko, co warto wiedzieć. Jest też jedna książka o mistrzach olimpijskich.

Karina westchnęła.

- Kiedyś zaczytywałam się w takich książkach, i to do tego stopnia, że w końcu się rozlatywały. Miałam prawdziwą obsesję.

- To tak jak ja - zachichotała Janey. - W życiu nie miałam takiej radochy. Jak myślisz, kiedy pani Meyer zatrudni instruktora?

- Chyba wkrótce. Następnym razem, jak będziemy na lodowisku, zapytamy ją o to. Pewnie jutro, o ile drogi będą przejezdne.

- Och, mam nadzieję, że będą. - Janey westchnęła ciężko. - Naprawdę na to liczę!

Niestety śnieg był zbyt głęboki na jakiegokolwiek podróże. Rano Dietrich błagał, żeby wypuścić go na dwór, ale Karina

miała wątpliwości z uwagi na duże zasy i niedźwiedzia, o którym wspominał Micah.

- Nic mu nie będzie - zapewnił ją Burt. - Nie chciałbym, żeby się wściekł.

- Ja również.

Otworzyła drzwi, ale Dietrich zawahał się na progu. Zaczął skomleć i dyszeć, choć w domu nie było gorąco.

- Burt, myślisz, że wszystko z nim w porządku? Trochę dziwnie się zachowuje.

- Zadzwoń do Billy'ego Joe i poproszę, żeby przyjechał i na niego zerknął.

- Dobry pomysł. Na pewno musisz wyjść? - spytała psa, klepiąc go po głowie.

Sapnął z pewnym trudem, ale wyszedł na śnieg. Karina zamknęła za nim drzwi, choć nie była przekonana, czy powinna go wypuszczać. Nie zachowywał się normalnie.

Billy Joe pojechał do miasta po paszę dla inwentarza. Obiecał Burtowi, że wracając, zajedzie do domu i przyjrzy się Dietrichowi.

Janey jeszcze spała, a Burt krzątał się w kuchni, szykując śniadanie.

Karina włożyła gruby płaszcz i buty.

- Wyjdę sprawdzić, co z Dietrichem - zawołała.

- Okej. Masz komórkę?

- Ech, ty też? - Roześmiała się, przewracając oczami. Wróciła do swojego pokoju po telefon, który zdążył się naładować przez noc. - Już mam! - rzuciła i wyszła, machając do Burta.

Dietricha nigdzie nie było. Wołała go, ale nie zaszczekał w odpowiedzi.

Zacząła się rozglądać za śladami łap i wreszcie je znalazła. Prowadziły w dół zbocza, aż na skraj sosen, które rosły po obu stronach strumienia wijącego się za domem. Ruszyła ich tropem, ostrożnie stawiając stopy, żeby się nie potknąć na ukrytych pod śniegiem dołach.

Gdy stanęła na równym podłożu, usłyszała głośnie ujadanie. A zaraz potem charakterystyczny niski ryk. Taki, jaki wydaje z siebie wielki niedźwiedź.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Karinie zamarło serce. Nie miała żadnej broni, a dobiegające odgłosy sugerowały, że niedźwiedź dopadł Dietricha.

Rozejrzała się dookoła i znalazła na ziemi dużą gałąź, która odłamała się od sosny. Chwyciła ją ręką odzianą w rękawiczkę, stanęła na niej i złamała w taki sposób, by miała ostry kraniec, po czym ruszyła w kierunku niosącego się echem harmidru.

Gdy wyszła na otwartą przestrzeń, zobaczyła Dietricha. Leżał bezradnie na ziemi, dyszał i skomlał, a nad nim stał grizly rozmiarów małego samochodu.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie atakowałby niedźwiedzia. Ale Karina uwielbiała Dietricha, który w dodatku był psem Janey, i nie mogła pozwolić, żeby został rozszarpany. Przez lata wspinania się po szczeblach kariery łyżwiarskiej opanowała sztukę blefowania. Może jeśli nie okaże strachu i się nie wycofa, zdoła zmylić niedźwiedzia i go spłoszyć. To mogła być jedyna szansa dla Dietricha. Biedaczek najwyraźniej nie był w stanie się podnieść. Nie widziała, żeby krwawił, ale jeśli niedźwiedź mocno go pacnął, mógł mieć obrażenia wewnętrzne.

W pobliżu rozległ się hałas, ale go zignorowała. Była skupiona wyłącznie na psie i niedźwiedziu. Musiała uratować Dietricha.

- Zostaw go w spokoju! - wrzasnęła, wymachując gałęzią, i zerwała się do biegu wprost na niedźwiedzia. Przedzierała się przez zasy najszybciej, jak się dało, przez cały czas krzycząc i grożąc mu kijem.

Spłoszony niedźwiedź odwrócił się i - o dziwo - uciekł.

Karina stanęła, wstrzymując oddech.

No proszę, podziałało, pomyślała i zaniósła się śmiechem.

- A niech mnie! Czegoś takiego w życiu nie widziałem! - odezwał się ktoś z bezbrzeżnym zdumieniem.

Odwróciła się i ujrzała jednego z kowbojów pracujących na ranczu. Mężczyzna był wysoki i smukły. Miał na sobie dżinsy, wysokie buty i kozuch z owczej skóry, a na głowie czarny kapelusz przekrzywiony na prawe oko. Szedł w jej stronę, prowadząc konia za uzdę.

- Z Dietrichem jest coś nie tak - powiedziała bez wahania. - Niedźwiedź mógł go pacnąć łapą...

Kowboj przykucnął przy psie i dotknął jego brzucha, wykrzywając twarz w grymasie.

- Jest wzdęty. To pewnie skręt żołądka. Musimy go prędko zabrać do weterynarza.

- Skręt żołądka?! - wykrzyknęła. - A to nie jest coś, co występuje u koni i bydła?

- Owszem, ale też u dużych psów - odpowiedział.

- Gdy go tu znalazłam, po prostu leżał - dodała szybko. - Nie wiem, czy niedźwiedź zdążył go dopaść.

Kowboj pokręcił głową.

- Nie widzę krwi.

- No tak, ale może mieć obrażenia wewnętrzne - stwierdziła zaniepokojona.

- Też prawda. Ale bądźmy dobrej myśli. Zawiozę go do domu. Billy Joe jest już w drodze i zabierze go do weterynarza.

- Och, mój ty biedaku! - Przyklękła, żeby pogłaskać psa.

- Nic mu nie będzie - zapewnił ją kowboj. Pochylił się i ostrożnie wziął Dietricha na ręce. Kazał Karinie przytrzymać konia, podczas gdy sam władował skomlącego psa na siodło. Następnie usiadł za nim i delikatnie przełożył go sobie przez kolana. - Nie jest to najlepsza metoda transportu, ale chwilowo jedyna dostępna. Całe szczęście, że mój koń nie ma problemu z dodatkowym ciężarem. - Roześmiał się, po czym nakazał: - Trzymaj się blisko. Ten niedźwiedź może wrócić.

Karina podniosła kij i odparła ze złością:

- Niech tylko spróbuje!

Kowboj znów parsknął śmiechem.

Billy Joe zajechał pod dom i w tym samym czasie zjawił się kowboj z Kariną.

- Biedaczysko - jęknął na widok psa. - Co się stało?

- Podejrzewam skręt żołądka. Trzeba go natychmiast zabrać do weterynarza - oświadczył mężczyzna i przekazał mu Dietricha.

- Mam jechać z wami? - spytała z troską Karina.

- Byłoby dobrze, gdybyś usiadła z nim z tyłu i go przytrzymała - odparł zmartwiony Billy Joe.

Usiadła na tylnym siedzeniu SUV-a, a Billy Joe położył psa obok, tak że jego łeb spoczywał na jej kolanach.

- Spokojnie, Dietrich. Wszystko będzie dobrze - powiedział kojąco.

Zamknął drzwi i zamienił dwa słowa z kowbojem, który skinął głową i wszedł do domu, by powiadomić o wszystkim Burtta.

- Pojawił się niedźwiedź - oznajmiła z przejęciem Karina, gdy Billy Joe usiadł za kierownicą i odpalił silnik. - Odstraszyłam go, ale nie wiem, czy nie pacnął Dietricha. Nie widziałam krwi, co nie znaczy, że nie ma obrażeń wewnętrznych.

- To prawda, niestety - stwierdził.

- Musi wyzdrowieć. Po prostu musi! - rzuciła do Billy'ego Joe, który wykręcił i ruszył ku głównej drodze.

- Zaraz będziemy u weterynarza - oznajmił cicho. - Skręt żołądka to nie przelewki.

- Zanim wypuściliśmy go na dwór, było z nim wszystko w porządku. Minęło raptem kilka minut - wyjaśniła.

- To dobrze. Może nie jest za późno.

Pognał do Catelow, nie szczczędając silnika. Dotarłszy na miejsce, zaniósł psa do lecznicy i wyjaśnił sytuację. Dietrich

od razu trafił do gabinetu zabiegowego.

Karina usiadła na krześle. Mogła tylko czekać.

- Co dolega pani psu? - spytał mężczyzna z cocker-spanielem.

- Prawdopodobnie skręt żołądka - wyznała z westchnieniem.

Mężczyzna się skrzywił.

- Niedobrze. Ale jeśli zadziała się szybko, to ma szansę.

Uśmiechnęła się.

- Wcześniej nie miał żadnych objawów.

- Przed tym koleżką - powiedział, wskazując psa na kolanach - miałem czarnego labradora, który też dostał skrętu. Dawne dzieje. Przeszyli mu wtedy żołądek do kręgosłupa i potem jeszcze długo cieszył się życiem. Teraz przyszywają go do ściany jamy brzusznej. To prostsze i skuteczniejsze rozwiązanie.

- Dlaczego? - spytała Karina, marszcząc brwi.

- Cóż, czasami żołądek się obraca i skręca, odcinając dopływ krwi do tkanek, które mogą obumrzeć. Przeszyty do ściany brzucha już się nie skręci. Nadal może się rozszerzyć, ale pies od tego nie zdechnie.

Wstrzymała oddech.

- Może zdechnąć? - spytała przerażona.

- Jeśli to wczesne stadium, to nic mu nie będzie - zapewnił mężczyzna. - Moja córka jest weterynarzem w Utah - oświadczył z dumą. - Wiele się nauczyłem, gdy była na studiach.

Domyślam się, stwierdziła w duchu.

Uśmiechnęła się siłą woli, ale wciąż była kłębkim nerwów. Co powie Janey, kiedy wróci ze szkoły i się dowie, że jej ukochany pupil nie żyje? To będzie prawdziwy dramat.

Minęło kilka pełnych napięcia minut i wreszcie Billy Joe wyłonił się z gabinetu. Podszedł do recepcji i zostawił numer komórki oraz numer domowy. Mieli dzwonić, gdyby coś się

zmieniło.

- Co z nim? - spytała Karina, gdy wrócili do SUV-a.

- Dowiemy się dopiero po operacji. Może potrwać kilka godzin - dodał, ciężko wzdychając. - Nic tu po nas. Wracajmy do domu.

- Co powiemy Janey?

- Nic. Na razie sami nic nie wiemy. Możemy tylko trzymać kciuki.

Karina skinęła głową.

Przez całą drogę do szkoły zabawiała Janey rozmową, żeby tylko się nie zorientowała, że coś jest nie tak. Kiedy już będzie coś wiadomo, powiedzą jej o wszystkim, ale dopóki nie byli pewni wyniku operacji, nie chciała psuć jej nastroju.

Burt i Karina zjedli skromny lunch, oboje z nosem na kwin-tę. Popijali akurat drugą kawę, gdy do kuchni wszedł szef. Miał na sobie długi płaszcz aż do kostek i stetsona na głowie. Wyglądał na zmęczonego.

- Kto umarł? - spytał na widok ich smutnych min, unosząc gęste brwi.

- Dietrich jest u weterynarza - oznajmił cicho Burt. - Ze skrętem żołądka.

Z ust Micaha padły niecenzuralne słowa.

- Jak to się stało?

- Nie wiemy. Nikt tego do końca nie wie - wyjaśnił Burt ze smutkiem w głosie. - Po prostu czasem tak się dzieje.

- Zostawiliście go w lecznicy?

- Tak - odparł. - Billy Joe i Karina go tam zabrali. Teraz jest operowany. To może potrwać ze dwie czy trzy godziny. Dopiero wtedy będą nam mogli coś powiedzieć.

- Jadę tam - rzucił cierpko Micah. - Obiecałem Lindy, że wieczorem zabiorę ją do Las Vegas na show. Jeśli zadzwoni, powiedz jej, że musimy to przełożyć.

- Jasna sprawa - potwierdził Burt, a Micah znów wyszedł.

- To się jej nie spodoba - stwierdził Burt.

- Co? - spytała Karina.

- To, że pies pokrzyżował jej plany - rzucił półzartem. - Lindy nie przepada za zwierzętami.

- Wielka szkoda - odparła Karina. - Czasem wolę zwierzęta od ludzi - dodała ze złośliwym uśmiechem.

- Ja też. Dietrich to twardziel - oświadczył stanowczo. - Na pewno się wylize.

- Też tak myślę. Tylko nienawidzę tego czekania.

- Myślę, że to dobry moment, żeby naostrzyć wasze łyżwy - powiedział i wstał od stołu, a następnie włożył naczynia do zlewu.

- Skąd pomysł, żeby się tego nauczyć? - spytała, podążając za nim na tylną werandę.

- Czego? Ostrzenia łyżew? - Uśmiechnął się szeroko. - To droga zabawa. Samemu wychodzi taniej.

- Możliwe. - Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Gdy startowała z Paulem w zawodach, tę usługę miała zawsze w pakiecie.

Wyjął narzędzia i utkwiał w niej wzrok.

- Łyżwy? - rzucił wymownie.

- A, racja! Łyżwy!

Przyniosła Burtowi obie pary i usiadła, przyglądając się, jak pracuje. Przestronna weranda była zabudowana i ogrzewana. Przypominała raczej salon niż warsztat pracy, ale Burt zwłaszcza przykładał jeden kąt dla siebie i swoich narzędzi.

- Janey mówiła, że skoczyłaś potrójnego salchowa - zagadnął.

- To był kompletny fuks. Zupełny przypadek...

Burt obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

- Nie znam żadnego początkującego łyżwiarza, który potrafiłby wykonywać choćby podwójne skoki, a co dopiero potrójne.

Wciągnęła przeciągle powietrze.

- No to wpadłam - mruknęła.

- Jeździsz wyczynowo, prawda?

- Jeździłam - wyznała - dopóki na jednym z treningów nie upadłam i nie złamałam kostki. Sprawa była poważna, bo trzy lata wcześniej też złamałam nogę.

- Tę samą?

- Tak. W dodatku to ta, na której zwykle ląduję.

- Ech... Musisz być ostrożna. Nawet jeśli wszystko się zrosło, po tylu urazach noga na pewno jest osłabiona.

- Tak, oba złamania ładnie się zrosły, ale lekarze stwierdzili, że powinnam zrezygnować z dalszej rywalizacji. - Spuściła wzrok. - Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. Teraz, kiedy wróciłam na lód, czuję się tak, jakbym ponownie spełniała swoje marzenie. Nie mogę teraz zrezygnować. I nie chcę, dopóki naprawdę nie będę musiała. - Spojrzała na Burtę. - Nie mów o tym nikomu, proszę.

- Nie kłapię dziobem na prawo i lewo - zapewnił ją z uśmiechem. - Nie śmiałybym wydać Mirandy Tanner - dodał, zaciskając wargi.

Karina wstrzymała oddech.

- Wiesz, kim jestem?!

- Byłem w Soczi podczas ostatnich igrzysk. Startował tam mój znajomy. Poleciałem firmowym odrzutowcem szefa, specjalnie żeby go zobaczyć. Uważam, że noty, jakie dostaliście z Paulem, były bardzo niesprawiedliwe. Wasz program był doskonały. Zasłużyliście co najmniej na brąz.

- Dzięki - rzuciła.

- Co się stało z Paulem?

- Znalazł nową partnerkę, ale go zostawiła. I tak stracił szansę na udział w międzynarodowych zawodach.

- Hmm, on nie ma partnerki, ty nie masz partnera, a Hilde Meyer nie ma kogo trenować. - Uniósł wymownie brwi. - Należy za mną?

Parsknęła śmiechem.

- Cóż, to byłby niezły skład. Hilde opracowała piękną choreografię dla swoich łyżwiarzy, ale oni woleli coś nowocześniejszego i odeszli. Przybita tym faktem postanowiła, że już nigdy nie będzie nikogo trenować. Dlatego przyjechała tutaj i kupiła lodowisko.

- Igrzyska są w przyszłym roku, a zawody krajowe w styczniu. Mnóstwo czasu, żeby się przygotować.

- Jeśli Paul tu przyjedzie i zacznie ze mną trenować, szef się o wszystkim dowie.

- I co? Myślisz, że cię zwolni? - spytał. - To rozsądny i uczciwy człowiek. Poza tym Janey cię kocha.

- Cóż, może Janey nie rozpozna Paula. - Westchnęła. - Mogłabym jej powiedzieć, że to mój przyjaciel, z którym znam się od podstawówki. Co zresztą jest prawdą.

- Możesz z nią zawrzeć pakt milczenia, przynajmniej dopóki nie odzyskacie pewności i dawnej formy.

Roześmiała się.

- Burt, gdy ty to mówisz, wszystko wydaje się takie proste.

- Bo z reguły wszystko jest proste, dopóki ludzie tego nie skomplikują - skwitował.

- A ty gdzie startowałeś?

- Och, w porównaniu z tobą byłem zwykłą płotką - odpowiedział. - Doszedłem tylko do mistrzostw USA i uplasowałem się tuż poza czołową piątką. Choć to i tak lepiej niż Lindy - dodał ze złośliwym uśmiechem. - Ona zdobyła brąz na zawodach regionalnych, a do krajowych nawet się nie zakwalifikowała. Gdybyś słyszała, jak mówi, że okradziono ją ze złota... Widziałem, jak jeździ, i na pewno nikt jej z niczego nie okradł. - Pokręcił głową. - Jakbym oglądał robota. - Podniósł wzrok. - Za to ty... czysta poezja. Razem z Paulem tworzyliście magiczny duet. Przykro mi z powodu twojej kontuzji, ale świetnie sobie radzisz. Po prostu się nie śpiesz. Nie przemęczaj się, oszczędzaj nogę i chodź do terapeuty. Poczekaj, aż da ci zielone światło.

- Pójdę do niego w ten weekend - obiecała.

Burt oderwał wzrok od łyżew i zmarszczył czoło.

- Też to słyszysz? To telefon? - spytał.

- Sprawdź - zaoferowała się i weszła do środka.

Burt miał rację. Dzwonił telefon.

- Halo? Rezydencja pana Torrance'a - odezwała się, podniósłszy słuchawkę.

- Gdzie jest Micah, do diabła? - rzuciła w gniewie Lindy. - Powinniśmy już startować z lotniska, bo inaczej nie zdążymy na kolację i show!

- Przykro mi, ale Dietrich zachorował. Właśnie go operują. Pan Torrance pojechał do weterynarza.

- To tylko głupi pies! - prychnęła. - Jak zdechnie, kupię sobie nowego!

Karina ugryzła się w język i powiedziała po prostu:

- Dietrich jest psem Janey...

- Wiem, do kogo należy, ale to tylko pies! Dlaczego Micah nie odbiera tej przeklętej komórki?

Karina nabrała powietrza, żeby się uspokoić.

- Może nie ma zasięgu - stwierdziła, przypomniawszy sobie, że Billy Joe wspominał coś o martwym punkcie.

- To pojeźdź tam i mu powiedz, żeby ruszył tyłek i po mnie przyjechał! - rzuciła i się rozłączyła.

Karina wróciła do Burta roztrzęsiona.

- Co się stało? - spytał na widok jej miny.

- Dzwoniła Lindy. Była zła, że szef jej nie odebrał. Powiedziała, że Dietrich to tylko pies i jeśli zdechnie, to kupię sobie nowego. Kazała mi jechać do weterynarza i popędzić szefa, bo inaczej przegapią show w Vegas.

- Chciałbym to zobaczyć - skomentował ze śmiechem Burt. - Micah pożarłby cię żywcem, a Lindy zostawiłby sobie na deser.

- Też tak myślę. No to co mam zrobić?

- Nic. Niech się piekli. To nie nasz problem, tylko jego.

Objęła się, rozcierając ramiona.

- Trochę mi go żal - powiedziała.

- Sam jest sobie winny. Zakołysała biodrami i go omamiła. Lindy lubi bogatych mężczyzn. Od początku o tym wiedział, ale i tak dał się jej zaciągnąć do jubilera po pierścionek zaręczynowy. Teraz ma za swoje. - Zauważył, że Karina marszczy brwi. - Kochana, trzeba pozwolić, żeby inni uczyli się na swoich błędach. Nie można w kółko zbierać za nich batów.

- Burt, prawdziwy z ciebie filozof! - stwierdziła z uśmiechem.

- Trochę mi jeszcze brakuje, ale pracuję nad tym. - Skończył ostrzyć jej łyżwy i zabrał się za parę Janey. - Powinnaś zadzwonić do Paula.

Westchnęła.

- Chyba masz rację.

Wróciła do swojego pokoju i wybrała jego prywatny numer.

- Maurice - odezwał się przytłumionym, niskim głosem.

- Paul?

- Karina! - wykrzyknął. - Nie spojrzałem na wyświetlacz! Jak się masz? Jak twoja kostka?

- Ładnie się goi. Znowu zaczęłam jeździć. W tym tygodniu skoczyłam potrójnego salchowa!

- *C'est vrai? Magnifique!* - Ucieszył się.

- Mam jeszcze jedną nowinę. Pamiętasz Hilde Meyer, która opracowała tę piękną choreografię dla swoich łyżwiarzy? Wszyscy od niej odeszli, więc przyjechała do Catelów i kupiła tu lodowisko. Chwilowo nikogo nie trenuje.

- Och, to zbyt piękne - powiedział Paul z głębokim westchnieniem. - To zbyt piękne! Partnerka, która dochodzi do siebie, trenerka, która nie ma kogo trenować, i lodowisko do ćwiczeń. Czego jeszcze nam trzeba, żeby wygrać igrzyska,

ma belle amie? – Zaśmiał się.

– Niewiele – odparła rozbawiona. – Sukces błyskawiczny: wystarczy dodać Paula i gotowe!

– Spakuję Gerdę i chłopców i przyjedziemy w przyszłym tygodniu!

– Paul, tylko jest mały problem. Nikt tutaj nie wie, kim jestem. Nawet mój szef.

– O rety! Zatem jak tam zjadę z rodziną, posypią się pytania?

– Obawiam się, że tak.

– Cóż, i tak byłoby ciężko. Wiesz, chłopcy chodzą do przedszkola. Musiałbym ich wypisać. Omówię to z Gerdą. Może wynajmę tam pokój i będę zostawał od poniedziałku do piątku, a na weekendy wracał do domu. Tak, to może się udać. Tak sądzę.

– Przepróż Gerdę w moim imieniu. Trochę nagmatwałam, ukrywając swoją tożsamość. Ale nie chciałam być w centrum uwagi, no i początkowo nie byłam pewna, czy w ogóle wrócę na lód.

– Ja też – odparł z powagą. – Wiem, co powiedział ci lekarz.

– Hilde twierdzi, że mówi tak każdemu łyżwiarzowi.

– Cóż, może czasami słusznie. Ale jeśli twój terapeuta nie widzi przeciwwskazań, tobym mu zaufał. Warto spróbować, *n'est-ce pas?*

– Możemy zwyciężyć – oświadczyła z przekonaniem. – Zawsze tego pragnęłam. Choć raz zdobyć olimpijskie złoto...

– A później zostaniemy komentatorami telewizyjnymi i będziemy wbijać szpilki innym łyżwiarzom – zasugerował z przekąsem.

– Nie, Paul, my będziemy mili!

– No, powiedzmy... Dobra, porozmawiam z Gerdą. Na pewno się ucieszy. Było jej smutno z mojego powodu. Odkąd porzuciła mnie moja nowa partnerka, snułem się smętnie z kąta w kąt i wszystkim psułem humor.

- Możesz być pewny, że ta partnerka nigdy cię nie porzuci. I razem zdobędziemy złoto. Powiedz to Gerdzie.

- Tak zrobię - potwierdził ze śmiechem. - Do zobaczenia, *chérie*.

- Na razie.

Wyszła na werandę i opowiedziała o wszystkim Burtowi.

- Już się nie mogę doczekać! - oświadczył. - Pjongczang, w przyszłym roku. Będę cię dopingował z trybun.

Wiedziała, że nie może liczyć na to samo ze strony Micaha i Janey. Nie chciała się zdradzać przed szefem. Zatrudnił ją do opieki nad córką, uważając, że jest zaledwie amatorką z lodowiska. Postanowiła nie wyprowadzać go z błędu i po cichu trenować do olimpiady.

Tylko co, jeśli szef rozpozna Paula? Co, jeśli wszystkiego się dowie? Co, jeśli ją zwolni? Bez pracy nie będzie jej stać ani na fizjoterapię, ani na mieszkanie w Jackson, ani na sprzęt! Dosłownie na nic!

- Przestań się martwić na zapas - pouczył ją Burt. - Co ma być, to będzie.

Roześmiała się.

- To aż tak oczywiste?

- Dla takiego starego lisa jak ja, owszem. Bez obaw. Nie wydam cię. Janey też nic nie powie. Ma dziewięć lat, ale potrafi dotrzymać tajemnicy.

- Niestety już się wygadała. O potrójnym salchowie.

- Raz jej się wysnęło. Teraz będzie uważać. Kocha cię.

- I wzajemnie - odparła.

Burt pokręcił głową.

- Lindy ciągle z niej szydzi. Szef w ogóle nie zwraca na to uwagi. Chyba już przywykł do jej mantyczenia.

- Oj tak, potrafi być wredna.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo! Jeśli się tu wprowadzi, to się spakuję i już nigdy mnie nie zobaczą. Nie mógłbym z nią żyć

pod jednym dachem.

Karina poczuła ucisk w sercu.

- Ani ja - przyznała i zagryzła dolną wargę. - Ustalili już datę ślubu? - spytała z niepokojem.

- Na szczęście jeszcze nie.

- Może nie wszystko stracone.

- Zawsze jest nadzieja. Po prostu chciałbym...

Urwał w pół zdania, słysząc odgłos zbliżającego się szybko SUV-a.

- Szef wrócił - oświadczył.

- Oby z dobrymi wieściami - dodała Karina. - Pójdę sprawdzić.

Micah otworzył drzwi i zdjął płaszcz. Miał na sobie garnitur, drogie buty i stylowego kremowego stetsona z szerokim rondem. Zmierzył ją wzrokiem spod kapelusza i zmarszczył brwi.

- Jak się czuje? - spytała z troską Karina.

Nabrał powietrza.

- Jest już po operacji. Czas pokaże. Ale weterynarz jest dobrej myśli.

- Dzięki Bogu! Martwiłam się o Janey.

- Pozwól, że ja się będę o nią martwił - fuknął. - A ty zajmij się tym, co do ciebie należy.

Znowu zamienił się w oschłego, apodyktycznego szefa.

Karina spuściła wzrok, starając się nie okazywać tego, jaka jest zahukana.

- Tak jest - rzuciła.

Sapnął niecierpliwie. Nie mógł znieść jej uległego tonu. Dopiero skończył rozmawiać z Lindy. Oczywiście była wściekła, wręcz rozsierdzona faktem, że bardziej przejmował się Dietrichem niż nią i jej pragnieniem obejrzenia rewii. Przecież była ważniejsza od jakiegoś głupiego, starego psa, argumentowała

z wyrzutem. Jeśli zdechnie, zawsze mogli sobie kupić nowego. Więc w czym problem?

A Karina? Była czuła, urocza i martwiła się o jego córkę. Lindy nigdy nie dbała o uczucia Janey. Nie znosiła jej i nawet nie kryła się z tym, że najchętniej tuż po ślubie wysłałaby ją do szkoły z internatem. To było ich główną kością niezgody.

Podniósł głowę i przez chwilę przyglądał się skulonej Karinie. Czuł się winny i nie był tym zachwycony.

- Nie masz nic do roboty?

- Mam. - Wróciła do Burta, który nadal ostrzył łyżwy, i usiadła na werandzie.

Burt ominął ją wzrokiem, przenosząc go na szefa, który jeszcze przez chwilę świdrował ją gniewnym spojrzeniem, zanim udał się do swojej sypialni.

- Dał ci popalić? - rzucił w zadumie.

- Tak - przyznała z westchnieniem. - Rozwścieczyłam go samą obecnością.

Tylko się uśmiechnął. Miał na ten temat swoją teorię. Szef zwykle nie był niemiły dla pracowników. Podejrzewał, że niania obudziła w nim coś, czego nie powinien czuć. Micah był honorowym człowiekiem, tak go wychowano. Nie zdradziłby narzeczonej. Ale to nie znaczyło, że nie jest zaintrygowany nową domowniczką. Karina była ładna i urocza, no i kochała Janey. Stanowiła zupełne przeciwieństwo Lindy, która była chłodna i samolubna, a także pełna nienawiści do dziecka. A szef kochał Janey ponad wszystko.

Zanosilo się na kłopoty. To była tylko kwestia czasu.

Karina pojechała po Janey do szkoły. Po tym, co usłyszała od Micaha, bała się jej powiedzieć o Dietrichu, dlatego udawała, że nic się nie stało, i przez całą drogę powrotną rozmawiała z nią o lekcjach i łyżwach.

Gdy zajechały pod dom, Janey wbiegła do środka z plecakiem i zaczęła się rozglądać.

- Gdzie jest Dietrich? - spytała. - Na zewnątrz?

Karina zbladła. Nie wiedziała, co powiedzieć. SUV szefa

wciąż stał na miejscu, co było dziwne, zwłaszcza po tej tyradzie, którą wygłosiła Lindy. Po prostu zamarła.

Słyszając dziecięcy głos, Micah wyszedł z gabinetu. Nie musiał zgadywać. Zdziwiona mina Janey i pełne udręki spojrzenie Kariny wszystko zdradzały.

Ukląkł na jedno kolano i przywołał do siebie córkę.

- Musisz być dzielna - zwrócił się do niej. - Głowa do góry, okej?

- Dietrich nie żyje?! - wykrzyknęła z przerażeniem.

- Nie, nie. Żyje! Miał skręt żołądka. Przeszedł operację, ale się trzyma.

Janey wciągnęła głęboko powietrze.

- Myślisz, że wyzdrowieje?

- Na pewno - odparł. - To twardziel.

- Okej - powiedziała z ulgą. - Dziękuję, tato.

- Podziękuj swojej opiekunce - dodał z dziwnym wyrazem twarzy, przenosząc wzrok na Karinę. - Zanim trafił do weterynarza, przegoniła niedźwiedzia kijem i ocaliła skórę Dietrichowi.

- Co?! - spytała z niedowierzaniem Janey, odwracając się do Kariny.

- Dietrich leżał bezradnie na ziemi, a niedźwiedź już się na niego zasadzał - przyznała Karina. - W pobliżu nikogo nie było. Musiałam coś zrobić!

Micah przyglądał jej się uważnie. W takiej sytuacji większość kobiet uciekłaby z piskiem. Potrzeba nie lada odwagi, żeby rzucić się na niedźwiedzia. Jego pracownica była pełna niespodzianek.

- Och, Karina, jesteś bohaterką! - Janey podbiegła do niej i mocno uściskała. - Dziękuję!

- Wiesz, ja też kocham Dietricha. Ale wydaje mi się, że niedźwiedź uciekł, bo przestraszył się moich wrzasków, nie kija. - Roześmiała się, przytulając do siebie dziewczynkę. - Zaczęłam z krzykiem biec w jego stronę. Jak byłam mała

i trenowałam taekwondo, nauczyłam się, że krzyk bywa równie skuteczny co atak.

- Taekwondo, powiadasz - odezwał się Micah.

- Od zawsze lubiłam sport. Mój ojciec miał czarny pas i mnie uczył.

Micah ściągnął wargi.

- No, no. - W jego brązowych oczach pojawił się błysk sympatii.

- Nie miał pan przypadkiem lecieć z Lindy...? - zaczęła Karina, ale w porę ugryzła się w język. Była pewna, że szef na nią nakrzyczy za to, że wściubia nos w nie swoje sprawy. Zaciśnęła zęby i czekała na wybuch złości.

- Kazałem jej lecieć samej, jeśli tak bardzo zależy jej na tym show - powiedział łagodnym tonem. - Zaoferowałem nawet, żeby zabrała się firmowym odrzutowcem.

Janey wyglądała na skołowaną.

- Lindy chciała zobaczyć rewię w Vegas - wyjaśnił córce. - Powiedziałem jej, że mam teraz większe zmartwienia i nie mogę lecieć. Nadal dzwoni mi w uszach od jej wrzasków - zakończył cierpko.

Janey wybuchnęła śmiechem. Podbiegła do taty i padła mu w ramiona.

- Dietrich musi wyzdrowieć. Po prostu musi!

- Czas pokaże - odparł szczerze. Przeniósł wzrok na Karinę i posłał jej uśmiech.

Później ten uśmiech nie dawał jej spać po nocy. Nie wiedziała dlaczego, ale był jakiś inny.

Nazajutrz rano szef znowu był szorstki jak zwykle. Prawie przez cały czas wisiał na telefonie, a w przerwach krzyczał na Burta i robił mu awantury o byle co. Karina bała się wychodzić z pokoju, żeby i jej się nie oberwało.

Jedyną miłą rzeczą tego dnia był telefon od weterynarza, który zadzwonił wieczorem z informacją, że Dietrich ma się dobrze.

Paul wpadł na weekend. Był już na lodowisku i jeździł, kiedy zjawily się Janey i Karina. Na ich widok zjechał z tafl i nałożył na łyżwy ochraniacze.

- Paul! - krzyknęła Karina i podbiegła go uściskać. - Miło cię widzieć. - Oderwała się od niego i spojrzała z uśmiechem na Janey. - To jest Paul, mój przyjaciel z podstawówki! - wyjaśniła. - Paul, to jest Janey. Dopiero uczy się jeździć. Opiekuję się nią pod nieobecność jej taty. Och, ty tutaj! - udała zaskoczoną. - Ale niespodzianka!

- Wziąłem wolne w pracy i przyjechałem zobaczyć, co u Hilde. Też jestem mile zaskoczony! - Uśmiechnął się, widząc pełną aprobaty minę Kariny. - Karina dorastała nieopodal Jackson Hole - zwrócił się do Janey. - Moi rodzice przeprowadzili się tam z Quebecu, gdy miałem osiem lat. Oboje mieszkaliśmy wystarczająco blisko, żeby codziennie po lekcjach chodzić na lodowisko. Jeździliśmy ze sobą, dopóki nie skończyliśmy szkoły.

- Rany, ale jesteś wysoki! - wykrzyknęła Janey.

Paul parsknął śmiechem.

- No, podobno.

Karina czuła się tak, jakby jej świat znów nabrał barw. Zauważyła, że Hilde zmierza w ich stronę.

- Pójdę się przywitać i porozmawiać z Hilde. A potem może chwilę pojeździmy? - zaproponował Paul. - O ile twoja mała przyjaciółka nie ma nic przeciwko.

- Nie mam - oznajmiła rozradowana Janey. - Pani Meyer zatrudniła instruktora jazdy dla początkujących. Każdego dnia mam zajęcia, a Karina może wtedy robić, co chce!

- To prawda - przyznała Karina.

- No to widzimy się za chwilę - powiedział, machając do Hilde, i ruszył w jej stronę.

- Janey, łyżwy na nogi! - rzuciła Karina.

- Okej! - odparła z uśmiechem dziewczynka, siadając obok niani. - Fajny ten Paul. Lubisz go?

- Owszem. Jest dla mnie jak brat. Paul i ja jesteśmy jedyna-

kami. Oboje czuliśmy się samotni, nie mając rodzeństwa.

- Och. Czyli on nie jest twoim chłopakiem ani nikim takim?

- Nie - odpowiedziała Karina. - I nigdy nim nie był. Po prostu uwielbialiśmy razem jeździć. Nasi rodzice właściwie opiekowali się nami na zmianę. Albo ja przesiadywałam u niego, albo on u mnie.

- Jest bardzo miły - stwierdziła Janey.

- A jak jeździ! - dodała Karina. - Sama zobaczysz.

Paul i Hilde nadal byli zajęci rozmową. Karina podjechała z Janey do jej nowego trenera, który czekał w odgradzonej części lodowiska, a chwilę później na taflę wyjechał Paul.

- Gotowa? - spytał Karinę.

Spojrzała na niego z czułością.

- Gotowa.

Na lodowisku było pełno ludzi, w większości początkujących łyżwiarzy, więc Paul i Karina nie mogli przećwiczyć swojego starego układu. Głównie jeździli wokół tafli, trenując obroty i łatwe skoki. Piruety - w pozycji wagi, odchylonej czy w przysiadzie - woleli doszlifować w wydzielonej strefie.

Popisowy layback w wykonaniu Kariny przykuł uwagę innych łyżwiarzy. Był piękny i pełen gracji, najbardziej widowiskowy ze wszystkich elementów, jakie opanowała w ciągu tych wszystkich lat. Paul przyglądał się jej z uznaniem i szerokim uśmiechem.

Tymczasem na trybunach pojawił się postawny mężczyzna w kozuchu z owczej skóry, dżinsach i sfatygowanym czarnym stetsonie. Stał w przejściu i wodził po tafli gniewnym spojrzeniem ciemnych oczu... Dopóki nie ujrzał Kariny. Jej piruet niemal zwałił go z nóg.

Jakim cudem potrafi wykonać tak trudną, baletową figurę? - zachodził w głowę. Na pewno nie jest początkującą łyżwiarzką. Tylko dlaczego ktoś tak uzdolniony chciałby pracować u mnie na ranczu?

Musiał z nią o tym porozmawiać. Nie lubił, gdy ktoś skrywał przed nim tajemnice. Doprowadzało go to do pasji.

Kiedy tak o tym rozmyślał, zauważył wysokiego, wysportowanego blondyna, który podjechał do Kariny i ująwszy jej dłoń, delikatnie zakręcił nią w miejscu. W tej samej chwili ogarnęła go wściekłość, jakiej jeszcze nigdy nie czuł.

Jak on śmiał jej dotykać?!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Paul i Karina nie byli świadomi obecności rozgniewanego mężczyzny, który właśnie zmierzał ku tafli. Jechali w parze, lecz osobno, wykonując te same ruchy i figury jak w lustrzanym odbiciu. Na koniec wykręcili piruety w przysiadzie, które wyszły perfekcyjnie i równiutko jak po sznurku.

Zatrzymali się przy Janey, która biła im brawo. Rozbawieni jej entuzjazmem, zaczęli się śmiać.

- Rany, jesteście niesamowici! - wykrzyknęła. - Chciałabym też... O-o. - Skrzywiła się, spoglądając w dal.

Karina i Paul odwrócili się, podążając za jej wzrokiem. Micah stał przy bandzie z rękami wspartymi na biodrach i patrzył na nich wilkiem.

Karina spłoniła się, co tylko pogorszyło sprawę. Podjechała do szefa, a tuż za nią zatroskana Janey.

- Widzę, że znalazłaś sobie partnera do jazdy - rzucił Micah, posyłając Paulowi lodowate spojrzenie.

Rzeczony partner roześmiał się i odparł:

- *Oui*. Jestem Paul. Znamy się z Kariną od podstawówki. Słyszałem, że Hilde Meyer kupiła tu lodowisko i przyjechałem poprosić, żeby mnie trenowała.

Szef jakby się rozluźnił.

- Rozumiem. - Nie, nie rozumiał, ale chwilowo tak sobie wmawiał, żeby nie rozgnieść faceta, którego nawet nie znał. Jeszcze...

- Paul mieszkał z rodzicami w Jackson, kiedy chodziłam tam do szkoły - powiedziała Karina, uśmiechając się ciepło do partnera. - Oboje nie mieliśmy rodzeństwa.

- Startujesz w zawodach? - Micah spytał Paula.

- Chciałbym - odparł z westchnieniem. - Moja nowa part-

nerka właśnie mnie zostawiła, żeby jeździć z kimś młodszym i bardziej oryginalnym. – Wzruszył ramionami. – Niewielka strata. Te jej kolczyki, tatuaże i zielone włosy pewnie by nam nie pomogły. Sędziowie są raczej konserwatywni.

Ciemne oczy Micaha rozbliły, choć wbrew jego woli.

– Ile miała lat?

– Zdaje się, że piętnaście – powiedział z niesmakiem Paul.

– Jak to się stało, że zaczęliście razem jeździć?

– Mój, że się tak wyrażę, trener uznał, że jej styl będzie świetną przeciwwagą dla mojego.

Micah jeszcze bardziej się rozluźnił.

– Z kim jest teraz w parze?

– Z innym Amerykaninem, który ma jeszcze więcej kolczyków niż ona, niebieskie włosy i niezły charakter. Niech im się wiedzie.

Ranczer parsknął śmiechem.

– Jestem Micah Torrance – przedstawił się, wyciągając rękę do Paula. – Karina dla mnie pracuje. Jest nianią Janey, mojej córki.

– Tato, przestań ją tak nazywać – zaperzyła się Janey. – Niania, serio? To moja towarzyszka!

Micah przewrócił oczami.

– Ech, dzieci.

– Przynajmniej nie ma zielonych włosów i tony kolczyków – zauważył Paul.

– Zielone włosy, fuj. – Janey wzdrygnęła się, lecz zaraz dodała z błyskiem w oku: – Co innego różowe!

– Po moim trupie! – zagroził Micah, piorunując ją wzrokiem.

– Co z Dietrichem? – spytała nagle zaniepokojona. – Pogorszyło mu się? Dlatego przyjechałeś?

– Nie, wręcz przeciwnie. Zdaniem weterynarza wyzdrowie-

je i będzie jak nowy – oznajmił z uśmiechem. – Nie mogłem czekać, musiałem się z wami podzielić tą świetną wiadomością.

Janey uściskała ojca; po policzkach ciekły jej łzy szczęścia.

– To super! Tak się bałam!

– Ja również – wyznał.

– Kim jest Dietrich, jeśli mogę wiedzieć? – spytał zdezorientowany Paul.

– To nasz owczarek niemiecki – wyjaśniła Janey. – Miał skręt żołądka!

– *Le pauvre!* – wykrzyknął Paul. – Mój owczarek też to miał, ale za długo zwlekaliśmy z wizytą u weterynarza i już nie dało się go uratować.

– Nie chciał jeść przez wiele dni – dodała Karina, po czym wskazała Paula. – Jego matka płakała przez bity tydzień.

– Tak jak ty, kiedy straciłaś tego wrednego syjamskiego kota, którego tak kochałaś – dodał ze śmiechem. – Nadal mam ślady po jego zębach!

– Trzeba go było nie ruszać z jego ulubionego fotela – prychnęła.

Przewrócił oczami.

– Ech, zwierzaki! Nie da się bez nich żyć! – Roześmiał się.

– Dietrich był chory, a w dodatku w lesie zaatakował go niedźwiedź i nie mógł się bronić. Karina ruszyła na niedźwiedzia z kijem i go przegoniła. A to był grizzly! – oświadczył Micah, i to z taką dumą, że Karina aż się zaczerwieniła.

Paul zachichotał, widząc, jak się rumieni spięta i zakłopotana. Ale mężczyźni już tak na nią działali. No, może poza nim, ale Paul był jak członek rodziny.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Micah sprawdził numer na wyświetlaczu, zmrużył gniewnie oczy i bez namysłu schował komórkę z powrotem do etui przy pasku. Wyglądał na wściekłego.

I rzeczywiście był wściekły.

Znowu dzwoniła Lindy, a on nie chciał się już denerwować. Wystarczająco go rozjuszyła swoim podejściem do Dietricha. Pies nie był zabawką, nie mogli po prostu „kupić sobie nowego”. Micah go kochał, tak samo jak Janey. Nabierał coraz większego przekonania, że popełnił wielki błąd, słuchając swojego libido i pozwalając sobą manipulować doświadczonej kobiecie. Jego cierpliwość do Lindy powoli się wyczerpywała.

- Wracam na ranczo. Czekam na rozmowę konferencyjną - oznajmił, po czym zwrócił się do Kariny: - Jedź ostrożnie. Miejscami nadal jest ślisko.

- W porządku - odparła.

- Miło było pana poznać - powiedział Paul.

Micah skinął głową.

- Wzajemnie. Na razie, skarbie - rzucił do Janey.

- Na razie, tato.

- Tak się cieszę, że Dietrich wyzdrowieje - oświadczyła Janey. - Strasznie się martwiłam.

- Ja też - odparła Karina.

- Naprawdę przegoniłaś niedźwiedzia kijem? - spytał z niedowierzaniem Paul.

- Naprawdę - przyznała ze śmiechem.

- Moja droga, to było odważne i lekkomyślne! Ale niczego innego bym się po tobie nie spodziewał. Zawsze byłaś ode mnie dzielniejsza.

- Nie wierz w to, co mówi - zwróciła się do Janey. - To on jest dzielny.

Rozejrzeli się po lodowisku. Zaraz mieli zamykać. Łyżwiarze zaczęli już zjeżdżać z tafl i zwracać wypożyczone łyżwy. Kiedy wyszła ostatnia para, z biura wyłoniła się Hilde.

- My też powinniśmy się już zbierać - zaczęła Karina.

- Chwila - wtrąciła Hilde. - Poczekajcie.

Podniosła głowę, a z głośników znów popłynęła muzyka. Tym razem utwór Rachmaninowa - *Rapsodia na temat Paga-*

niniego.

Paul spojrział na Karinę i spytał:

- Mogę prosić?

Uśmiechnęła się i odwróciła do Janey.

- Poczekasz jeszcze chwilkę?

- Pewnie - odparła ochoczo. - Będę robić za waszą publiczność!

Hilde zawtórowała ze śmiechem:

- I ja!

Paul i Karina płynnie rozpoczęli program, dzięki któremu - zdaniem Burta - powinni zdobyć co najmniej brąz na ostatnich igrzyskach. Było tak, jakby nigdy nie przestali ze sobą jeździć.

Wszystkie ich podnoszenia były perfekcyjne, podobnie jak skoki. Ze dwa razy Karina wylądowała zbyt wcześnie, ale upadła tylko raz, i to na biodro, które osłaniał ochraniacz. Podniosła się ze śmiechem i natychmiast wróciła do układu.

Noga jej nie dokuczała. W każdym razie nie bardzo. Była jeszcze trochę obolała i Karina wiedziała, że będzie musiała poświęcić więcej czasu, żeby ją dobrze rozgrzać, ale euforia, jaką czuła w związku z powrotem na lód i szansą na występy, wprost ją uskrzydlała. Niemal pękała z radości. Na twarzy Paula malował się ten sam zachwyt, ta sama radość z jazdy i niebywała satysfakcja z doskonałej harmonii ruchów.

Na wielki finał zaserwowali poetycko piękną spiralę śmierci. Paul bez trudu podciągnął Karinę do pionu i zakończyli występ, rozkładając teatralnie ręce.

- Wow! - tylko tyle Janey zdołała z siebie wydusić. Nie była głupia. Oglądała wiele filmików na YouTubie i wiedziała, że tak jeżdżą tylko wysokiej klasy łyżwiarze. Żaden amator nie wykonałby takiego programu.

Stojąca obok Hilde prawie popłakała się ze wzruszenia, bijąc im brawo.

- Wspaniale - powiedziała ochryple. - Poezja!

Paul i Karina podjechali do bandy, zdyszani i z wypiekami na twarzach, ale uszczęśliwieni.

- Wciąż to mamy. I to po tych wszystkich okropnych wydarzeniach z ostatnich miesięcy - zauważył Paul, łapiąc oddech.

- Jesteście niepokonani - stwierdziła Hilde. - Parę poprawek tu i tam, dużo ćwiczeń i...

Paul i Karina spojrzeli na nią wymownie.

- Tak pani myśli...? - spytała Karina.

- Ja to wiem.

Janey nerwowo przeskakiwała między nimi wzrokiem.

- Co powiemy tacie? - spytała zmartwiona, a gdy wszyscy utkwili w niej spojrzenie, rzuciła z drwiącym uśmiechem: - Och, dajcie spokój. Nie jestem taka głupia. Przecież widzę, jacy jesteście dobrzy. W tym roku na zawodach krajowych startowali o wiele gorsi od was! Oglądałam ich występy na YouTube! Nie jesteście amatorami takimi jak ja.

- Jesteśmy... obiecującymi amatorami - powiedział Paul, tak dobierając słowa, żeby zbytnio się nie zdradzić.

- Tak, obiecującymi - potwierdziła Karina.

Janey westchnęła.

- Spokojnie, nie wygadam - oświadczyła, po czym dodała z szerokim uśmiechem: - Ale jeśli wygracie mistrzostwa USA, to nie dam Lindy o tym zapomnieć.

- Nikt nie może się dowiedzieć. Jeszcze nie teraz - upomniała ją Kraina.

- Nikomu nie powiem - zapewniła Janey i się skrzywiła. - Wypsnęło mi się o tym potrójnym skoku. Ale to się już nie powtórzy. Słowo.

Karina spojrzała na Paula i Hilde.

- To co? Spróbujemy? - spytała, a gdy się uśmiechnęli i pokiwali głowami, oznajmiła uradowana: - Okej. Postanowione! - Ale nie wspomniała, że tak naprawdę chodzi o olimpiadę.

Im mniej Janey wiedziała, tym lepiej.

Kilka dni później Dietrich wrócił do domu. Był taki radosny i energiczny! Nikt by nie uwierzył, że ma za sobą ciężką operację. Na czas powrotu do zdrowia trzymali go w domu i rozpieszczali nowymi zabawkami oraz organicznymi smakołykami. Co noc, tak jak zawsze, spał w swoim legowisku przy łóżku Janey, ale jeszcze nigdy tak przy nim nie skakano.

Billy Joe często wpadał, żeby go zobaczyć, chociaż Burt podkpiwał, że tak naprawdę chciał się zobaczyć z Kariną. Ponownie zaprosił ją do kina, ale jako że znów trenowała z Pauliem, nie miała czasu na życie towarzyskie. Grzecznie mu odmówiła, tłumacząc, że dokuczają jej kostki i powinna ją oszczędzać w przerwach między lekcjami Janey.

Nie była pewna, czy Billy Joe jej uwierzył. Zdawało się, że tak, ale po mieście krążyły plotki o tym, że Karina jeździ w parze z jakimś nieznajomym, najpewniej jej chłopakiem, więc Billy Joe wycofał się z godnością, nie żywiąc urazy.

- Czuje do ciebie miętę - drażnił się z nią Burt. - Ale ludzie gadają o tobie i tym blondynie z lodowiska.

- Ojej - odezwała się zaniepokojona. Ona i Burt jedli właśnie lunch.

- Bez obaw. Micah wie, że zamierzasz startować z Pauliem w zawodach. Nie ma nic przeciwko - próbował ją uspokoić, choć wiedział, że to niezupełnie prawda. Micahowi nie podobało się to, że Karina spędza tyle czasu z jakimś facetem, i czynił na ten temat kąśliwe uwagi. On również słyszał plotki.

- Wiesz, Paul ma żonę.

- Co? - wykrzyknął Burt.

- Nie chwali się tym, ale z Gerdą mają dwóch małych synków. - Uśmiechnęła się szeroko. - Są małżeństwem od sześciu lat. Paul nie lubi opowiadać o swoim prywatnym życiu. Ma na uwadze dobro chłopców. Chce, żeby nie odstawali od reszty i dogadywali się z innymi dziećmi.

- To nietypowe podejście.

- Owszem. On i Gerda dbają o swoją prywatność. Cóż, ja również. Dlatego występowałam pod pseudonimem. To był

pomysł mojej mamy. Jeździła na igrzyskach i zdobyła dwa złote medale jako solistka, ale używała panieńskiego nazwiska. Twierdziła, że widziała już wielu świetnych łyżwiarzy, których sława doprowadziła do obłędu, i nie chciała podzielić ich losu. Z początku nie byłam tym zachwycona, ale z czasem zrozumiałam, o co jej chodziło.

- Aż dwa złote medale? - spytał zaskoczony. Ta wiadomość zrobiła na nim duże wrażenie. - Kim była twoja matka?

Wyjawiała mu prawdę, a Burt aż wstrzymał oddech.

- Pamiętam ją! - powiedział, kiwając głową. - Czysta poezja na lodzie. Niewiele łyżwiarek potrafiło jeździć z taką gracją. Przypominasz mi ją.

Uśmiechnęła się smutno.

- Dziękuję.

- Jak wam idzie? Znaczą się, na treningach - uściślił.

- Hilde mówi, że robimy błyskawiczne postępy. Miała kilka świetnych pomysłów, jeśli chodzi o choreografię, na które sami nigdy byśmy nie wpadli. Zmodyfikowaliśmy nasze układy, dodaliśmy parę nowych rzeczy i dopracowaliśmy stare piruety i skoki. - Pokiwała głową. - Chyba mamy szansę wystąpić na igrzyskach.

- Och, na pewno dostaniecie się do reprezentacji - stwierdził bez cienia wątpliwości.

- Miejmy nadzieję.

- Czeka nas weekend z Lindy - rzucił zniechęcony.

Karina aż wylała kawę.

- O rany.

- Coś na to zaradzimy. Pewnie i tak poleci z Micahem do Vegas. Raczej nie będzie się kręcić na lodowisku.

- Obyś miał rację.

Z pokoju Janey dobiegło płaczliwe skomlenie.

- Ups. Zapomniałem cię wypuścić, staruszkę - rzucił Burt, gdy otworzył drzwi i z sypialni wyszedł Dietrich, liżąc go po

ręce.

- Mam z nim wyjść? - spytała Karina.

- Nie. Sam to zrobię. Ty lepiej wracaj na lodowisko. Paul będzie się niecierpliwił.

Wyszczерzyła się w uśmiechu.

- Przy okazji, dzięki za naostrzenie łyżew. Paul chciałby ci zapłacić.

- Wystarczy, że załatwicie mi bilety na wasz występ na olimpiadzie. To będzie najlepsza zapłata.

- Załatwione - obiecała. - O ile zajdziemy tak daleko.

- Chcesz się założyć? - rzucił prowokacyjnie. - Pójdę po smycz. I może jakiś kij. Na niedźwiedzie - dodał z uśmiechem.

- Już nigdy nie będę zgrywać chojraczki, możesz być tego pewien. - Roześmiała się. - Na razie, Burt.

Karina i Paul korzystali z każdej wolnej chwili, żeby dopracować swój nowy układ.

- Dobrze, że nigdy oficjalnie nie potwierdziłem, że się rozstaliśmy - zauważył Paul. - Nadal mamy stypendium. - Kwota, jaką Związek Łyżwiarski przeznaczył dla najwyższej notowanych łyżwiarzy, może nie była zawrotna, ale lepsze to niż nic.

- Rzeczywiście, dobrze zrobiłeś - odparła. - Nie skreśliłeś mnie, nawet kiedy cię namawiałam na nową partnerkę. Byłam pewna, że już nigdy nie będę jeździć - wyznała podczas krótkiej przerwy. - Lekarz napędził mi niezłego stracha.

- Czułem się podle - powiedział cicho. - Upadłaś, bo za wysoko cię wyrzuciłem.

- Po prostu źle wylądowałam - zaproponowała. - Paul, to był wypadek. Nigdy cię nie winiłam.

- Nie musiałaś. Wystarczy, że ja to robiłem.

- Ale to już przeszłość, a my mamy jeszcze tyle przed sobą!

- I mnóstwo czasu, żeby się przygotować do zawodów.

- A jeśli dopisze nam szczęście - rzuciła żartobliwie - to

może nawet do olimpiady.

- W to nie wątpię - odpowiedział z uśmiechem.

- Cóż - westchnęła - trening czyni mistrza.

- Otóż to. Kiedy się widzisz z terapeutą?

- Jutro rano. Przyjmuje w Jackson. Zabrałabym się z tobą, ale o czternastej muszę wrócić i odebrać Janey z zajęć. W ten weekend przyjeżdża narzeczona szefa. - Skrzywiła się.

- Nie lubisz jej?

- Niezbyt. Strasznie się rządzi. I nie podoba mi się, jak traktuje Janey.

- Kochasz tę małą, prawda?

Jej twarz wypogodniała.

- I to bardzo. Janey jest wyjątkowym dzieckiem. Ale też bardzo wrażliwym. A Lindy nie jest dla niej miła. - Pokręciła głową. - Nie rozumiem, co szef w niej widzi.

Zaśmiał się.

- Na pewno nie chodzi o jej milusi charakter. Zgrabna figura?

- Zgrabna figura, śliczna twarz... Skoro chce ją poślubić, to chyba musi mieć jakieś zalety.

Uniósł brwi i zacisnął wargi, a w jego oczach pojawił się błysk.

Zrozumiała, co ma na myśli, i parsknęła śmiechem.

- Pewnie dla niego jest bardziej wspaniałomyślna niż dla Janey.

Odetchnął przeciągle.

- Cóż, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Obyś miał rację.

Przećwiczyli jeszcze dwukrotnie nowy układ, a potem Karina pojechała po Janey do szkoły.

- Skoczę coś przegryźć i widzimy się później - rzucił Paul, zanim zdążyła wyjść.

- My też jeszcze coś przekąsimy w domu - odparła.

Zanim ruszyły na lodowisko, zjadły wczesną kolację. Janey była wyjątkowo rozmowa.

- Trener Barnes mówi, że wkrótce mają się odbyć zawody dla początkujących w ramach programu nauki jazdy, na który mnie z tatą zapisaliście. To właściwie taki występ zaliczeniowy - wyjaśniła. - Skupimy się teraz bardziej na wymaganych elementach, żebym miała szansę przeskoczyć do wyższej klasy. Zawody będą w Jackson.

- Na pewno sobie poradzisz - zapewniła ją Karina. - To nie jest trudny program. Jeden z prostszych - dodała z uśmiechem. - Ale na coraz wyższych poziomach rywalizacja bywa brutalna.

- Będę twarda - obiecała Janey, szczerząc się szeroko. - Zobaczysz.

- Naprawdę świetnie się prezentujesz na lodzie - skomplementowała ją Karina, sprawiając, że dziewczynka oblała się rumieńcem.

- Lindy uważa, że jestem niezdarna i głupia.

- Nic z tych rzeczy! Kiedy zdobędziesz złoty medal na olimpiadzie, rzucisz go jej w twarz - powiedziała, zanosząc się śmiechem.

Janey westchnęła.

- Och, nie mogę się doczekać! - Dojadła kanapkę. - Całe szczęście, że jutro nie mam szkoły. Możemy zostać dłużej na lodowisku.

- No nie wiem - stwierdziła z niepokojem Karina. - Czy przypadkiem jutro nie przyjeżdża twoja przyszła mama?

Janey wykrzywiła twarz w grymasie.

- Przyszła żona taty, jeśli już... - Posmutniała. - Wyobrazasz sobie, że Lindy będzie tu cały czas? - rzuciła smętnie. - Może uciekniemy na Syberię?

- Czemu tam? - spytała Karina.

- Bo tam jest zimno i mają tony lodu - odpowiedziała z szel-

mowskim uśmieszkiem. – Mogłybyśmy jeździć bez przerwy na łyżwach.

Karina uścisnęła ją czule.

– Nie można uciekać przed problemami. Trzeba stawić im czoło – powiedziała roztropnie. – Jeśli ja mogłam wrócić na łód po wypadku, to i ty dasz sobie radę z Lindy.

– Skoro tak mówisz.

Były już spakowane i gotowe ruszać na lodowisko, gdy nagle w drzwiach stanęli Lindy i Micah.

Oboje byli mrukliwi i mieli posępne miny. Wyglądali, jakby się pokłócili.

– A wy dokąd? – syknęła Lindy.

– Na lodowisko – odpowiedziała Karina. – Janey ma zajęcia o osiemnastej...

– Zajęcia! Strata czasu! Smarkula nie potrafi jeździć – stwierdziła Lindy, piorunując Janey wzrokiem. – To niezdara.

– Nieprawda! – warknął Micah. – I przestań się nad nią pa-stwić.

Lindy spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale zamilkła.

– Baw się dobrze! – Micah zwrócił się do córki, zmuszając się do uśmiechu. – I nie siedźcie za długo.

– Przecież jutro nie mam szkoły – zaperzyła się Janey.

– Ale jedziemy do Jackson – oświadczył z nietęgą miną. – Na zakupy. Potrzebujesz nowych ubrań do szkoły.

– Potrzebna mi też sukienka na zawody – zauważyła pod-ekscytowana.

– Jakie zawody? – spytała z obrazą w głosie Lindy. Spiorunowała Karinę wzrokiem i dodała: – Pewnie to ona cię namó-wiła. Żadna z was nie jest na tyle dobra, żeby gdziekolwiek startować.

– Ale ja chodzę na zajęcia – powiedziała cierpko Janey. – I wiem, że jestem wystarczająco dobra, żeby startować w mo-jej klasie.

- Kto ci tak powiedział? Ta nieudolna olimpijska trenerka, która została bez łyżwiarzy? - zadrwiła.

- To nie Hilde ją uczy, tylko Chad Barnes - wtrąciła się Karina, siląc się na spokojny ton. - Zaczął pracować na lodowisku. Trzy razy z rzędu zdobył srebro na mistrzostwach USA, jest też medalistą mistrzostw świata.

Lindy wzruszyła ramionami.

- Co z tego? To i tak strata pieniędzy. To dziecko ma słomiany zapał. Podaj kawę! - warknęła na krzątającego się w kuchni Burt. - Przemarzłam! Tylko nie rób za mocnej, żebym znów nie musiała jej rozcieńczać!

- Kawa to dobry pomysł - zgodził się Micah.

- Zaraz zaparzę - oznajmił Burt, starając się nie okazywać urazy.

- Postaramy się nie siedzieć za długo - obiecała Karina, zaganiając Janey do drzwi.

- Ja myślę - powiedział chłodno Micah.

Te słowa ubodły Karinę. Zastanawiała się, dlaczego ostatnio Micah jest dla niej taki szorstki. Od czasu spotkania z niedźwiedziem zdawał się mniej agresywny, ale teraz znów wrócił do dawnych nawyków.

Nie żeby się go bała, ale czuła się przy nim nieswojo. Nie potrafiła tego wytłumaczyć.

- Jesteś strasznie cicha - stwierdziła Janey w drodze na lodowisko.

- Po prostu myślę o nowym układzie, który trenujemy z Paulem - odpowiedziała wymijająco. - Cieszę się z powodu twojego pierwszego występu. Na pewno świetnie ci pójdzie!

- Dziękuję, że stanęłaś w mojej obronie - powiedziała Janey. - Przez Lindy czuję się jak idiotka.

- Ale nią nie jesteś. Musisz uwierzyć w siebie i swoje możliwości. Nie pozwól, żeby ktoś zachwiał twoją wiarę w siebie. Możesz robić, co tylko zechcesz.

Janey się rozpromieniła.

- Dziękuję.

- Nie ma za co - odparła z uśmiechem Karina.

Paul czekał już na nich na tafli. Karina podjechała z Janey do Chada Barnes'a.

- Świetnie sobie z Paułem radzicie - zwrócił się do niej.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Paul kontaktował się ze Związkiem Łyżwiarskim. Przy wyborze zawodników na zawody krajowe i igrzyska brane są pod uwagę różne kryteria. To złoto zdobyte na mistrzostwach świata i rekordowy wynik w zawodach międzynarodowych dają nam spore szanse, żeby się zakwalifikować - wyjaśniła. - Wszystko zależy od tego, czy udźwignę trudny program i pojedę równo. Po kontuzji ciężko jest się pozbierać.

- Kontuzje zdarzają się każdemu. Ja miałem bóle piszczeli i naciągnięte mięśnie. Raz dorobiłem się wstrząśnienia mózgu, a kiedy indziej złamałem kostkę. Ale dzięki rehabilitacji i ćwiczeniom zawsze wracałem do formy. Z tobą też tak będzie.

- Powrót na lód nie był łatwy - wyznała. - Ale teraz, gdy zaczęłam jeździć, znów jest jak dawniej - dodała z szerokim uśmiechem. - Kocham ten sport.

- Ja również - przyznał.

Paul i Karina pracowali nad sekwencją skoków do złożonego programu dowolnego opracowanego przez Hilde. Szło im to wolno, bo nie dość, że musieli wykonać je perfekcyjnie - za każdym razem wylądować czysto na właściwej krawędzi - to jeszcze równo i w idealnej synchronii. Osiągnięcie tego efektu wymagało ciężkiej pracy.

Kiedy zeszli z lodu, oboje z trudem łapali powietrze.

- Nie wiedziałam, jakie to trudne, dopóki sama nie zaczęłam jeździć - zauważyła Janey, która dawno skończyła lekcje i oglądała ich zza bandy. - Taki program jest strasznie męczący.

- Owszem - roześmiała się Karina, wycierając spoconą twarz chusteczką. - Na lodowisku jest zimno, ale po takim

treningu można się nieźle zgrzać.

- Teraz już wiem, dlaczego kazali nam się ubrać na cebulkę i włożyć cienkie skarpetki - oświadczyła rozbawiona Janey. - Grube ubrania przeszkadzają w jeździe.

- Przed tobą jeszcze sporo nauki - stwierdził Paul. - O której jutro wyjeżdżamy? - spytał Karinę.

- To kawał drogi. O dziewiątej? - zaproponowała.

Skinął głową na potwierdzenie.

- Pojadę za tobą swoim samochodem. Mógłbym cię podwieźć, ale jak sama mówiłaś, musisz tu wrócić, a ja nie.

- Nie ma sprawy, moje auto jeszcze daje radę.

Paul zdjął i spakował łyżwy, po czym rzucił:

- Zatem widzimy się rano. *Bonne nuit* - i poszedł do pokoju, który wynajęła mu Hilde.

- Wzajemnie - krzyknęła za nim Karina.

- Branoc! - dodała Janey. - Co znaczy *bonne...* coś tam? - spytała, gdy już siedziały w wozie w drodze na ranczo.

- *Bonne nuit* - powiedziała z uśmiechem Karina. - To po francusku „dobranoc”.

- Znasz francuski?

- Przynajmniej na tyle, żeby się dogadać. Paul mnie nauczył, gdy byłam w twoim wieku.

- Czyli dawno temu, co? - zażartowała dziewczynka.

Karina parsknęła śmiechem.

- To nie było miłe!

- Ciesz się, że nie jesteś tak stara jak tata - zripostowała Janey. - W sierpniu skończy trzydzieści cztery lata!

- Rany. Trzeba go oddać do domu starców! - zakpiła, ale w duchu zamyśliła się nad dzielącą ich różnicą wieku. On był jedenaście lat starszy. Właściwie zbytnio się tym nie przejmowała, chociaż nie dało się nie zauważyć tych kilku siwych włosów na tle jego czarnej czupryny.

Tylko jakie to ma znaczenie? – pomyślała i się skrzywiła. Jest moim szefem i ma narzeczoną.

– Nie no, zostało mu jeszcze parę ładnych lat – stwierdziła Janey i westchnęła. – Jak wrócimy, idę prosto do łóżka. Lindy raczej się nie położy. Nigdy nie śpi. Całą noc tylko siedzi, pali papierosy, ogląda filmy i wlewa w siebie hektolitry kawy.

– Pali papierosy? – spytała zmartwiona Karina. Dym szkodził płucom.

– Ale nie w domu – dodała Janey. – Tata postawił na swoim. Nie lubi tego smrodu.

– A ja w ogóle nie lubię dymu – odparła Karina. – Łyżwiarze muszą dbać o płuca, żeby mieć siłę jeździć i nie zemdleć.

– No raczej. Nie martw się, będzie palić na zewnątrz. Wiem, jak tego nie cierpi – dodała z szelmowskim uśmiechem.

– Ty mały złośliwcu! – zrugła ją Karina, lecz też się roześmiała.

Gdy dotarły do domu, Lindy siedziała na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i rękami i oglądała jakiś talk-show. Telewizor grał głośno, a Burta i Micaha nigdzie nie było widać.

– No, nareszcie! – warknęła na widok Janey i Kariny. – Myślałam już, że będziecie tam nocować!

– W piątki i soboty zawsze zostajemy dłużej – oznajmiła dziewczynka, ale niezbyt stanowczo. Nie znosiła się sprzeczać.

– Jak dla mnie, możesz tam siedzieć tak długo, jak chcesz. To i tak nic nie da – dowaliła jej. – Nie byłam cię w stanie niczego nauczyć. Jesteś głupia jak but.

– Idę do łóżka. Dobranoc, Karina – rzuciła Janey, wyraźnie akcentując jej imię, i ruszyła prosto do swojego pokoju.

– Wredna smarkula – skwitowała ze złością Lindy. – Nawet nie próbuje być dla mnie miła. Domyślałam się, że to twoja sprawka. – Spiorunowała Karinę wzrokiem.

Zanim zdążyła coś dodać, otworzyły się drzwi gabinetu. Micah wszedł do salonu i na widok Kariny zmarszczył brwi.

- Gdzie jest Janey? - spytał.

- Poszła spać - odpowiedziała. - Była zmęczona.

- Zmęczona jazdą na łyżwach czy oglądaniem, jak ty i twój chłoptaş bawicie się w łaskotki? - wtrąciła Lindy ze złośliwym uśmieszkiem. - Wszyscy o was plotkują.

Twarz Micaha stężała.

- W łaskotki? - spytał zdziwiony.

- My tylko ze sobą jeździmy - broniła się Karina. - Paul jest moim przyjacielem.

- Aaa, jasne, tak to się nazywa - zakpiła Lindy. - Spotykacie się codziennie przed świtem i spędzacie ze sobą cały czas, gdy mała jest w szkole. Nikt tyle nie trenuje. I tak się składa, że właścicielka lodowiska wynajmuje mu tam pokój. Czyż to nie dogodne?

Micah miał dziwny, iście morderczy wyraz twarzy. Lindy się uśmiechała, ale to nie był życzliwy uśmiech.

Karinie nie chciało się już tłumaczyć. Była zmęczona i bolała ją kostka.

- Jutro rano muszę jechać do Jackson. Mam wizytę u terapeuty - oznajmiła. - Mogę?

- U terapeuty? - zdziwiła się Lindy. - Masz jakieś... problemy psychiczne?

Karina ją zignorowała, ale powiedziała do szefa:

- Chodzi o terapeutę sportowego. Chcę, żeby obejrzał kostkę.

- Dokucza ci? - spytał Micah.

- Po prostu czasami jest obolała. - Wzruszyła ramionami. - Ostatnio, jak się z nim widziałam, powiedział, że wszystko ładnie się zrosło.

- A te treningi? Nie zaszkodzą?

Sama nie była pewna. Po wcześniejszym złamaniu i nowym urazie noga była osłabiona. Karina zdawała sobie z tego sprawę i trochę się martwiła. Jeśli ona i Paul chcieli startować

w zawodach krajowych i dostać się na olimpiadę, musieli sporo trenować – właściwie całymi dniami, dopóki nie opanują układu i nie doszlifują go do perfekcji. Czy kostka to wytrzyma?

Pocieszała się, że wielu olimpijczyków wracało do rywalizacji po znacznie poważniejszych kontuzjach. Grunt to ćwiczenia, dobre rozciągnięcie i doraźna opieka medyczna. Ale pewna obawa pozostała...

– Zapytam go o to – powiedziała, wiedząc, że Micah czeka na odpowiedź. – Dobranoc.

– Dobranoc.

– No pomyśl, skoro całymi dniami jeździ z tamtym facetem, to ile czasu poświęca Janey? – mruknęła Lindy, kiedy Karina wyszła z salonu.

– Sam się nad tym zastanawiam – odparł lakonicznie.

Karina też to słyszała i poczuła w środku bolesne ukłucie.

Zamknęła się w swoim pokoju. Twarz płonęła jej żywym ogniem, a serce pędziło galopem.

Czyżby Micah sądził, że przez treningi zaniedbuję Janey? – pomyślała i doszła do wniosku, że pewnie miał rację.

Już wiedziała, że będzie z tym problem. A Lindy jeszcze dolewała oliwy do ognia. Na tę chwilę jej przyszłość nie rysowała się kolorowo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziła się w środku nocy zrana zimnym potem. Znów przyśniła jej się katastrofa, w której straciła rodziców. Ich twarze, ich zmasakrowane ciała. Spędziła tam w śniegu całą noc. W blasku księżyca, który był w pełni, ich zwłoki wyglądały jak żywe. Karina miała złamaną nogę i nie mogła się ruszyć. Przy pierwszej próbie zemdląca, a później czuła już tylko nieustanny pulsujący ból, który niemal ją zamroczył, jednak nie na tyle, by nie widziała dwójki bliskich jej osób leżących wśród rozszarpanych dookoła szczątków samolotu.

Kadłub przetrwał zderzenie z ziemią, ale złamał się na pół. Ojciec Kariny, wciąż przypięty do fotela w kokpicie, siedział wyprostowany... i martwy. Głowa jej matki, która wcześniej siedziała naprzeciwko niej i tak samo jak ona została wyrzuciona w powietrze, była wygięta pod przerażająco dziwnym kątem, a ze zmasakrowanego ciała sterczały powykrzywiane fragmenty metalowego poszycia.

Śmierć. Wszędzie unosił się jej zapach. Był wyraźny mimo otępiającego zmysły zimna. Ekipy ratunkowe odnalazły ich dopiero późnym rankiem. Do tego czasu Karina na przemian traciła i odzyskiwała przytomność, osłabiona utratą krwi wskutek obrażeń nogi i tułowia. Te jednak nie zagrażały jej życiu. Buty, gruby płaszcz i koc, którym była przykryta w samolocie, ochroniły ją przed odmrożeniami, i ostatecznie spędziła tylko kilka dni w szpitalu.

Paul i Gerda przyjechali, żeby się nią zająć i pomóc z biurokracją, niezbędną do uzyskania pozwolenia na sprowadzenie zwłok do kraju. To była prawdziwa katorgia. Złamana noga, przykra rzeczywistość, której musiała stawić czoło, i wciąż powracające przerażające sny.

Micah zgadł, że widziała zwłoki rodziców. Nie wiedział jednak, że spędziła tam z nimi całą noc, ani tego, że odtąd dręczyły ją koszmary.

Tak jak teraz.

Wstała z łóżka, narzuciła szlafrok na koszulę nocną i otworzyła drzwi. Przystanąła na chwilę w progu. Jeśli mogła, wolała uniknąć kolejnej konfrontacji z Lindy. Ale pewnie była w sypialni z Micahem.

Na tę myśl poczuła w sercu ukłucie. Tylko czemu?

Zeszła do kuchni i ucieszyła się, że nikt się tam nie krząta. Była trzecia nad ranem, ani chybi wszyscy już spali. Nastawiła kawę i oparła się o szafkę, próbując uporać się z bólem, który powrócił wraz z koszmarem.

Gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi, serce stanęło jej w gardle.

Tylko nie Lindy, błagała w duchu. Proszę, tylko nie Lindy...

Odwróciła się z sennym rumieńcem i poczuciem winy wypisanym na twarzy otoczonej falującymi blond włosami, które opadały kaskadami na ramiona i spływały po plecach aż do pasa. Gdy jej szare oczy napotkały twarz szefa, odetchnęła z ulgą. Ale tylko odrobinę.

Miał na sobie czarne spodnie od pizamy. Włosy sterczały mu w nieładzie, a muskularną pierś o oliwkowym odcieniu pokrywał gęsty czarny zarost. W jej oczach – tak niewinnych jak ona – był jak Adonis. Jednak teraz, gdy zastał ją w kuchni, zdawał się poirytowany.

- A ty co tu jeszcze robisz o tej porze? – spytał szorstko. Jej widok doprowadzał go do szaleństwa. Wyglądała nadzwyczaj pięknie z tymi długimi rozpuszczonymi włosami, rozmytą snem twarzą i milczącym spojrzeniem szarych i nieruchomych niczym poranna mgła oczu.

Wzięła szybki oddech i odparła:

- Miałam koszmar.

Uniósł głowę i przesunął wzrokiem po jej niesamowitej figurze – począwszy od jędrnych piersi, zarysowujących się rozkosznie pod zwiewnym szlafrocikiem, aż po głęboko wciętą talię i krągłe biodra.

Była taka powabna.

Jego ciało zastrajkowało przy Lindy, która w końcu wybiegła jak burza z sypialni i zamknęła się w pokoju gościnnym. Za to teraz... Teraz było gotowe i chętne do współpracy.

Na widok Kariny cały stężał, jakby dostał kijem po plecach. Był podniecony. Nawet bardzo. Ale ona była za młoda i w dodatku dla niego pracowała. Nie powinien myśleć o niej w ten sposób. Miał narzeczoną. Lindy naciskała, żeby wyznaczył datę ślubu. Tylko że on wcale tego nie chciał.

Zmierzył Karinę wzrokiem, po czym podszedł do szafki, wyjął dwa kubki i postawił je obok dzbanka z kawą. Był tak blisko, że czuła ciepło jego muskularnego ciała, i nagle ogarnął ją nerwowy niepokój.

Ni stąd, ni zowąd dotknął jej długich włosów, a potem chwycił je w garść i lekkim szarpnięciem przyciągnął do siebie.

To było złe. Nie powinien... Ale i tak mimowolnie nachylił się do pocałunku.

- Panie... Torrance - wyszeptała na znak słabego protestu, który został zdławiony pod naporem jego ciepłych ust.

Skubnął zębami jej dolną wargę.

- Otwórz - powiedział szorstko.

- Cooo...?

Chcąc nie chcąc, spełniła jego życzenie. Ależ go to podnieciło! Rozkosz rozlała się po jego potężnym ciele niczym porządny łyk whiskey, napinając wszystkie mięśnie i uderzając w niego falą palącej żądz.

- Nie... nie wolno panu - wyjąkała zduszonym głosem. Ale ona też go pragnęła. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo. Aż do teraz, kiedy runęły wszystkie mury, którymi się obwarowała.

- Ciii - szepnął i jeszcze mocniej do niej przywarł.

Jej dotyk odurzył jego zmysły. Poczł się znów młody, przepojony dojmującym pragnieniem. Sprawiała, że jego ciało ożyło, a oddech uwiązał mu w piersi. Zamruczał ponętnie i przesunął rękami po jej plecach, przyciskając ją jeszcze bardziej

do miejsca, które wyraźnie zdradzało rosnące w nim pożądanie.

Nigdy nie czuła męskiej erekcji. No, może raz, dawno temu, podczas jednego z wielu wyjazdowych konkursów, w których startowała, zanim oficjalnie zaczęła jeździć w parze z Paulem. W przeddzień zawodów po treningu asystent trenera przyparł ją do ściany i próbował wykorzystać. Karina szarpała się i krzyczała, ale to tylko go rozwścieczyło. Uderzył ją, a potem raz po raz okładał pięściami, jednocześnie zrywając z niej ubranie.

Kiedy przyjechał po nią ojciec, zaniepokoił się, że nie czeka na niego na zewnątrz. Poszedł jej szukać i uratował w samą porę, zanim ten bydlak wziął ją siłą.

Karina była cała we łzach. Na miejscu zjawiała się policja i wybuchł skandal. Asystent trenera stracił pracę, ponieważ jednak był lubiany, Karina stała się obiektem szykan ze strony łyżwiarzy, których trenował. Niektórzy z nich nie wierzyli, że próbował ją zgwałcić. Uważali, że Karina po prostu pragnęła uwagi.

Napaść, której padła ofiarą, wstrząsnęła nią do tego stopnia, że nie wypadła najlepiej na zawodach i zajęła niską lokatę. Ostatecznie zrezygnowała z występów solowych. Wróciła do klubu łyżwiarskiego w Jackson i została partnerką Paula. To była słuszna decyzja, ale całe to wydarzenie odcisnęło na niej trwałe ślady, pozostawiając głębokie emocjonalne blizny. Od tamtej pory starała się unikać mężczyzn. Owszem, jeździła z Paulem, ale poza tym nie lubiła, gdy ktoś jej dotykał.

Aż do teraz.

W ogóle rzadko się z kimś umawiała, a jeśli już, to były to raczej podwójne randki. Całe jej doświadczenie ograniczało się raptem do kilku niewinnych pocałunków. Nigdy nie była w objęciach prawdziwego mężczyzny, który znał się na rzeczy. A Micah dobrze wiedział, co robić. Po raz pierwszy w życiu poczuła ogień namiętności – bolesną żądzę, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała. Była spragniona jego napastliwych ust.

Przywarła do niego, obejmując go za szyję, upojona nowymi doznaniem.

Zsunął dłoń na sam dół jej pleców i przycisnął do swojej męskości, a wtedy z jego gardła wyrwał się zbolący jęk. Czuł, że zaraz przestanie nad sobą panować.

Pracuje dla mnie. Opiekuje się Janey. Co ja, do cholery, wyprawiam?

Oderwał się od niej gwałtownie, spoglądając gorejącym wzrokiem na efekty swojej żarliwości. Karina po prostu stała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi szarymi oczami. Usta miała spuchnięte od jego gwałtownych pocałunków i cała drżała, ale nie próbowała uciec.

Złapał ją za ramiona i odsunął, zaciskając szczęki na myśl o tym, jak bliski był utraty kontroli. Coś takiego nigdy mu się nie przytrafiło. Nie mógł się jej oprzeć. Podniecała go do granic możliwości.

A jednocześnie wydawała się taka niewinna. Patrzyła na niego, jakby nie dowierzała temu, co się stało. Nie wyglądała, jakby była zła czy urażona. Wyglądała na... urzeczoną.

Przez chwilę się zastanawiał, jak bardzo jest doświadczona. Jej zachowanie sugerowało, że nie ma na ten temat dużego pojęcia. Przypomniął sobie jednak, że kobiety czasem tylko udają niewinne, żeby uwieść niczego niepodjejrzejających mężczyzn. Ale nie z nim takie numery.

Puścił ją i nalał kawy do kubków. Wręczył jej jeden, a potem odprowadził do pokoju, wpuścił bez słowa do środka i zatrzasnął drzwi.

Karina usiadła na brzegu łóżka i upiła łyk kawy. Ręce trzęsły jej się tak, że omal jej nie wylała. Nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Gdzie się podział jej instynkt samozachowawczy? Micah mógł z nią zrobić, co chciał, a ona nie byłaby w stanie go powstrzymać. Nie chciała go powstrzymać. Pragnęła go i już tęskniła za jego ciepłem. Czuła się taka samotna. Jak mogło do tego dojść? I jak po tym wszystkim miała mu spojrzeć w oczy?

W kuchni Micah zastanawiał się nad tym samym. Wstydzził się tego, co zrobił. Była od niego dużo młodsza, co więcej, była gościem w jego domu, jego pracownicą. Nie miał prawa jej tykać.

Ale była taka słodka. Słodsza niż miód. Od lat nie czuł się tak żywy, tak pobudzony. Nawet Lindy, choć doświadczona, nie potrafiła go tak podniecić.

Przez chwilę rozważał, czy nie pójść do Lindy, żeby zaspokoić swój głód. Ale to byłoby niegodziwe. Nieprzyzwoite. Teraz, kiedy skosztował Kariny, nawet nie chciał patrzeć na narzeczoną.

Tylko że Karina, pomyślał ze złością, jest związana ze swoim tak zwanym przyjacielem. Czyżby sobie ze mną pogrywała? Jestem bogaty, a on nie, sądząc po tym, jak się ubiera.

Jeszcze nigdy nie był tak skołowany. Dopił kawę i zanim wrócił do łóżka, zajął do Lindy, która wciąż spała w pokoju gościnnym. Ale jej nie obudził. Będzie musiał wymyślić, jak wybrnąć z tego bigosu.

Karina wstała przed świtem. Po tym, co zaszło w nocy, nie była w stanie zmrużyć oka. Była zbyt roztrzęsiona. Ubrała się i poszła do samochodu. Wcześniej zadzwoniła do Paula, który już czekał na lodowisku, żeby pojechać z nią do terapeuty.

- Gotowa do drogi? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Tak - odparła, udając najlepiej, jak mogła, że nic się nie wydarzyło. Nie chciała, żeby ktoś się dowiedział. Musiała sobie wmówić, że to był tylko sen, inaczej nigdy nie byłaby w stanie wrócić na ranczo.

Terapeuta obejrzał jej kostkę i oświadczył, że w pełni się wygoiła. Zalecił, żeby Karina częściej ćwiczyła i poświęcała więcej czasu na rozgrzewkę przed treningami, choć tak naprawdę nie był nimi zachwycony. Ostrzegając, że intensywny wysiłek fizyczny tylko bardziej obciąży tę nogę.

Karina wiedziała, że uraz stawu może wywołać chorobę zwyrodnieniową, a ból, który czuła w kostce, jest objawem czegoś poważniejszego. Terapeuta przepisał jej leki przeciwzapalne, które miała przyjmować z jedzeniem, byle nie przed treningiem. Dodał również, że pomogą jej na sen. Próbował tłumaczyć Karinie, że nie powinna się forsować, ale wiedział, że nie może zwolnić tempa, jeśli myśli poważnie o olimpiadzie. Doradził, żeby dużo spała i odpoczywała między treningami, i przypomniał o ćwiczeniach rozciągających, które mia-

ły poprawić elastyczność stawu.

Po wizycie Karina wstąpiła do swojego mieszkania i wygrzebała z szuflady kostium, w którym występowała na ostatnich igrzyskach. Sukienka była piękna, ale przywoływała bolesne wspomnienia. Miała ją ze sobą w walizce, kiedy rozbił się samolot.

Odłożyła ją więc do szuflady. Na najbliższe zawody musiała sprawić sobie nową. Zaprzyjaźniona właścicielka butiku współpracowała z obiecującą projektantką, która szyła kostiumy na zamówienie. Karina wyjaśniła jej, czego oczekuje, i wszystko dokładnie rozrysowała, a znajoma obiecała, że dostarczy sukienkę ekspresem na ranczo. Ona i Paul szykowali się na mistrzostwa krajowe. Ich łączne punkty, zdobyte we wcześniejszych zawodach, w zupełności wystarczyły, żeby się zakwalifikować. Chcieli zagwarantować sobie miejsce w kadrze olimpijskiej.

Karina dopiero teraz zrozumiała, co to oznacza. Nie zdoła pogodzić pracy i licznych podróży, które stałyby się ich codziennością. W listopadzie, tuż przed Świętem Dziękczynienia, czekały ich międzynarodowe zawody w Grenoble we Francji, a potem w Lake Placid w stanie Nowy Jork. Wielu łyżwiarzy z nich rezygnowało z braku czasu, ale Paul uznał, że te występy im pomogą. I pewnie miał rację. Sęk w tym, że musiałyby rzucić pracę.

Myśl o tym, że miałyby opuścić Janey – nie mówiąc o szefie – była dla niej prawdziwą torturą. Ale jeśli zamierzała kontynuować karierę, nie miała innego wyboru. Paul delikatnie jej przypomniał, że nie mogą tkwić w Wyoming, bo świat i wszystko, o czym marzyli, przejdzie im koło nosa. Jeśli chcieli polecieć do Pjongczangu, musieli przyłożyć się do pracy. Odzyskanie dawnej formy i renomy wymagało wiele wysiłku. Im więcej jeździli, tym pewniej się czuli i tym łatwiej im było opanować układy.

Karina pragnęła zdobyć olimpijskie złoto. Pragnęła tego ponad wszystko. Jej matka marzyła o tym, żeby zobaczyć, jak córka staje na tym samym podium, na którym kiedyś stała ona, ze złotym medalem na szyi. Rodzice Kariny tak wiele dla niej poświęcili. Nie mogła rzucić tego wszystkiego w diabły

tylko dlatego, że zadurzyła się po uszy w szefie.

Na wspomnienie jego gorących objęć i zachłannych warg wpijających się w jej usta twarz zaczęła jej płonąć. Kiedy ją puścił i zaprowadził z powrotem do pokoju, wyglądał na strapionego. Wiedział, że się zagalopował. To by na pewno wszystko skomplikowało.

No i była jeszcze Lindy, jego narzeczona, a ona nie miała najmniejszego zamiaru oddawać go innej kobiecie. Karina zdążyła się już zorientować, że kocha go tak samo jak jego majątek. O ile można to nazwać miłością. Chyba bardziej interesowały ją dobra materialne. Rzeczy, które jej kupował. Wieczorne wyjścia i rozrywki.

Karina uwielbiała blask reflektorów, jednak to było coś, bez czego mogła się obejść. Pieniądze pozwalały opłacić rachunki, ale poza tym nic sobie z nich nie robiła. Nigdy nie rozumiała tej obsesji na punkcie rzeczy. Ludzie byli znacznie ważniejsi.

Miała nadzieję, że kiedy wróci do domu, szef nie będzie dla niej nieznośny. Oby nie winił jej za to, co się wydarzyło. Nie miała pojęcia, że nie spał, w przeciwnym razie w ogóle nie poszłaby do kuchni. Ale skąd miałby to wiedzieć? Mógł wręcz pomyśleć, że chciała go uwieść.

Zacisnęła zęby. Cóż, będzie musiała nadrabiać miną, by nie dać mu odczuć, że jej zdaniem jest najcudowniejszym mężczyzną, jakiego spotkała. Zamierzała skupić się na treningach i ćwiczyć dopóty, dopóki nie będzie w stanie wykonać tych wszystkich nowych skoków z zamkniętymi oczami.

Szkoda tylko, że tak marnie się czuła. Było jej niedobrze, a nogi miała jak z waty. Po ranczu krążył wirus. Miała nadzieję, że się nie zaraziła. Nie mogła zrezygnować z treningów, zwłaszcza teraz. Paul miał co prawda wrócić dopiero w poniedziałek, ale ona mogła ćwiczyć w trakcie zajęć Janey.

Wjechała na długi, kręty podjazd prowadzący na ranczo, machając do mężczyzny w małej stróżówce, który również odpowiedział jej na pozdrowienie. Miała za sobą długą drogę i była zmęczona. W duchu liczyła, że nie będzie musiała spędzać za dużo czasu z szefem i jego narzeczoną. Musiała

z nimi wytrwać cały weekend i wcale nie była tym zachwycona.

Zajechała przed dom, ale Lindy nie uraczyła jej swoim widokiem. Weszła do środka i okazało się, że wszyscy domownicy, z wyjątkiem Burta, wyjechali. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że mieli się wybrać na duże zakupy do Jackson Hole. Uspokoila się, ale tylko odrobinę.

Burt był w kuchni i szykował lunch.

- Dzięki Bogu - wymamrotał na widok Kariny. - Bałem się, że to Lindy - dodał z niesmakiem. - Według niej niczego nie potrafię zrobić jak należy. Jajka przeciągnięte, tost nie dość rumiany, kawa za mocna...

- No już, już - powiedziała łagodnym tonem. - To też przeżminie - dodała z szerokim uśmiechem.

Roześmiał się pomimo zirytowania.

Usiadła przy stole, obserwując, jak się krząta, i westchnęła głęboko, poruszona wspomnieniem minionej nocy i namiętych pocałunków Micaha. Ten obraz utkwiał jej głęboko w pamięci.

- Jak twoja kostka? - spytał Burt.

- Podobno wygląda dobrze, ale nie powinnam jej forsować - odparła, wodząc palcem po blacie. - Do igrzysk jeszcze długa i ciężka droga - dodała cicho. - Moi rodzice tak wiele poświęcili, żebym mogła trenować i startować w zawodach. To bardzo kosztowny sport.

- Coś o tym wiem. - Obrzucił ją spojrzeniem, nie odrywając się od pracy. - Zaczynałaś jako solistka, prawda?

- Myślałam, że właśnie tego chcę. Ale gdy miałam kilkanaście lat, podczas zawodów na wyjeździe spotkało mnie coś bardzo przykrego. I to ze strony asystenta trenera. Wróciłam do Wyoming z rodzicami i wtedy Paul namówił mnie, żebym jeździła z nim w parze. W ten sposób podczas treningów zawsze był ze mną i miał mnie na oku. Paul jest dla mnie jak brat, którego zawsze pragnęłam mieć - dodała. - On, Gerda i chłopcy to moja jedyna rodzina. Bardzo ich kocham.

- Kiepsko wyglądasz - rzucił zniechęca. - Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się słabo.

- Niezbyt. Trochę mnie mdli, a nogi mam jak z waty. Chyba coś złapałam. Paul też ostatnio chorował. Pewnie to jeden z tych dwudziestoczterogodzinnych wirusów. Nic mi nie będzie.

- Postaraj się trzymać blisko Lindy - wyszeptał z szelmowskim uśmiechem. - Może ją zarazisz.

- Jesteś okropny!

Wzruszył ramionami.

- Taka kobieta potrafi wyzwolić w mężczyźnie to, co najgorsze. Nie wiem, dlaczego szef ją znosi. - Skrzywił się. - A nie, chyba wiem. Trzeba przyznać, że jest niebrzydka.

- Owszem - przytaknęła, zdumiona bólem, jaki poczuła na myśl o tym, że szef zamierza poślubić tę wiedźmę. - Biedna Janey - dodała cicho.

- Tak. Biedna Janey. - Westchnął, kręcąc głową. - Szef zdaje się nie zauważać, jaka jest dla niej wredna. Okej, wczoraj ją zganił - dodał po chwili. - To była nowość. Ale zwykle jest zbyt zajęty, żeby cokolwiek zauważyć. Telefon nie przestaje dzwonić. Nigdy go nie wyłącza.

- Ja bym tak nie mogła - stwierdziła.

- Ja też. Ale on już do tego przywykł. Kiedyś mi powiedział, że chyba nie mógłby przystopować. Potrzebuje tego zastrzyku adrenaliny.

- Znam to uczucie - przyznała ze śmiechem.

Burt przygotował dodatki do kurczaka i wstawił danie do piekarnika.

- Chcesz kawy? - spytał, obrzucając ją spojrzeniem.

- Poproszę. Im mocniejsza, tym lepsza - dodała z błyskiem w oku.

Tylko się roześmiał.

Karina ledwo skończyła oglądać wiadomości, gdy na zewnątrz rozległ się trzask drzwi samochodu. Zaciśnęła zęby, przeczuwając kłopoty.

Po chwili do środka wbiegła Janey, ściskając w ręce torbę z zakupami.

- Karina, mam kostium na zawody! - wykrzyknęła. - Popatrz...

- Kostiumy - prychnęła ze złością Lindy. - Zbędny wydatek. I tak nie dotrwa do występu. Nie słucha, co się do niej mówi, to jak się ma nauczyć i jeszcze zdać test?

Janey się skrzywiła.

- Dlaczego taka jesteś? - spytał Micah, piorunując narzeczoną wzrokiem.

Uniosła w zdziwieniu wypielęgnowane brwi.

- Jaka? Szczera? Przecież to leń - stwierdziła, wskazując Janey. - Nie chce się uczyć obowiązkowych figur. Woli jeździć na złamanie karku i terroryzować innych ludzi!

- Te figury nie są już wymagane - zaczęła Karina.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - fuknęła Lindy. Jej oczy ziały nienawiścią. - Nie znasz się na tyle, by w ogóle się wypowiedzieć! Powiedziałaś Micahowi, że potrzebne jej figurówki, ale moim zdaniem łyżwy hokejowe w zupełności by wystarczyły na to jej hobby. Kolejny niepotrzebny wydatek!

- To nie są twoje pieniądze - rzuciła półgłosem Janey.

- Nie są też twoje, prawda? - odgryzła się. - Położę się do czasu kolacji. Oby tym razem nie pływała w tłuszczu, jak zwykle - dodała, posyłając Burtowi wrogie spojrzenie, i odeszła.

Janey była bliska płaczu. Tak się cieszyła z kostiumu.

Karina uklękła przed nią.

- Pokażesz mi tę sukienkę? - spytała łagodnym tonem okraszonym uśmiechem. - Naprawdę chciałabym ją zobaczyć.

Janey przetarła oczy.

- Okej.

Wyjęła sukienkę z torby. Była srebrna z różowymi akcentami o metalicznym połysku. Idealnie kontrastowała z ciemnymi włosami Janey i jej lekko oliwkową cerą.

- Jest piękna - oznajmiła Karina. - Będziesz w niej ślicznie wyglądać.

- Naprawdę chcę zdać ten test - powiedziała. - To takie ekscytujące. To wszystko. I wcale z tego nie zrezygnuję - dodała buńczucznie, zerkając na ojca.

Ale on jej nie słuchał. Znowu rozmawiał z kimś przez komórkę.

- Wstrzymaj się godzinę z kolacją - rzucił do Burta w drodze do gabinetu. - Mam ważny telefon.

- Jasne, szefie.

- Ale one niech już zjedzą i jadą na lodowisko - dodał, wskazując córkę i Karinę, której wzroku ewidentnie unikał. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

- W sumie to nie jestem głodna - wyznała Janey, wciąż zasmucona ostrymi słowami Lindy.

- Ja też nie - zawtórowała Karina. - Chodźmy trochę pojeździć. O ile Burt nie będzie miał nic przeciwko, że zjemy później...?

- Ani trochę. - Uśmiechnął się do Janey. - Nie daj się jej zdołować - dodał ściszym głosem, ruchem głowy wskazując zamknięte drzwi do pokoju gościnnego. - Ona tylko na to czeka.

- Szkoda, że nie możemy uciec z Kariną na Syberię - oświadczyła scenicznym szeptem dziewczynka.

- Na Syberię? - spytał kompletnie zdębiały Burt.

- Mają tam tony lodu. Mogłybyśmy bez przerwy jeździć na łyżwach - wyjaśniła ze śmiechem Karina.

- No, chyba tak. Uważaj na siebie - zwrócił się do niej. - Na pewno czujesz się na siłach?

- Nic mi nie jest - skłamała. Z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. Ale wolała spędzić czas na lodowisku, niż siedzieć

w domu z nadworną złością, zwłaszcza przy jednym stole. – Nie zabawimy długo.

– Jak wrócić, odgrzeję wam kolację – obiecał.

Karina zasznurowała Janey łyżwy i przekazała ją pod opiekę Chada. Sama też wyszła na lód, ale jakoś nie miała serca do jazdy. Czuła się jeszcze gorzej niż wcześniej.

W końcu zjechała z tafli i usiadła ze spuszczoną głową na jednej z ławek. Miała wrażenie, że wszystko wokół wiruje. Była rozpalona i spocona jak mysz. Jak miała odwieźć Janey do domu, skoro nawet nie była w stanie unieść głowy?

Janey skończyła zajęcia i zjechała z lodu zatroskana o przyjaciółkę.

– Nic ci nie jest? – spytała. – Wyglądasz koszmarnie.

– Boli mnie brzuch i jest mi niedobrze – wyznała Karina. – Czuję się okropnie. Przepraszam...

– Wszystko będzie dobrze. – Przytuliła ją. – Po prostu siedź i się nie ruszaj.

Wyjęła komórkę z torby i zadzwoniła na ranczo.

Do Kariny docierały tylko strzępki jej rozmowy.

Janey nagle się skrzywiła:

– Ale, tato, nic nie poradzi na to, że jest chora – przekonywała błagalnym tonem. – Proszę...? Okej. Dzięki. – Rozłączyła się. – Tata po nas przyjedzie – oznajmiła. – Zabierze Burta, żeby odstawił twój samochód. Lindy też z nimi jedzie – mruknęła. – Nie wiem po co.

Karina zdała sobie sprawę, że Lindy może być o nią zazdrośna. Szef na zmianę albo ją lekceważył, albo się na nią złościł. Lindy nie była głupia. Mogła podejrzewać, że coś jest na rzeczy, i na pewno zechce położyć temu kres. Próbowала ją już zdyskredytować w oczach Micaha, rozsiewając plotki o niej i Paulu. Karina zaczęła się zastanawiać, czy Lindy ich nie ubarwiła, sugerując, że wdała się w plugawy romans.

Trzymała spuszczoną głowę. Naprawdę źle się czuła.

– Czegoś ci trzeba? – spytała zmartwiona Janey.

- Nie, nic mi nie będzie - odparła stłumionym głosem. - To pewnie ten sam wirus, którego złapał Billy Joe. Paul też chorował.

- Wiem. Biedactwo. - Janey zmarszczyła brwi i pomasowała ją po plecach. Kątem oka zobaczyła, że pani Meyer zerka w ich stronę.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała Karinę, gdy podeszła.

Karina z trudem pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Muszę się po prostu położyć.

- Zimny okład może ci przynieść ulgę. Zaraz wrócę.

I faktycznie, po chwili wróciła z wilgotnym ręcznikiem, który przyłożyła do rozpalonego czoła Kariny.

- Jak dobrze - wyszeptała, przytrzymując okład.

- Wiedziałam, że pomoże.

Nagle rozwarły się drzwi i do budynku wszedł Micah z Lindy i Burtem. Micah miał poważną minę, a jego oczy, ukryte pod nisko nasuniętym stetsonem, błyszczały przejęciem.

- Co się stało? - spytał bez zbędnych wstępów.

- Złapałam wirusa, tak sędzę - odparła słabym głosem Karina. - Przepraszam...

- Trzeba było siedzieć w domu - fuknęła Lindy. - Przez twój egoizm przegapimy show w Jackson Hole!

- Dość tego! - rzucił z irytacją Micah i dotknął twarzy Kariny. - Masz gorączkę - stwierdził krótko, zdziwiony opiekuńczym instynktem, który nagle się w nim obudził. Była bezbronna i taka wåtła. Ktoś musiał się nią zaopiekować. - Gdzie twój nowy partner? - spytał, a jego twarz stężała.

- Wyjechał do Jackson na weekend - wyszeptała.

- Czyli mamy cię teraz na głowie - powiedziała z wyrzutem Lindy.

- Zawiozę ją do całodobowej przychodni - oznajmił stanowczo Micah. - Janey, wrócisz do domu z Burtem. Gdzie masz kluczyki do auta? - spytał Karinę.

Wydobyła je z kieszeni niebieskich džinsów i podała szefowi.

- Proszę - zwrócił się do Burta. - Zabierz też torbę z łyżwami.

- Nie zamierzam tracić czasu w jakiejś głupiej przychodni - zaperzyła się Lindy.

Micah ją zignorował. Nachylił się do Kariny i wziął ją na rękę, tuląc delikatnie do piersi.

- Już dobrze - pocieszał. - Zajmę się tobą.

Z oczu trysnęły jej łzy. Miał taki czuły, łagodny głos, że nagle zatęskniła do tego wszystkiego, czego nigdy nie będzie mieć.

- A teraz jeszcze próbuje wziąć cię na litość płaczem - prychnęła Lindy.

- Jedź z Burtem - rzucił do niej Micah.

- I co? Mam siedzieć w domu i czekać, aż się łaskawie zjawisz? O nie, wracam do Vegas. Burt zawiezie mnie na lotnisko i polecę z twoim pilotem.

- A leć w cholerę! - warknął, świdrując ją płonącymi oczami. - I najlepiej już nie wracaj! - Oderwał wzrok od jej zszokowanej twarzy i przeniósł go na osłupiałego Burta. - Burt, zajmij się tym.

- Tak jest! Z przyjemnością - odparł z takim zapałem, że Lindy jeszcze bardziej zrzędała mina.

- Już nie wrócę! - zagroziła.

Micah nawet nie zaszczycił jej spojrzeniem.

- A ja wrócę, jak tylko będę mógł - dodał i odwrócił się na pięcie, tuląc do siebie Karinę. Ruszył prosto do wyjścia. I ani razu się nie obejrzał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Karina była tak chora, że ledwo się orientowała, gdzie jest. W połowie drogi do kliniki targnęły nią mdłości. Micah zatrzymał się na poboczu, a ona wypadła na trawę, pozbywając się lunchu.

Ukląkł przy niej i przetarł jej twarz zimnym, wilgotnym ręcznikiem, który przygotowała Hilde.

- Już lepiej? - spytał cicho.

- Przepraszam! - rzuciła z lamentem.

Pocałował jej jasne włosy.

- Moja droga, jesteś chora - powiedział czule. - Nie masz za co przeproszać. Lepiej ci teraz?

Przełknęła z trudem ślinę.

- Tak, trochę lepiej. Dziękuję.

- Mnie też zwykle pomaga. - Zaśmiał się. - Niektórych rzeczy lepiej w sobie nie dusić.

- Owszem. - Wykrzywiła twarz w uśmiechu, a Micah pomógł jej wsiąść do auta i zamknął drzwi.

W przychodni panował duży ruch. Poczekałnia była nabita, ale Micah zamienił parę słów z recepcjonistką i już po chwili zabrano Karinę do wydzielonej części za parawanem.

Micah udał się tam z nią. Usiadł na krześle obok kozetki, na której położyła ją pielęgniarka, i czekali na lekarza.

Zjawił się szybko. Zbadał Karinę, która opisała mu objawy.

- To grypa żołądkowa - stwierdził z uśmiechem. - Sama przejdzie. Proszę pić dużo płynów. Można jeść galaretki czy zupy, ale żadnych stałych pokarmów, dopóki mdłości nie miną. Jeśli pojutrze nie poczuje się pani lepiej, proszę wrócić.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Dziękuję.

Micah zwrócił się do lekarza, który najwyraźniej był jego znajomym:

- Nie było cię na ostatnim spotkaniu związku hodowców bydła.

- Albo pacjenci, albo bydło - westchnął. - Nie rozdwoję się. Postaram się dotrzeć za miesiąc - dodał i się skrzywił. - Ciebie też ostatnio nie było.

- Wiem. Musiałem lecieć do Dallas i zażegnać mały problem w rafinerii.

- Tej, w której wybuchł strajk?

Micah przybrał minę niewiniątka.

- Już po strajku.

- Czemu mnie to nie dziwi? Cóż, zabierz ją do domu i otul czymś ciepłym. Wiesz, co robić. Tydzień temu to samo przechodził Billy Joe. - Spojrzał na Karinę, marszcząc brwi. - Młoda damo, nie całowałaś się przypadkiem z Billym Joe?

Karina oblała się rumieńcem.

- Skąd! - wypaliła z nerwowym śmiechem. - Możliwe, że złapałam to od mojego partnera, z którym jeżdżę na łyżwach. On też się rozchorował w środku tygodnia.

- To bardzo zaraźliwe - potwierdził lekarz. Zauważył, że twarz Micaha stężała, kiedy Karina wspomniała o swoim partnerze. Dobrze znał Micaha Torrance'a. Wiele lat temu chodzili razem do college'u. Wiedział, że jest zaręczony z biznesmenką z Las Vegas, a jednak troszczył się o tę kobietę. Ba, był o nią wręcz zazdrosny.

- Bardzo panu dziękuję - powtórzyła Karina, wstając z kozetki.

- Nie ma za co. Taka moja praca.

- Na razie - rzucił na pożegnanie Micah i wyprowadził Karinę z przychodni.

- A rachunek? - spytała po drodze.

- Uregulowany. - Pomógł jej wsiąść do samochodu, a sam przeszedł na stronę kierowcy. - Poproszę Burta, żeby pod-

grzał ci zupę. Nikt nie robi tak dobrej jak on.

- Nie wiem, czy ją utrzymam.

- Jak nie, to dostaniesz galaretkę - powiedział z uśmiechem.

Odchyliła głowę na oparcie fotela i przykryła oczy wilgotnym ręcznikiem.

- Okej. Dziękuję - odparła chropawym głosem, nie podnosząc wzroku.

Zapiął pasy jej i swoje, po czym odpalił silnik.

- W dzisiejszych czasach trudno o dobre opiekunki - rzucił wykrętnie.

- Ach, więc o to chodzi? - spytała z lekkim śmiechem.

- Tak - skłamał bez zająknięcia.

Obrzucił ją wzrokiem. Wyglądała tak bezbrinnie, bardziej niż zwykle. Ten widok wzbudził w nim dziwne, nowe uczucia. Odprawił Lindy, a ta zagroziła, że już nie wróci. Właśnie zrozumiał, że tak naprawdę o to nie dba. Jak dla niego, mogła zostać w Las Vegas na zawsze.

To było niczym objawienie. Znosił humory Lindy i przymykał oko na to, jak traktowała Janey, tylko dlatego, że była seksowna i jej pożądał. Ale gdy zaspokoił apetyt, głód szybko minął. Okazało się, że nic ich nie łączy z wyjątkiem tego, że on był bogaty, a ona kochała wydawać pieniądze.

Nie to, co ten delikatny kwiatek, który siedział obok. Karina nie była materialistką, kochała łyżwy i troszczyła się o Janey. Co więcej, broniła jej zacieklej niż on sam, kiedy Lindy się na niej wyżywała.

- Naprawdę myślisz, że Janey podchodzi poważnie do łyżwiarstwa?

- Tak - odparła cicho.

- Dlaczego?

Wzięła oddech. Nadal miała mdłości.

- Bo gdy Lindy była dla niej niemiła, powiedziała, że chce

uciec na Syberię.

- Na Syberię? - powtórzył, marszcząc brwi.

- Mają tam sporo lodu. Mogłaby jeździć na łyżwach całymi dniami.

- Rozumiem - rzucił ze śmiechem.

- Ciężko pracuje na lodowisku - dodała. - Chad jest świetnym instruktorem. Nie krzyczy i jest na czasie ze wszystkimi wymogami. Pomoże jej przejść na kolejny poziom, a jeśli Janey będzie chciała kontynuować, poprowadzi ją aż do klasy seniorów.

- Mówiłaś, że mogłaś się zarazić od partnera - przypomniał, mierzząc ją wzrokiem. - Całowałaś się z nim?

- Z Paulem? Skądże znowu - zaprzeczyła. Na oczach wciąż miała okład, więc nie widziała jego gniewnego, niedowierzącego spojrzenia.

Nie tylko Lindy słyszała plotki o tym, ile to czasu Karina spędza ze swoim starym przyjacielem. Jasne, starali się jak najwięcej trenować, żeby przygotować się do zawodów, ale to oznaczało częsty kontakt fizyczny. Wręcz intymny, jak się domyślał po występach łyżwiarzy, które oglądał w telewizji. O tak, był zazdrosny. I wcale mu się to nie podobało.

- Nieważne - rzucił, wzruszając ramionami.

Przesunęła okład na tyle, by mogła go widzieć.

- Paul jest moim partnerem - podjęła. - Kontakt fizyczny jest nieunikniony, zwłaszcza przy wyrzutach. Pewnie tak się zaraziłam.

- Przy wyrzutach?

Skinęła głową.

- Wyrzuty dodają skokom wysokości, tylko trzeba uważać, żeby wylądować na właściwej krawędzi, a to wymaga wielu ćwiczeń. Tak właśnie złamałam kostkę. Paul się zadreślał, że to przez niego, ale ja po prostu źle wylądowałam. Nie nabrałam wystarczającej rotacji i nie byłam odpowiednio ustawiona.

- To niebezpieczny sport. - Wzrok miał skupiony na drodze, ale kątem oka zerkał na Karinę. - Dlaczego tak go kochasz?

- Moja mama kochała łyżwiarstwo - odpowiedziała. - Uczyła mnie jeździć, odkąd skończyłam trzy lata. Była cierpliwa i wyrozumiała. Nigdy nie wywierała na mnie presji. Co więcej, gdy poszłam do liceum, próbowała mnie odwieść od startu w zawodach. Wiedziała, co mnie czeka. Jaki to długi i morderczy proces. Nie miałam żadnego życia towarzyskiego. Nic, tylko jeździłam na łyżwach. Ale uwielbiałam to robić. I nadal uwielbiam.

- Masz dwadzieścia trzy lata - zauważył. - Nie chcesz wyjść za mąż, mieć dzieci?

Objęła się ramionami.

- Kocham dzieci - oświadczyła czułym głosem. - Ale gdy byłam nastolatką, spotkało mnie... coś przykrego. To było, zanim zaczęłam jeździć z Pauliem w parze. Wyjechałam na zawody do innego stanu. Po treningu ojciec przyjechał po mnie na lodowisko i poszedł mnie szukać, a kiedy na niego czekałam... - Zawahała się. - Napadł na mnie asystent trenera - dodała cicho. - Próbowałam mu się wyrwać i wołałam o pomoc, ale wszyscy już sobie poszli. - Nabrała głęboko powietrza, nieświadoma tego, że siedzący obok mężczyzna w środku aż kipi ze złości. - Ojciec był instruktorem sztuk walki. Powalił trenera na ziemię i wezwał policję. Później musiałam przeciwko niemu zeznawać. Nic przyjemnego. Wszystko odbyło się w atmosferze skandalu, bo ten człowiek był lubiany. Jego przyjaciele twierdzili, że kłamię, bo pragnę uwagi i rozgłosu.

- Kawał drania - mruknął.

- Dostał wyrok w zawieszeniu, ale po tym wszystkim byłam zbyt roztrzęsiona i nie pojechałam najlepiej na zawodach. Nie zajęłam nawet trzeciego miejsca. Wróciłam do domu i Paul zaproponował, żebyśmy występowali w parze. Chciał mnie pilnować. I to robił. Jest dość wysoki i większość mężczyzn boi się z nim zadzierać. - Uśmiechnęła się. - Mój tata też go uczył. Paul ma czarny pas w taekwondo - dodała, ale nie wspomniała, że sama ma brązowy. Trenowała zarówno sztuki

walki, jak i balet, bo jedno i drugie uczy równowagi i płynności ruchów. To wszystko przydało się podczas długich programów dowolnych, kiedy występowała z Paulem w różnych turniejach.

Micahowi nie podobało się to, z jaką czułością opowiada o swoim przyjacielu, mimo iż tylko jeździła z nim w parze. Spędzali ze sobą dużo czasu. Może za dużo. Nie rozumiał, jak to możliwe, że po tylu latach przyjaźń nie przerodziła się w coś więcej. A może byli ze sobą, tylko im nie wyszło.

Oddalił te dręczące myśli i skupił się na drodze.

Gdy zajechał pod dom, frontowe drzwi nagle się otworzyły i ze środka wybiegła Janey.

- Nic ci nie jest? - spytała, dopadając do samochodu.

- Mogę zarażać, więc się nie zbliżaj, dobrze? - powiedziała łagodnie Karina.

- Ale wyzdrowiejesz, prawda?

- Oczywiście - odparła z uśmiechem. - To tylko wirus, skarbie. Nic mi nie będzie. Dziękuję za troskę.

Janey oblała się rumieńcem.

- Jesteś moją przyjaciółką - oświadczyła. - To normalne, że się martwię.

- Burt już wrócił? - spytał Micah.

Twarz Janey wykrzywił grymas niezadowolenia.

- Nigdzie nie pojechał - oznajmiła.

Zmarszczył brwi, uwalniając Karinę z pasów, po czym wziął ją na ręce i wyniósł z auta, zamykając drzwi biodrem.

- Dlaczego?

- Lindy powiedziała, że nigdzie się nie ruszy, dopóki nie wrócisz - wyjaśniła z westchnieniem.

Zacisnął usta w wąską kreskę. Wszedł na werandę, a Janey otworzyła mu drzwi.

Lindy siedziała na sofie z dymiącym papierosem i szklanką czegoś, co wyglądało jak czysta whiskey. Oglądała jakiś pro-

gram w telewizji, gdy nagle podniosła wzrok i warknęła:

- No, najwyższa pora! Co tak długo? Zatrzymałeś się na figle?

- Zgaś to cholerstwo i wyrzuć! - huknął, wskazując papierosa. - Wiesz, że w domu jest zakaz palenia!

Zakłęła soczyście, ale podeszła do drzwi i pozbyła się niedopałka.

Micah zaniósł Karinę do sypialni i położył ją delikatnie na łóżku. Janey nie odstępowała ich na krok.

- Skarbie, pomożesz jej się przebrać? - poprosił córkę.

- Dobrze, tato. - Westchnęła z ulgą. Najwyraźniej Lindy zdążyła jej dopiec.

- Poproszę Burta, żeby podgrzał ci zupę, jeśli myślisz, że ją utrzymasz - powiedział, posyłając Karinie uśmiech.

Zawahała się.

- Jeszcze mnie mdli - stwierdziła niepewnie.

- To za jakiś czas. Zajrzę do ciebie później i sprawdzę, jak się czujesz. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Po chwili z salonu dobiegły wściekłe krzyki. Lindy klęła na czym świat stoi, nie oszczędzając nikogo, nawet przodków Kariny i Janey.

- Była okropna - skomentowała cicho Janey, gdy Micah wreszcie się odgryzł. Nagle krzyki jakby przycichły, sugerując, że kłótnia przeniosła się w bardziej ustronne miejsce. - Burt chciał ją zawieźć na lotnisko - ciągnęła dalej - ale Lindy powiedziała, że nigdzie się nie ruszy, dopóki oboje nie wrócicie. Myśli, że tata coś do ciebie czuje - dodała z uśmiechem. - Jest wściekła.

Serce Kariny przyśpieszyło. Micah był dla niej miły, ale pewnie tak samo traktowałby każdego, kto jest chory. Był dobrym człowiekiem o wielkim sercu. Maskował to wybuchami złości i gburowatością, ale w środku był czuły i wrażliwy.

- Chciałabym, żeby zniknęła i już nigdy nie wracała -

oświadczyła smętnie Janey. – Jest taka wredna! Również dla taty. Jest tak pochłonięty pracą, że nie zwraca na to uwagi. Ale ja tak nie mogę.

Karina obróciła się na bok i spojrzała na dziewczynkę.

– Wszystko się ułoży. Zawsze się układa – powiedziała łagodnym tonem. – Nawet jeśli myślisz, że nigdy nie będzie lepiej. Po prostu trzeba czasu.

– To trwa już wiele miesięcy – wyznała z żalem Janey. – Tata z nią zrywa, ale ona nigdy nie odchodzi. Ugłaskuje go, a on pozwala jej zostać.

Nagle rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Usłyszały wściekły, wysoki głos posyłający wiązanek bluzgów, potem oddalające się kroki i kolejne trzaśnięcie.

Ktoś zapukał do pokoju Kariny i gdy drzwi się uchyliły, zobaczyły Micaha. Stał w progu w lekko przekrzywionym kapeluszu i pałał wściekłością.

– Jadę na lotnisko – rzucił krótko. – Wsadzę ją do odrzutowca i wracam.

– Bezpiecznej drogi – powiedziała cicho Karina, widząc, jaki jest zdenerwowany.

Czułe spojrzenie szarych oczu i jej łagodny głos ujęły go za serce. Lindy nigdy o niego nie dbała. Dbała wyłącznie o to, co mógł jej dać i dokąd mógł ją zabrać. A ten skromny, delikatny kwiatek naprawdę się o niego troszczył. To było... miłe.

– Dziękuję. Pomóż jej się przebrać – powiedział ponownie do Janey. – Jeśli będziecie czegoś potrzebować, to Burt jest u siebie. Czeka, aż pojedziemy. – W jego ciemnych oczach pojawił się błysk rozbawienia. – Lindy rzuciła w niego rondlem czy czymś takim, bo nie chciał jej przyrządzić kolacji. Dlatego zamknął się w pokoju.

Obie parsknęły śmiechem.

– Będę niebawem. – Mrugnął do nich i zniknął za drzwiami.

Na dźwięk odjeżdżającego samochodu Burt wyłonił się z kryjówki. Zapukał do Kariny i zajrzał do środka.

– Przyszykować ci coś? – zapytał.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, Burt, ale jestem zbyt chora. Niczego nie przełknę.

- To może chociaż sok pomarańczowy? Z dużą ilością lodu.

- O tak, chętnie!

- Się robi - odparł, po czym dodał z krzywą miną: - Rzuciła we mnie moją ulubioną patelnię, a ta uderzyła o ścianę i się wgniotła. Jęcza! - prychnął. - Mam nadzieję, że tym razem nie wróci.

- Możemy wystosować delegację - kpiąco wyszeptała Karina, nawiązując do pamiętnego wydarzenia, kiedy to Micah zamierzał sprzedać ranczo i okoliczni mieszkańcy przybyli gremialnie z prośbą, by tego nie robił.

- Przemyślę to - rzucił ze śmiechem. - Zaraz wrócę.

Burt przyniósł sok, a Janey wyciągnęła jedną z jedwabnych nocnych koszul Kariny i pomogła jej się przebrać.

- Ale ładna - oznajmiła, podziwiając błękitną halkę na szerokich ramiączkach z białymi koronkowymi wstawkami, która zakrywała ciało Kariny aż do kostek. Była dość skromna jak na koszulę nocną. Kwadratowy dekolt nie sięgał poniżej obojczyka. - Do twarzy ci w niebieskim - dodała Janey.

Karina uśmiechnęła się siłą woli.

- Dziękuję. Lubię niebieski. To mój ulubiony kolor.

- Ja lubię fiolet.

- Zauważyłam - wyszeptała. Widziała jej lawendową narzutę z fiołkami i do tego dekoracyjne poduszki. Nawet zasłony były utrzymane w tej samej tonacji.

Janey się roześmiała.

- Mam totalnego bzika na punkcie tego koloru. Tata żartuje, że mam fioła.

- No, coś w tym jest.

- Przynieść ci zimny kompres? - spytała Janey.

- Gdybyś była tak miła. Nadal mnie mdli.

- Pewnie.

Zerwała się na nogi i poszła do łazienki. Po chwili wróciła z mokrą myjką. Złożyła ją na pół i przycisnęła do czoła Kariny.

- Chyba masz gorączkę - stwierdziła, marszcząc brwi.

- Też tak sędzę. Janey, nie powinno cię tu być. Możesz się zarazić - powiedziała z troską.

Dziewczynka przysiadła obok na łóżku i oświadczyła radośnie:

- Ja nigdy się nie zarażam, nawet grypą.

- Też bym tak chciała.

- Jeśli masz to samo, co wcześniej miał Billy Joe, to wyzdrowiejesz raz-dwa - pocieszała ją. - U niego trwało to tylko dzień.

- Mam nadzieję, że ze mną będzie podobnie - wyznała Karina. - Inaczej jutro ominą nas łyżwy.

- To nic - oznajmiła stanowczo Janey. - Najpierw wyzdrowiej. Łyżwy poczekają.

Karina zerknęła na nią spod kompresu.

- Wiem, jak wiele znaczą dla ciebie te lekcje...

- No tak, ale ty znaczysz dla mnie więcej - odparła zmieszana. Widać nie przywykła do takich wyznań. - Jesteś moją przyjaciółką.

Karina z trudem powstrzymała łzy.

- A ty moją - powiedziała cicho.

Janey przygryzła dolną wargę.

- Wolałabym cię zamiast Lindy - wyznała z żalem. - Nie wiem, czemu tata chce się z nią ożenić. Jest taka złośliwa i wredna.

- Serce nie sługa - sentencjonalnie stwierdziła Karina.

- Byłaś kiedyś zakochana? - spytała dziewczynka.

- Właściwie to nie - przyznała ze śmiechem. - Chyba że

w łyżwiarstwie. Przez długi czas było dla mnie wszystkim.

- Ty i Paul na pewno wygracie mistrzostwa, a potem igrzyska - stwierdziła. - Po prostu to wiem.

- Najpierw musimy się dostać do reprezentacji. Przed nami jeszcze sporo pracy.

- Ale to już nie nauka, tylko zwykłe szlifowanie, prawda? - dopytywała Janey. - Bo jeździecie bajecznie.

- To bardzo miłe. Dziękuję.

- Pani Meyer jest świetną trenerką.

- To prawda. Przez wiele lat trenowała olimpijczyków.

- Ale zrezygnowała?

- Nie z własnej woli. Jej podopiecznym nie podobała się muzyka klasyczna, a także, jak twierdzili, staroświecka choreografia. Więc odeszli do młodszych trenerów, którzy preferowali muzykę współczesną i bardziej nowatorskie układy.

Janey się skrzywiła.

- Nie przepadam za tą nową muzyką. Wrzask, hałas, i tylko trochę prawdziwej melodii.

- Totalnie się zgadzam - przytaknęła Karina. - Wolę muzykę klasyczną. Ale w programie krótkim trzeba wykonać pewien regulaminowy zestaw elementów do muzyki z konkretnym rytmem, co bywa prawdziwym wyzwaniem.

- Nie można wybrać swojego utworu?

- Można, w programie dowolnym. W krótkim każdy powinien mieć równe szanse, dlatego wszyscy muszą dostosować swój układ do określonego stylu muzyki. - Zaśmiała się słabo.

- Właściwie to sporo przy tym zabawy.

- Skoro tak mówisz.

- Chad uważa, że świetnie ci idzie - zdradziła jej Karina.

- Jego zdaniem jestem gotowa na pierwszy test - z dumą wyznała Janey. - Już się nie mogę doczekać. A sukienka, którą tata mi kupił na tę okazję, jest cudowna - dodała, lecz zaraz posmutniała. - Lindy powiedziała, że jest paskudna i że to

strata pieniędzy.

- Jest naprawdę śliczna, a twój tata z pewnością nie zbankrutuje przez to, że kupił ci kostium łyżwiarski.

- Ty też masz taką sukienkę?

- Mam tę, którą nosiłam podczas... - zaczęła, ale się zawała. Nie chciała wspominać o igrzyskach. - Tę, którą nosiłam podczas ostatnich zawodów, w których jeździłam z Pauliem - wybrnęła. - Ale na następny występ chcę nową. Mają mi ją uszyć na zamówienie.

- Taka na zamówienie pewnie jest droga?

- Owszem, ale sukienka tworzy odpowiedni klimat. Wszystkie moje stroje szyła mi mama. - Uśmiechnęła się smutno. - Wiązała ze mną duże nadzieje. Przychodziła na każdy występ i nas zagrzewała. Uwielbiała Paula. Zresztą tak samo jak mój tata.

- Jak oni... jak ich straciłaś? - spytała Janey.

- Zginęli w katastrofie lotniczej. Jednocześnie.

Janey się skrzywiła.

- To musiało być okropne. Znaczący się, utrata ich obojga. Ja przynajmniej mam jeszcze tatę.

- Twój ojciec cię kocha. Świetnie się sprawdza w roli rodzica - wyznała szczerze Karina.

- Też tak myślę. Nieważne, jak bardzo jest zajęty, zawsze przychodzi na moje szkolne występy. Tak samo jak Burt. - Westchnęła. - Lindy nigdy nie przychodzi. Mówi, że to tylko strata jej cennego czasu. - Oczy jej zabłyśły. - Woli siedzieć w domu i oglądać teleturnieje. Żenada.

- Jestem pewna, że twoje występy są lepsze - stwierdziła Karina. - Ja lubię oglądać programy historyczne i naukowe.

Janey się rozpromieniła.

- A ja przyrodnicze, wiesz, takie o wilkach i niedźwiedziach. - Wciągnęła gwałtownie powietrze. - Nadal nie mogę uwierzyć, że przegoniłaś tamto niedźwiedzisko! Nie bałaś się, że cię zaatakują?

- Nawet się nad tym nie zastanawiałam. Za bardzo martwiłam się o Dietricha. Był taki chory. - Wykrzywiła twarz w grymasie. - Cieszę się, że już po strachu.

- Ja też.

Karina zmarszczyła brwi.

- Gdzie on w ogóle jest?

- Billy Joe zabrał go dziś do siebie, bo myślał, że wrócimy bardzo późno.

- I pewnie tak by było, gdybym wszystkiego nie zepsuła - stwierdziła z westchnieniem Karina.

- Niczego nie zepsułaś. Lindy wróciła do siebie. Jest się z czego cieszyć! - oznajmiła z przekąsem Janey.

- Mały złośliwiec - zrugowała ją w żartach.

- Pewnie wróci - stwierdziła ze smutkiem. - Wraca za każdym razem i wkrada się jak żmija do życia taty. - Pokręciła głową. - Może faceci lubią kobiety, które traktują ich jak zwierzęta. Jak myślisz?

- Szczerze mówiąc, niewiele wiem o mężczyznach - wyznała Karina.

- Wiesz, jaki jest Paul.

- No tak, ale jego znam od dziecka.

- Jest bardzo miły.

- To prawda...

Frontowe drzwi zamknęły się z głośnym hukiem. Janey poderwała się z łóżka w chwili, gdy ojciec zapukał do pokoju i stanął w progu. Wyglądał jak po ciężkiej przeprawie i patrzył spode łba.

- Lepiej się czujesz? - spytał Karinę.

- Tak, trochę lepiej. Dziękuję.

- Nie powinnaś tu siedzieć. Też możesz się zarazić - upomniał córkę.

- Opiekowałam się nią - powiedziała Janey. - Ktoś musiał.

Wziął głęboki oddech. Chyba nie był w humorze.

- Powiedzmy. - Zauważył szklanę z sokiem. - Burt wypełził z nory?

- Lindy rzuciła w niego jego ulubioną patelnią i ją wgniotła - oznajmiła Janey.

- No to teraz przez tydzień będziemy jeść przypalone jajka - stwierdził Micah. - Będzie się zarzekał, że przez to wgniecenie mu nie wychodzą.

- Jajka? - spytała Karina.

- To jego ulubiona patelnia do jajecznicy - wyjaśnił. - Francuska. Kupiłem mu ją na święta rok temu. Daję słowo, że gdyby nie bał się tego, że ktoś go zobaczy, na pewno by z nią spał.

Karina parsknęła śmiechem.

- Moja mama miała żeliwną płytę, która była w naszej rodzinie od pokoleń. Przyrządzała na niej domowe bułeczki i ciastka. Zaklinała się, że na niczym innym nie wychodzą tak dobre.

- Była do ciebie podobna? - spytał zniecierpliwiony Micah.

- Tak. Ale miała jaśniejsze włosy i niebieskie oczy.

Przechylił głowę z dziwnym uśmieszkiem.

- Przypominasz choć trochę ojca?

Roześmiała się.

- Niezbyt. On miał ciemne włosy i zielone oczy.

- Ja jestem podobna do taty - oświadczyła z dumą Janey, posyłając mu uśmiech.

Odwzajemnił go i potwierdził:

- Owszem, jesteś. - Wyjął z kieszeni torebkę z apteki i położył ją na nocnym stoliku. - Zapomniałem ci powiedzieć, ale zadzwoniłem jeszcze do Rogera i spytałem go o coś na mdłości. Jego zdaniem to powinno pomóc. Polecił też paracetamol na gorączkę. Antybiotyki nie działają na wirusy, chyba że chodzi o wtórne zakażenie.

- Tak, wiem. Miewałam już grypę żołądkową. I to w różnych miejscach na terenie całego kraju. - Westchnęła.

- Całego kraju? - powtórzył.

- Tak to jest, jak się startuje w zawodach. Trzeba jeździć w różne miejsca. Kluby łyżwiarskie organizują lokalne konkursy. Potem są zawody dywizji: wschodniej i zachodniej, no i mistrzostwa krajowe. Jeśli zajdzie się w nich wysoko, można się dostać na olimpiadę.

- To jest wasz cel? Twój i twojego partnera? - spytał, wpatrując się w nią z gasnącą nadzieją. Udział w zawodach oznaczał częste podróże.

Spojrzała na niego z bólem.

- Cóż, tak - przyznała niechętnie.

- Nie możesz tutaj pracować i jednocześnie jeździć po całych Stanach - zauważył.

Twarz Janey wykrzywił bolesny grymas. Do niej też to właśnie dotarło.

Karina przygryzła dolną wargę. Nagle jej olimpijskie marzenia przyćmiła wizja rodziny, którą zawsze pragnęła mieć. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że tą rodziną stali się dla niej Janey i Micah.

Micah nabrał powietrza i spytał:

- Ile masz czasu?

- Słucham?

- Ile masz czasu do pierwszych zawodów?

Nie była pewna. Skoro ona i Paul wygrali ostatnie mistrzostwa świata, komisja łyżwiarska mogła dopuścić ich do startu w zawodach krajowych z pominięciem innych konkursów. Kolejne mistrzostwa USA odbywały się tuż przed olimpiadą i to one miały zdecydować, czy dołączą do reprezentacji. Paul jednak zamierzał wziąć udział w zawodach w Grenoble i Lake Placid, czyli szybciej, niżby tego chciała.

- Przed nami dwa konkursy międzynarodowe, w których chcemy startować - oświadczyła po chwili. - Mistrzostwa

USA są dopiero w styczniu. Czeka nas sporo pracy. Naprawdę sporo. Nie jeździłam od wielu miesięcy. Muszę nauczyć się od nowa wszystkich kroków i elementów, które dawniej wykonywałam automatycznie.

Micah trochę się uspokoił. Zatem miał jeszcze czas.

Tylko na co? – zadumał się.

Był zaręczony. Lindy dawała mu w kość, ale Karina była dla niego zdecydowanie za młoda. No i pracowała dla niego. Janey ją uwielbiała, bo była opiekuńcza, delikatna i urocza. Tylko co z tym przystojniakiem, tym jej partnerem?

Zamrugał. Te myśli zaczęły go dusić.

– Cóż, dzisiaj nie musimy o tym rozmawiać – stwierdził w końcu. – Muszę oddzwonić na kilka telefonów. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Podniosła papierową torebkę.

– Nie, dziękuję. I dziękuję za leki. Zwrócę za nie pieniądze.

– Nie trzeba. Stawianie na nogi najętej pomocy należy do obowiązków pracodawcy – zażartował, choć to tylko mu przypomniało, że Karina jest jego pracownicą. To nie fair.

Jego słowa sprawiły jej przykrość, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Okej – odpowiedziała, przywołując na twarz uśmiech.

– Kuruj się – rzucił, po czym dodał: – Jeśli Janey szybko nie wróci na lodowisko, wszystkich nas doprowadzi do szału.

– Wiem – przyznała rozbawiona Karina.

– No, już. Wynocha stąd. Obejrzyj jakiś film czy coś – zwrócił się do córki.

– Ale tato! – zaprotestowała, człapiąc za nim do drzwi.

– Nie możesz się rozchorować. W poniedziałek masz szkołę.
– Gdy się skrzywiła, zaproponował: – Poucz się dziś, a jeśli jutro Karina nadal nie będzie się czuła na siłach, to sam cię zawiozę.

– Naprawdę? – spytała podekscytowana.

- No pewnie.
- Dziękuję, tato. - Uściskała go mocno.
- Dla ciebie wszystko - rzucił żartem, całując jej ciemne loki. - No już, zmykaj.
- Okej. Karina, daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, okej?
- Dobrze. Dziękuję, skarbie.
- Wystarczy, że zawołasz. Któreś z nas na pewno cię usłyszy - dodał Micah. - Chcesz więcej soku?
- Nie, wystarczy mi ten. Jest naprawdę smaczny i jeszcze zimny. Uwielbiam sok z pomarańczy.
- Burt wyciskał je własnoręcznie. Jak to mówi, nie lubi gotowców - dodał, dławiąc śmiech. - Odpoczywaj.
- Tak jest.

Przystanął w progu i jeszcze raz na nią spojrział. W tej skromnej błękitnej koszuli nocnej wyglądała naprawdę ślicznie, jak baśniowa księżniczka. Zaciśnął zęby, ponownie upominając się w myślach. Pracowała dla niego. A on był zaręczony. Nie mógł o tym zapominać.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Karina wreszcie zdołała zasnąć. Ale gorączka znów sprawdziła ten sam koszmar, który nie tak dawno wyrwał ją brutalnie ze snu. Ujrzała swoich rodziców uwięzionych we wraku samolotu, zmasakrowanych, bladych, martwych...

Z jej piersi wydarł się krzyk.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Próbowała się podnieść, żeby sprowadzić pomoc, ale miała złamaną nogę. Załkała, kiedy znów targnął ją przejmujący ból. Była niemal pewna, że rodzice nie żyją. Ale co, jeśli się myliła, jeśli wciąż mieli szansę... Dlaczego nie mogła wstać?

Jęknęła i nagle usłyszała, że ktoś ją woła. Poczowała na ramionach czyjeś dłonie. Duże, ciepłe, zbawienne dłonie.

- Obudź się!

Westchnęła głośno i otworzyła mokre od łez powieki. Przed sobą ujrzała smagłą, surową twarz i wpatrujące się w nią brązowe oczy.

- Co się stało? - spytał Micah.

Przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i jeszcze raz przełknęła.

- Byłam tam. W śniegu. Gdy rozbił się samolot.

- Mówisz o katastrofie, w której zginęli twoi rodzice?

- Tak. - Podciągnęła kolana pod kołdrę i oparła o nie czoło.
- Miałam złamaną nogę. Pomoc zjawiała się dopiero rano. Nie mogłam chodzić. Nie mogłam im pomóc. - Łzy ciekły jej po policzkach.

- Dobry Boże... - wyszeptał. - Nie miałem pojęcia, że byłaś tam z nimi całą noc.

- To było okropne - powiedziała ze szlochem. - Byli tacy bladzi. I tacy spokojni. Tata nadal był przypięty do fotela. Mamę wyrzuciło. Leżała zmasakrowana i uwięziona między szczątkami wraku. Wyglądała jak... zepsuta lalka.

- Biedactwo - powiedział czule. Odkrył kołdrę, wziął ją na ręce i usiadł z nią na skraju łóżka, mocno przytulając. - Wyrzuc to z siebie. Po prostu to wyrzuc. Jestem przy tobie. Nie pozwolę, żeby stała ci się krzywda.

Zaniosła się szlochem. To, że ktoś chciał się nią zaopiekować choćby przez chwilę, było dla niej czymś nowym. Owszem, zarówno Paul, jak i Gerda byli przy niej i ją pocieszali. Ale to nie to samo. Micah był silny i pełen ciepła, a w jego objęciach czuła się tak, jakby nie musiała się już niczego bać. Wtuliła policzek w miękki materiał jego koszuli i zalała się łzami.

- Kiedy rozbiłem samolot, nie mogłem już nic zrobić, żeby uratować moją żonę. A próbowałem. Bóg mi świadkiem, że próbowałem. - Zacisnął zęby. - Autopsja wykazała śmiertelne obrażenia narządów. Nic by jej nie pomogło. Ale od tamtej pory żyję w poczuciu winy, bo ja wyszedłem z tego cało, a ona nie. Wiem, jak to jest.

- Tak mi przykro.

- Mnie również przykro z powodu twoich rodziców - odpowiedział łagodnie. - Moim jedynym pocieszeniem było to, że Janey nie leciała wtedy z nami. Kocham ją nad życie, a żonę bardzo ceniłem, jednak uczucie, którym z początku ją darzyłem, właściwie wygasło po miesiącu miodowym - dodał ze skrucą. - Anabelle nie była szczęśliwa na ranczu, a ja nie mogłem go sprzedać i pozbawić moich pracowników jedyne-go źródła utrzymania. Odegrała się na mnie w najgorszy z możliwych sposobów, znajdując sobie coraz to nowych kochasiów. Ale przestało mi już zależeć. Nawet nie byłem zazdrosny.

- Moi rodzice byli małżeństwem od wielu lat - oznajmiła. - I byli ze sobą szczęśliwi. Nigdy się nie zdradzili.

- Może niektórym się udaje - odparł ze wzruszeniem ramion. - Do Lindy czułem wielkie pożądanie. Myślałem... miałem nadzieję, że to wystarczy i przysłoni niektóre z jej przywar. Ale nic z tego.

Przez tę wzmiankę o Lindy poczuła się niezręcznie.

- Nie kocha jej pan? - spytała.

- A czym jest miłość? - zadrwił. - Zwykłą iluzją. Wolę suche, sztywne fakty od uczuć. - Obrócił ją w ramionach. - Byłaś kiedyś zakochana?

- Tak. W Rogerze Dantrym, gdy byłam w piątej klasie. Wyprowadził się do innego miasta i złamał mi serce. Od tamtej pory moją jedyną miłością były łyżwy - dodała z nieśmiałym uśmiechem.

Kiedy łyzy wyschły, zaczęła dostrzegać rzeczy, które wcześniej jej umknęły. Micah pachniał drogą wodą kolońską i mydłem. Był w tych samych spodniach i koszuli, które miał na sobie wcześniej. Czy w ogóle kładł się do łóżka?

- Która godzina? - spytała sennie.

- Trzecia nad ranem. - Pocałował ją w czubek głowy. - Musimy skończyć z tymi nocnymi spotkaniami.

Zaśmiała się mimowolnie. Czuła się cudownie, będąc tak blisko niego. Uwielbiała jego silne ramiona, jego czuły dotyk na karku, jego usta całujące jej włosy.

- Czemu jeszcze pan nie śpi? - chciała wiedzieć.

- Dzwoniła Lindy i znów mnie rozzłościła - mruknął. - Więc zamiast spać, rzuciłem się w wir pracy.

Ponownie wtuliła głowę w jego ramię.

- Zaharowuje się pan - stwierdziła, wpatrując się w jego ciemne oczy, pod którymi malowały się równie ciemne cienie.

- Powinien pan wyłączać telefon na noc. Niech inni nauczą się dzwonić o przyzwoitej porze.

- Tak sądzisz? - Uśmiechnął się nieznacznie.

- Owszem - odparła ciepło.

Nabrał głęboko powietrza i zawiesił pełne zachwyty spojrzenie na jej sterczących piersiach, które odznaczały się pod jedwabną koszulą. Wyglądała tak ponętnie z tymi rozpuszczonymi włosami spływającymi falami wokół jej ślicznej twarzy. Kwadratowy dekolt biegł równo z linią obojczyków, ale koronkowa wstawka ujawniała delikatny zarys blad różowych krągłości. Jakże pragnął ją poczuć w ramionach bez tej koszuli.

Sposób, w jaki na nią patrzył, przyprawił ją o drzenie. Jej ciało mimowolnie zareagowało. Wstrzymała oddech i wygięła się lekko w łuk, płonąc z pożądania, które nagle się zbudziło

i wybuchło niczym wulkan.

- Tak - wymruczał w odpowiedzi na jej niewysłowione myśli.

Przyciągnął ją bliżej, zanurzając usta w jej włosach. Sprawnym ruchem dłoni rozprawił się z guzikami i rozchełstał swoją koszulę, odsłaniając muskularną pierś porośniętą gęstym, czarnym zarostem. Oddychając jakby szybciej, sięgnął ku szerokim ramięczkom jej koszuli i zsunął je delikatnie aż do bioder.

Przycisnął ją do swojej klatki, a jej sutki natychmiast stwardniały. Słyszał jej płytki, urywany oddech. Czuł, jak wpija się w niego paznokciami, oswajając się z intymnym uściskiem jego ramion.

Powędrował ustami ku jej lekko wygiętej szyi i przywarł do pulsującej z wewnętrznego żaru tętnicy.

- O... rany - wyszeptała drżącym głosem.

Musnął jej lekko rozchylone wargi swoimi i podniósł głowę, żeby objąć ją wzrokiem. Leżała w jego ramionach niczym lalka, miękka, bezradna i... przerażona.

- Nigdy tego nie robiłaś - stwierdził, jakby ją przejrzał na wylot.

Przełknęła z trudem ślinę i pokręciła głową. Czuł, jak drży w jego objęciach. Odsunął się odrobinę i ujrzał jej sterczące piersi tonące w gęstwinie porastającej jego tors. Były piękne. Jędrne i zwieńczone ciemniejszymi, twardymi sulkami, które tylko zaostrzyły jego apetyt.

Ujął jedną w dłoń i zaczął gładzić, napawając się dotykiem jedwabistej skóry i ciepłem młodego ciała. Dawno nikogo tak bardzo nie pragnął. Nagle pomyślał o dzieciach. Dziwne, bo nigdy o nich nie myślał przy Lindy. Cóż, Lindy miała inne pragnienia. Pociągał ją wielki świat - blask reflektorów, głośna muzyka. Nie lubiła dzieci. Nie przepadała nawet za Janey.

Nachylił głowę do jej uległego ciała i musnął ustami prężącą się pierś, rozkoszując się subtelną wonią róż spowijającą Karinę i tym, jak do niego przywiera, drżąc z pożądania. Chciał, żeby go pożądała. Chciał być tym pierwszym...

Objął ustami jej twardy sutek i zaczął ssać, jednocześnie drażniąc go językiem.

Karina wygięła plecy, z trudem łapiąc powietrze, zalewana falami rozkoszy, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała. Pragnęła, żeby ukoił ten głód, który rósł z każdym ruchem jego warg.

- Micah - jęknęła, wbijając mu palce w ramiona.

Przyssał się jeszcze mocniej, pobudzony dźwiękiem swojego imienia. W jej ustach brzmiało tak słodko...

Pragnęła go. Czuł, że go pożąda, tak samo jak on pożądał jej. Przygarnął ją do siebie, mocno przyciskając, i odszukał jej usta zachłannymi wargami. Wpił się w nie łapczywie, a z jego gardła wyrwał się jęk.

Jeszcze trochę, pomyślał, i nie będę w stanie się powstrzymać.

Karina drżała w jego ramionach, a on czuł jej oddech na swoich ustach.

Nie potrafił się od niej oderwać. Rozsadzało go bolesne podniecenie, którego nie mógł, wręcz nie śmiał zaspokoić. Było tak samo jak tamtej nocy, kiedy zastał ją w kuchni i dał się porwać buzującej w nim żądzy. Karina była słodsza niż miód. I chętna. Mógł ją posiąść. Była dziewicą. Dziewicą!

Podniósł głowę i spojrzał na ten delikatny skarb, który trzymał w objęciach. Wciągnął z drzeniem powietrze, a w jego wygłodniałych oczach pojawił się błysk.

Nie próbowała się okryć. Pozwoliła, żeby pożerał ją wzrokiem, urzeczona czystą męską fascynacją, która malowała się na jego twarzy. Uwielbiał na nią patrzeć. A ona to czuła.

- Piękna - wyszeptał, przesuwając palcami po jednej z jej ślicznych, drobnych piersi, zaczerwienionej od jego łapczywych ust. - Zostawiłem ślady. Przepraszam. Nie czułem takiego pożądania od... od bardzo dawna - wyznał cicho.

- Nic się nie stało... nic złego - odpowiedziała szeptem, zdumiona jego wyznaniem.

Zaczął gładzić jej twardy sutek, przyprawiając ją o drzenie.

- Odkąd wkroczyłaś do mojego życia, ani razu nie dotkną-

łem Lindy - wymruczał.

Serce podskoczyło jej z radości.

- Zdziwiona? - spytał, rozciągając usta w leniwym uśmiechu. - Ja też. - Nachylił się i pocałował delikatnie jej bladą pierś. - Pragnę cię.

- Wiem - odparła zmysłowo.

- A wiesz, co zamierzam z tym zrobić?

Rozchyliła usta.

- Co?

Ponownie się zbliżył i przywarł do jej miękkich warg.

- Absolutnie nic - wyszeptał.

Podniósł głowę i założył jej koszulę, wygładzając ramiączka z niezwykłą czułością.

Przyglądała mu się ze zdziwieniem, ale za tym spojrzeniem szarych oczu kryło się coś jeszcze. Coś głębszego i tajemniczego.

- Nie uwodzę swoich pracowników - oświadczył i natychmiast pożałował tych słów. Przykrył ją kołdrą, naciągając aż pod brodę.

- Och. - Tylko tyle zdołała wydusić.

Ściągnął usta w wąską kreskę.

- Nie pozwól mi na to - dodał stanowczo. - Jestem zaręczony. A nawet gdybym nie był, to dla mnie pracujesz.

Pokiwała milcząco głową.

- No i masz raptem dwadzieścia trzy lata. Ja niedługo skończę trzydzieści cztery. - Zrobił poważną minę. - Nie mamy przed sobą przyszłości. To tylko przelotna namiętność.

Czuła na ustach jego smak. Wyglądał niesamowicie seksownie w tej rozchełstanej koszuli, spod której wyzierała atletyczna pierś pokryta czarnymi włoskami. Przypomniała sobie jej dotyk na swoim nagim ciele i aż musiała stłumić jęk rozkoszy wywołanej przez to wspomnienie.

- Nie pomagasz, kiedy tak na mnie patrzysz - rzucił.

Oblała się rumieńcem, mimo to wyszeptała z uśmiechem:

- Przepraszam.

- Jesteś zupełnie inna niż Lindy - powiedział łagodnym głosem. - Ona nie lubi czułości ani dotyku. Woli szybko i ostro. - Wzruszył ramionami. - Czasem czuję się jak aktor porno. - Zauważył, że jeszcze bardziej się czerwieni. - Wybacz. Nie powinienem z tobą o tym rozmawiać. Nigdy nie byłaś z mężczyzną, prawda?

Pokręciła przecząco głową i spuściła wzrok.

- Dlaczego?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, w których kryło się zdziwienie.

- Moi... moi rodzice byli bardzo religijni - wyjaśniła. - Chodziliśmy regularnie do kościoła, choć już niewiele osób to robi.

- Rozumiem. - Zacisnął wargi. - Seks to grzech.

- Pozamałżeński, owszem - odpowiedziała, nie mogąc znieść jego rozbawionej miny. - Nie widzę w tym nic śmiesznego - dodała z godnością. - To kwestia wychowania. Dzieńdzimy postawy, które się nam wpaja.

- Chyba masz rację - przyznał z westchnieniem. - Mój ojciec wychował mnie jak żołnierza. Dyscyplina czasami się przydaje, ale przeszkadza w obcowaniu z ludźmi. Z niektórymi ludźmi - uściślił, przenosząc na nią wzrok. - Jestem patriotą. Dla mnie to prawie jak religia. Jestem konserwatystą żyjącym w liberalnym świecie.

- To tak jak ja - odparła z uśmiechem.

- Purytanka - rzucił wesoło, obejmując wzrokiem jej twarz. - Chcesz mieć dzieci? - spytał znienacka.

Rozchyliła usta, a jej oddech zadrżał.

- Tak - wyznała. - Znaczy się, kiedyś - dodała z wahaniem. - Teraz najważniejsze jest dla mnie łyżwiarstwo...

- Łyżwiarstwo - prychnął z pogardą. - Żyjesz w świecie ma-

rzeń. Wiem co nieco o łyżwiarstwie. Kiedy zacząłem spotykać się z Lindy, tylko o tym gadała. Zdobyła medal na zawodach regionalnych. Pracowała na to latami, ale nie była w stanie zejść wyżej. W końcu zrezygnowała. Dla mnie.

Serce jej przyspieszyło. Patrzyła na niego z gasnącą nadzieją.

- Ja nie mogę. Znaczą się, nie mogę zrezygnować - wydukała. - Moi rodzice tyle się dla mnie wyrzekli. Łyżwiarstwo to bardzo kosztowny sport. Zastawili swój cały dobytek, żebym mogła je uprawiać i do czegoś dojść.

- Słońce - zaczął, a ona na dźwięk tego słowa poczuła dziwną słabość. - Setki łyżwiarzy pragną zdobyć medal, lecz tylko garstce się udaje. Żyjesz w ułudzie. Będziesz mieć szczęście, jeśli zwyciężysz w jakichś lokalnych zawodach, ale o prestiżowych konkursach nawet nie masz co marzyć.

Posmutniała. Nie wierzył w nią. Miał ją za amatorkę, która dopiero stawia pierwsze kroki na lodzie. Nic nie rozumiał. Bo jakżeby mógł? Dla niego świat był prosty, czarno-biały, a dla niej składał się z wielu odcieni szarości.

- Nie zrezygnuję z łyżwiarstwa - zaperzyła się.

Micah spoważniał.

- Nie przypominam sobie, żebym cię o to prosił - powiedział cierpko.

Jej policzki pokrył rumieniec.

Wstał, nieśpiesznie zapinając koszulę, i spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. Owszem, zachowywała się jak dziewczyna. Tylko czy naprawdę nią była? A może po prostu z nim pogrywała? Powiedziała, że łyżwiarstwo jest kosztowne, a on był bogaty. Czyżby szukała sponsora, kogoś, kto wyłoży za nią pieniądze i pomoże jej zdobyć sławę?

- Naprawdę jesteś jeszcze niewinna? - spytał. - Czy to tylko taka rola, którą odgrywasz przed mężczyznami, żeby wzbudzić w nich opiekuńcze uczucia?

Odwróciła wzrok.

- Niech pan sobie myśli, co chce.

- Podobasz mi się - powiedział chłodno - ale jestem zaręczony. I nie wydaję pieniędzy na łyżwiarki, które nie radzą sobie z rzeczywistością. Jeśli chcesz zmarnować życie na pogoń za złotymi medalami, to będziesz musiała znaleźć sobie innego sponsora.

Nie podniosła wzroku. Już zdobyła złoty medal. Była mistrzynią świata. Ale nie zamierzała mu o tym wspominać. Niech sobie myśli, że jest marzycielką. Miała to gdzieś.

Micah widział, jak jej twarz się spina. Tak, był dla niej nie miły. Wiedział, że ją uraził, ale nie mógł inaczej.

Co ja sobie myślałem? Jest za młoda. Ambitna, ale głupia, i żyje mrzonką. Poza tym pracuje dla mnie, a ja mam narzeczoną!

Czuł się podle po tym, co zrobił. Nieważne, czy była niewinna. Przede wszystkim była jego pracownicą.

Nabrał powietrza.

- Wszystko w porządku? - spytał oschle.

- Tak.

Nie chciała na niego spojrzeć. Wyglądała na szczerze zawstydzoną.

- Nie myśl sobie za wiele - rzucił z cieniem sarkazmu. - Każda kobieta potrafi podniecić mężczyznę. To nie miłość, tylko hormony. Opętała nas dziwna obsesja, ale to - pomachał palcem między sobą a nią - już się nie powtórzy. Mam kobietę i nie potrzebuję kolejnej.

Uśmiechnęła się siłą woli. Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Może być pan spokojny, panie Torrance. Odłożę to do szufladki z nierealnymi marzeniami. Tak jak medale łyżwiarskie.

- I słusznie - warknął.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwiami.

Wypuściła z płuc powietrze, które wstrzymywała od dłuższej chwili. Dotknęła góry swojej koszuli i lekko się skrzywiła.

Micah był trochę szorstki, a jej sutek wrażliwy na pieszczoty. Nie mogła uwierzyć, że mu na to pozwoliła. Chyba odebrało jej rozum!

Położyła się i zgasiła światło. Musiała trzymać się od niego z daleka. Wstydziła się tego, że dała mu się dotknąć i pozwoliła na tak intymną chwilę. Miał narzeczoną i był jej szefem. To nie powinno się wydarzyć.

Ale to, co robił, było cudowne. Pragnęła, by to powtórzył. Obróciła się na bok i nakryła głowę kołdrą. Musiała się prześpać.

Sen. Tak, właśnie tego potrzebowała.

Kiedy się obudziła, za oknem ledwo świtało. Spała raptem kilka godzin. Marzyła o kawie, ale bała się pójść do kuchni, bo on mógł tam być.

Wzięła prysznic i nałożyła makijaż. Chwilę później usłyszała czyjeś kroki, ale wiedziała, że to nie on. Choć minęło tylko kilka tygodni, potrafiła rozpoznać jego szybki, ciężki chód.

Wystawiła głowę przez drzwi, nasłuchując. Burt był w kuchni i szykował śniadanie.

Dobrze, pomyślała. Przynajmniej nie będę sama z szefem, jeśli się pojawi.

Pokrzepiona tą myślą wyszła z pokoju. Miała na sobie żółty sweter i czarne dżinsy, a włosy spływały po plecach niczym falująca blond zasłona. Wyglądała naprawdę ślicznie.

- Dzień dobry - powiedziała radośnie, wchodząc do kuchni.

Burt uśmiechnął się szeroko.

- Dobry, słoneczko. Głodna?

- Coś bym przełknęła. Ale chwilowo wystarczy kawa.

- Właśnie zaparzyłem cały dzbanek. Nie krępuj się.

Nalała sobie filiżankę, usiadła przy stole i zauważyła, że są tylko trzy nakrycia. Odetchnęła z ulgą. Po tym, co zaszło w nocy, dziwnie by się czuła w obecności Micaha.

- Szef znów wyjechał? - spytała, siląc się na swobodny ton.

- Tak i chwala Bogu - mruknął. - Nie był dziś w sosie. Rzucał rzeczami i klął na potęgę. - Skrzywił się. - Pewnie Lindy znowu zalazła mu za skórę. Zadzwoiła z samego rana. Potrzebowała podwózki na spotkanie w Minnesocie. Poleciał z nią, tak dla hecy, jak twierdził.

Serce jej przyśpieszyło, a potem zamarło. Znowu ta Lindy. Ale w sumie był zaręczony, no nie?

Burt spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Lepiej ci?

- Znacznie - odparła. - To musiała być zwykła jelitówka.

- Szef mówił, że budziłaś się w nocy. Miałaś koszmary.

Nie dawał tego po sobie poznać, ale czegoś się domyślał. Widziała to w jego twarzy.

- Przyśnili mi się rodzice - odpowiedziała, odwracając wzrok. - Gdy samolot się rozbił, byłam tam z nimi przez całą noc. - Przełknęła ślinę. - Oboje nie żyli, a ja miałam złamaną nogę. Nie mogłam się ruszyć.

- Dobry Boże... Nie miałem pojęcia. Tak mi przykro.

Walczyła ze łzami. Od katastrofy minęły trzy lata, ale ten sen sprawił, że wszystko wróciło ze zdwojoną siłą.

- To nie jest miłe wspomnienie. Paul i ja zawiedliśmy ich na olimpiadzie. Nigdy tego nie powiedzieli, ale mieli to wypisane na twarzach. Wydali majątek, żeby pomóc nam się dostać do reprezentacji.

- Rodzice kochają swoje dzieci. Jestem pewien, że byli dumni już z tego, że tak daleko zaszliście - próbował ją pocieszyć. - Gwarantuję ci, że jeśli czuli się zawiedzeni, to tylko dlatego, że wiedzieli, jak bardzo wam zależało.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała.

Pokiwał głową i się uśmiechnął, widząc cień ulgi na jej zmęczonej twarzy.

- Owszem.

- Dziękuję, Burt.

- Tym razem zwyciężycie - oznajmił stanowczo. - Jestem tego pewien.

- Okej. - Rozpogodziła się.

- Grunt to trening i ciężka praca. Pamięć mięśniowa załatwi resztę.

Zmarszczyła brwi. Pamięć mięśniowa. Już to słyszała. Dawno temu, od trenera.

- Zupełnie jak w wojsku - dodał, podchodząc do patelni, na której skwierczał prawie gotowy bekon. - Uczyli nas tam samoobrony, a pamięć mięśniowa stanowiła jej ważną część. Mówili nam, że gdy znajdziemy się w tarapatach, nasze ciała przypomną sobie, co robić. I mieli rację - skwitował, a jego twarz na chwilę straciła wyraz. - O tak, mieli rację.

- Walczyłeś?

- Wiele lat temu, na Bliskim Wschodzie. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Nie chcę o tym mówić.

- Nie zamierzałam cię zmuszać. Wszyscy mamy jakieś traumy. I wszyscy musimy jakoś z nimi żyć.

- To prawda. Niektóre są gorsze od innych. Szef rozbił samolot i matka Janey zginęła. To jego trauma. On też miewa koszmary.

- Pamiętam. - Wzdrygnęła się w duchu, przypomniawszy sobie, jaki był wściekły, gdy obudziła Burta, żeby sprawdził, czy wszystko z nim w porządku. A zeszłej nocy, gdy się jej zwierzył, ponownie wezbrał w nim gniew. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek rozmawiał z Lindy o swoich uczuciach.

Burt obrzucił ją spojrzeniem i trafnie wyczytał z jej twarzy, że jest zakłopotana.

- Szef potrafi być nieprzyjemny - stwierdził. - Ale to dobry człowiek. Za dobry dla tej poczwary Lindy - dodał szorstko. - Ona nie cierpi dzieci. Szef chciałby mieć ich więcej, ale może o tym zapomnieć. Lindy już mu zapowiedziała, że nie poświęci swojej figury ani kariery dla wrzeszczącego bachora.

Skrzywiła się na to wyznanie.

- To przykre. On kocha dzieci. - Wróciła pamięcią do minio-

nej nocy i tego, jak Micah ją pytał, czy chce mieć własne. Chciała. Ale najpierw musiała dotrzeć do końca zawodów. Nie mogła zawieść Paula. Nie mogła zawieść rodziców. Była rozdarta między dwoma pragnieniami. – Czym właściwie zajmuje się Lindy? – spytała, żeby przerwać niezręczną ciszę.

– Nieruchomościami – mruknął niechętnie. – Jeździ po kraju i sprzedaje wielkie rezydencje. Nie tyka niczego poniżej dwóch milionów.

– Musi być fajnie. – Westchnęła. – Pewnie ma z tego sporą prowizję?

Zaśmiał się chłodno.

– Jak żyję, jeszcze nic nie sprzedała. Szef za nią płaci. Lindy używa licencji pośredniczki jako pretekstu, żeby zabierał ją w różne miejsca. A potem tylko odwiedza kasyna, chodzi na rewie albo na broadwayowskie spektakle. Szef lubi operę. Ona jej nie znosi.

– Ja też lubię operę – powiedziała tęsknie. – Kiedyś rodzice zabrali mnie do Metropolitan. To było dawno temu, kiedy startowałam w zawodach w Nowym Jorku. – Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – Przed jakimś hotelem za wielką rośliną w donicy stał człowiek i grał na dudach. Przechodziliśmy tamtędy w drodze na widowisko, ale nie mogliśmy dobrze mu się przyjrzeć, bo było ciemno. I jeszcze ta melodia... Miałam wrażenie, że to godzina duchów.

– Nowy Jork to magiczne miejsce – przytaknął, wykładając na talerz bekon i jajecznicę. Na drugim ułożył świeże bułeczki i postawił wszystko na stole. – Co wtedy wystawiali?

– *Semiramidę* – odparła z kwaśną miną. – Nie przepadam za Rossinim, ale dekoracje sceniczne były przepiękne. Siedzieliśmy na pierwszym balkonie. To było coś niesamowitego!

– Ja byłem tam na *Madame Butterfly*. Jestem fanem Pucciniego.

– Ja też – przyznała entuzjastycznie. – Jeszcze bardziej podobał mi się *Turandot*. Uwielbiam arię *Nessun Dorma*, zwłaszcza w wykonaniu Plácida Dominga.

- To również moja ulubiona opera. Widziałaś ją na żywo?

- Tak, ale nie w Nowym Jorku. Nie pamiętam gdzie. Wystawiała ją jakaś studencka grupa teatralna. Mieli piękną scenografię i bardzo dobrych śpiewaków.

- Musiałaś sporo podróżować.

- Owszem, po całym świecie. Widziałam niesamowite miejsca, które urzekły mnie swoim pięknem do tego stopnia, że nie mogę o nich zapomnieć. Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to Kioto. Zwiedziliśmy tam wiele świątyń.

- Występowałaś w Japonii?

- Tak. I w Europie. Zakosztowałam tyle wielkiego świata i blichtru, że wystarczy mi na całe życie! - dodała ze śmiechem. - Było cudownie, ale tu, na odludziu, jestem równie szczęśliwa. Nic, tylko głusza i bydło.

- Bydło i niedźwiedzie - zauważył. - Ty, kawał kija i niedźwiedź. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Będą o tym opowiadać następnym pokoleniom.

Zaczerwieniła się.

- Musiałam uratować Dietricha. Gdyby zginął, Janey byłaby zdruzgota.

- Tak jak my wszyscy.

- Mam ją obudzić?

- Tak, już czas, żeby zaczęła się szykować do szkoły.

- Przynajmniej drogi są przejezdne. Ciekawe, na jak długo - dodała ze śmiechem.

- Trzymaj kciuki, żeby jak najdłużej. Ostatnio pogoda lubi zaskakiwać.

- Nawet mi nie mów!

Zapukała do sypialni Janey. Zza drzwi dobiegło psie skomlenie. Uchyliła je i zajrzała do środka.

- Śniadanie - rzuciła cicho.

Dietrich trącił nosem jej dłoń, dopraszając się, żeby go pogłaskała. Janey przekręciła się na dużym łóżku i ziewnęła.

- Bułki z jajkami i bekonem? - spytała zaspana.

- Nie inaczej. No, wstawaj, zanim wszystkie zjem - powiedziała żartem.

- Dietrich uwielbia bekon.

- Poproszę Burta, żeby dał mu trochę. Chodź, słodziaku - rzuciła do psa, wypuszczając go na korytarz.

- Zaraz przyjdę - obiecała Janey, odrzucając na bok kołdrę i sięgając po szlafrok.

To był miły, spokojny posiłek, bez wiecznie narzekającej Lindy i warkliwego szefa. Ale Karinie brakowało jego towarzystwa. Gdy go nie było, dom tracił swój urok. Sama się dziwiła, że tak na niego reagowała. Szef był od niej dużo starszy, nie wierzył, że jest dziewicą, i zarzucił jej, że tylko gra niewinną, tym samym odzierając to, co między nimi zaszło, z romantyzmu i zmieniając to cudowne wspomnienie w coś wstydlivego.

- Jesteś strasznie cicha - zauważyła Janey.

Karina ocknęła się z zadumy.

- Zamyśliłam się nad tym, ile pracy czeka mnie i Paula przed zawodami.

- No, to nie kaszka z mlekiem - przytaknęła dziewczynka. - W telewizji wszystko wygląda tak prosto, ale kiedy się wejdzie na lód, nagle robi się dużo trudniej. Nie wiedziałam, jak bardzo, dopóki sama nie włożyłam łyżew i nie spróbowałam się na nich utrzymać - dodała ze śmiechem. - Dwie cienkie płozy, a te płozy mają jeszcze krawędzie: zewnętrzną i wewnętrzną. Żeby skoczyć takiego salchowa, trzeba się odbić jedną nogą z jednej krawędzi i wylądować na przeciwnej krawędzi drugiej łyżwy... To naprawdę skomplikowane! Nie wiem, jak to robicie, że przychodzi wam to z taką łatwością.

- Lata praktyki. Ja ćwiczę od trzeciego roku życia - odparła Karina. - Na początku też miałam tak jak ty. Byłam zdenerwowana, niepewna i przerażona myślą, że mogę upaść i coś sobie złamać.

- No i złamałaś kostkę - przypomniała jej Janey.

- Owszem, i to nawet nie podczas zawodów, a na treningu.
- Westchnęła. - Mam nadzieję, że już nigdy nie popełnię takiego głupiego błędu. Długo do siebie dochodziłam. Lekarz radził, żebym schowała łyżwy do szafy i już więcej nie jeździła. Myślałam, że wie, co mówi. Ale wtedy Hilde Meyer uświadomiła mi, że lekarze mówią tak wszystkim łyżwiarzom.

- Dlaczego? - spytała Janey.

- Łyżwiarstwo to niebezpieczny sport - odpowiedziała. - Początkujący powinni nosić kaski. Upadek do tyłu grozi wstrząśnieniem mózgu.

- To dlatego mówiłaś, żebym jeździła pochylona do przodu.
- Spochmurniała. - Lindy uczyła mnie wszystkiego na opak. Trener powiedział, że muszę zacząć od początku. To znaczy od momentu, w którym skończyłyśmy naukę, ty i ja - dodała szybko. - Trener mówi, że świetnie mnie przygotowałaś. Wystarczy, że będzie bazował na tym, co już wiem.

- Bardzo mi miło - odparła. - Lubię Chada. Zasługuje na to, by być trenerem. Wywalczył drugie miejsce na mistrzostwach świata. Niełatwo zdobyć srebro.

- Złoto pewnie jeszcze trudniej - z westchnieniem stwierdziła dziewczynka.

Gdy Burt odchrząknął, Karina utkwiała w nim wzrok, aż w końcu zrozumiał i słowem nie pisnął o jej złotym medalu.

- Owszem, trudno zdobyć złoto - odpowiedziała po chwili. - Ale tak to już jest w łyżwiarstwie: można pojechać świetny program i perfekcyjnie wykonać każdy skok, i raz się wygra, a kiedy indziej nie dostanie się nawet do czołowej trójki. Tego nie da się przewidzieć.

- To prawda, wiele zależy od szczęścia - wtrącił Burt. - Ale najważniejszy jest trening, powtarzalne ćwiczenia. Grunt to pamięć mięśniowa. Rozmawiałem już o tym z Kariną. Jeśli dobrze wyćwiczysz wszystkie ruchy i figury, to będziesz je wykonywać bez zastanowienia, zupełnie jakbyś chodziła czy biegała.

- Pamięć mięśniowa - powtórzyła Janey. - Będę ćwiczyć mięśnie, żeby wszystko zapamiętać!

Burt i Karina parsknęli śmiechem, natomiast Dietrich oparł pysk na jej kolanach i zaczął skomleć.

- No dobrze, słodziaku. - Dała mu kawałek bekonu. Pożarł go z wielkim smakiem i ponownie położył jej łeb na kolanach, patrząc błagalnie wielkimi, brązowymi ślepiami.

- Rozpuszczasz go - zareagowała Janey. - On wie, że żebząc w ten sposób, dostanie wszystko, co chce.

Karina pogłaskała go po jedwabistej sierści.

- Cóż, jestem miękka jak pianka cukrowa.

Janey posłała jej pełne czułości spojrzenie, po czym oznajmiła z szerokim uśmiechem:

- Och, jak ja lubię pianki cukrowe.

Karina tylko się roześmiała.

Po śniadaniu zawiozła Janey do szkoły, a potem pojechała na lodowisko. Paul czekał na nią na trybunach.

- Nie byłem pewny, czy przyjdiesz - oświadczył. - Słyszałem, że się rozchorowałaś.

- To prawda. Złapałam to samo co ty - wyznała. - SzeF zabrał mnie do lekarza i dostałam lekarstwo. Pomogło.

- Cieszę się. - Przechylił głowę. - Hilde mówiła, że szef wyniósł cię na rękach jak księżniczkę - podkpiwał. - Coś się między wami kroi?

- On jest ode mnie starszy o jedenaście lat, pracuję dla niego, no i ma narzeczoną - wyrecytowała, tłumacząc to raczej sobie niż jemu.

- To wszystko nic nie znaczy, jeśli cię pragnie. - Wyraźnie bawiło go jej zażenowanie. - A zdaniem Hilde tak właśnie jest.

- Hilde nie ma bladego pojęcia! - odparowała ostro.

- W porządku. Nie musisz mi wszystkiego zdradzać. - Spoważniał. - Ale wiedz, że życzę ci jak najlepiej. Chciałbym, żebyś była tak szczęśliwa jak ja.

Westchnęła i oparła głowę o jego pierś, pozwalając, by ją

przytulił.

- Życie to nie bajka.

- Niestety. - Przycisnął ją do siebie i dodał czule: - Zaszługujesz na odrobinę szczęścia, *chérie*. Oboje z Gerdą życzymy ci tego z całego serca.

- Kocham Gerdę i chłopców - odparła. - Stęskniłam się za nimi.

- To przyjeźdź do nas i zostań na weekend, jak za dawnych czasów.

- Z miłą chęcią. Ale nie mogę zostawić pracy ani Janey. Ją też kocham.

- A ona kocha ciebie, jak mniemam. - Jeszcze raz przycisnął ją do piersi. Mocno, po bratersku. - No dobra, pora wziąć się do roboty. Oto i nasza trenerka. - Wskazał Hilde, która zmierzała w ich stronę, uśmiechając się od ucha do ucha.

W tym samym czasie jakaś kobieta, która stała w pewnym oddaleniu, wyjęła komórkę i niepostrzeżenie opuściła lodowisko.

Paul i Karina trenowali w pocie czoła. Hilde udzielała im wskazówek, każąc w kółko powtarzać ten sam fragment choreografii, żeby lepiej zgrali się z muzyką.

Czysta poezja, pomyślała, obserwując ich na lodzie.

Jeździli ze sobą już tak długo, że przewidywali swoje ruchy i instynktownie się zestrajali.

Hilde była pewna, że na igrzyskach zdobędą medal. Nawet przez chwilę nie wątpiła, że wrócą do dawnej świetności. I że zwyciężą. Nigdy nie widziała, żeby ktoś jeździł z taką pasją i wdziękiem. Była dumna, że może ich trenować.

Karina przerwała trening i udała się po Janey do szkoły.

- Możemy pojechać od razu na lodowisko? - spytała Janey w drodze do domu. - Chcę zapytać Chada, czy mogę czegoś spróbować.

- Czego? - chciała wiedzieć Karina.

- To niespodzianka - odpowiedziała z szerokim uśmiechem.
- O raju! - Roześmiała się. - Uwielbiam niespodzianki!
- Ja też.

W domu również czekała na nie niespodzianka. Gdy weszły do salonu, Micah siedział na sofie z Lindy w gorących objęciach. Całował ją tak namiętnie, jakby od miesiący nie miał kobiety.

Na ich widok podniósł wzrok, posyłając Karinie szyderczy uśmiezek.

- Mamy wieści. Pobieramy się w przyszłym miesiącu - oświadczył bez zbędnych wstępów, po czym spojrzał na Lindy głodnym wzrokiem.

Lindy wyswobodziła się z jego objęć, taksując Karinę z cynicznym uśmiechem.

- Kiedy ty i twój chłoptaş wreszcie przyznacie się do romansu? - zadrwiła.

Karinę na chwilę zatkało.

- Mój chłoptaş? - spytała skołowana.

- No. Podobno dziś rano na lodowisku nie mogliście się od siebie odkleić. Moja znajoma przychodzi tam z synem. Twierdzi, że słyszała, jak wyznajesz miłość swojemu „partnerowi od łyżew”. Wszyscy o was plotkują. A on jest żonaty, prawda?

Karina miała wrażenie, że cały jej świat nagle runął. Kiedy spojrzała Micahowi w oczy, dostrzegła w nich pogardę i odrazę. Myślał, że romansuje z żonatym mężczyzną, i nienawidził jej za to. Miał to wypisane na twarzy.

- Wiedziałaś, że twój partner ma żonę? - spytał z chłodnym uśmiechem, piorunując ją wzrokiem. - A może to tylko dodaje pikanterii waszej miłostce?

Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

On w to wierzył. Naprawdę wierzył, że nie ma żadnych skrupułów, by uwieść czyjegoś męża.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie wiedziała, jak się wybronić. Micah był wściekły. Patrzył na nią tak, jakby popełniła naraz siedem grzechów głównych. A wspomnienie tego, co między nimi zaszło, tylko pogłębiało jej cierpienie.

- Nic nie powiesz? - spytał szorstko.

- Czy coś by to dało? - odparła zrezygnowana.

- Niewiele. - Roześmiał się chłodno i wstał, zwracając się do Janey: - Wybierasz się na lodowisko?

- Tak - odpowiedziała, zerkając z obawą na Lindy, która uśmiechała się zuchwale.

- Szkoda pieniędzy na te lekcje - odezwała się do narzeczonego. - Towarzystwo, w jakim obraca się twoja córka, i te wszystkie plotki tylko ci zaszkodzą.

Janey przysunęła się do Kariny.

- Paul jest miły - wyszeptała ze spuszczonego wzrokiem.

- Paul jest żonaty - zripostował Micah, posyłając Karinie gniewne spojrzenie. - Masz przestać z nim trenować. Albo cię zwolnię.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Nie! - zaprotestowała Janey. - Nie możesz tego zrobić! Proszę, tato. Oni tak ciężko pracują. Chcą startować w zawodach!

- W zawodach? - powtórzyła z pogardą Lindy, mierząc Karinę lodowatym spojrzeniem. - Przecież ona ledwo jest w stanie ustać na lodzie. A co dopiero walczyć o tytuł! - zadrwiła. - Nie ma zadatków na mistrzynię. Nie to co ja. Ja zdobyłam medal - dodała triumfalnie.

Karina miała ochotę rzucić jej w twarz swoim złotym medalem, ale to nie był dobry moment.

- Nie mam romansu z Paulem - wycedziła wreszcie.

- Taa, jasne. - Lindy zaśmiała się drwiąco. - Przytulaliście się jak kochankowie. Co na to jego żona?!

- Znam ją. To moja przyjaciółka - odparła Karina z godnością.

- Raczysz żartować - skontrowała Lindy. - Sypiasz z jej mężem, a ona się na to godzi? Bujać to my, ale nie nas!

- Słyszałaś, co powiedziałem - wtrącił chłodno Micah. - Albo porzucisz te mrzonki, albo pożegnasz się z pracą. Później mi powiesz, co zdecydowałaś. Teraz zabierz Janey na zajęcia.

- Tato, proszę - powtórzyła Janey, trwożliwie wpatrując się w niego.

- To nie pora na dyskusje - zawyrokował. - Zbieraj się.

Chciała zaprotestować, ale знаła swojego ojca. Tylko się skrzywiła i posłusznie poszła po torbę z łyżwami.

Karina również poszła po swoją.

Na myśl o odejściu z pracy zrobiło jej się niedobrze, ale chyba nie miała wyboru. Za długo i za ciężko pracowali z Paulem, żeby teraz zrezygnować przez jej szefa, który był uprzedzony i nie miał o niej najlepszego zdania. Mogła udowodnić, że nie ma romansu, problem w tym, że gdyby Micahowi naprawdę na niej zależało, nigdy by jej o to nie posądził, tylko od razu uwierzyłby w jej niewinność.

On jednak wolał uwierzyć znajomej Lindy, kobiecie, która rozdmuchała coś zupełnie niewinnego do rozmiarów skandalu. Owszem, ona i Paul byli dla siebie czuli, ale nie jak kochankowie, tylko jak brat i siostra. Mogła mu to wyjaśnić, wiedziała jednak, że go nie przekona. Miał to wypisane na twarzy. Wydał już wyrok i uznał ją za winną, opierając się tylko na poszlakach.

Cóż, jeśli uważał ją za skandalistkę, to trudno. Miała to gdzieś. To, co o niej myślał, było bez znaczenia.

No jasne, westchnęła. A śnieg nie jest biały.

Poszła z Janey do samochodu, a Micah usiadł ponownie na

sofie, trzymając Lindy za rękę, jakby była dla niego całym światem.

- Myślałam, że skończył z nią na dobre - wyznała cicho Janey, gdy wsiadły do auta. - Nie odejdziesz, prawda? - spytała z nieukrywanym bólem.

- Nie, chyba że mnie zmusi - stwierdziła w końcu Karina wzruszona troską dziecka. - Ale jeśli do tego dojdzie, pozostaniemy w kontakcie. To mogę ci obiecać. Są mejle, jest Skype. Możesz go sobie zainstalować, jest darmowy, i wtedy będziemy mogły jednocześnie rozmawiać i się widzieć...

- Mam już Skype'a - wtrąciła z ekscytacją Janey.

- Okej. To zapisz mi nazwę użytkownika i swój adres mejlowy. Tak na wszelki wypadek.

- Nie będą ci potrzebne - stwierdziła z przekonaniem Janey, szamocząc się w pasach i przetrząsając torbę w poszukiwaniu długopisu i notesu, w którym zapisywała opanowane figury. - Proszę - oświadczyła wreszcie, wyrywając kartkę i wsuwając ją Karinie do torebki.

- Dziękuję, skarbie. Nie martw się - powiedziała łagodnym tonem. - Wszystko się ułoży.

- Wiem. Zadręcę tatę na śmierć.

- Lepiej nie - zaproponowała Karina. - Tylko pogorszysz sprawę. Zwłaszcza teraz - dodała, krzywiąc się na myśl o rychłym ślubie szefa i Lindy.

- On nie może jej poślubić - rzuciła Janey, jakby czytała jej w myślach. - Nie przeżyję tego!

- Nieprawda - odparła Karina, zmuszając się do uśmiechu. - Jesteś twardzielką. Nie będzie tak źle.

Janey wzięła głęboki oddech i wyjrzała w milczeniu przez okno, ubolewając nad faktem, że jej ojciec jest takim idiotą. Gdyby tylko spojrział na Karinę jak na kobietę i dostrzegł, że jest sto razy lepsza niż Lindy... No i lubi dzieci. Wbrew wszystkiemu miała nadzieję, że jeszcze się opamięta.

Przeniosła wzrok na Karinę. Wiedziała, że nie może zrezygnować z treningów. Nie teraz, kiedy mieli szansę wygrać

mistrzostwa USA. Paul nie romansował z Kariną. Owszem, był z nią blisko i darzył ją uczuciem, ale jak brat, nie jak chłopak. Tak bardzo chciała, żeby ojciec spojrział na nich jej oczami. On jednak był ślepy nie tylko na wady Lindy, lecz również na zalety Kariny. Nie będzie miała łatwo, jeśli to małżeństwo dojdzie do skutku. W duchu błagała, żeby tak się nie stało. Utrata Kariny byłaby dla niej jak... jak utrata matki, którą ledwie знаła. Serce ścisnęło jej się boleśnie na myśl o tym, że już wkrótce może jej zabraknąć. Jeśli ich opuści, Janey nie będzie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, nikogo, komu mogłaby się zwierzyć ze swoich marzeń i planów. Karina była jej najlepszą przyjaciółką. Mogła z nią rozmawiać na tematy, których wstydziała się poruszać z ojcem, chociaż bardzo go kochała.

Jeśli odejdzie, pomyślała ze smutkiem, to będzie koniec świata.

Paul czekał już na lodowisku. Był cały w skowronkach.

- Jesteś! - rzucił do Kariny. - A prawie cię skreśliłem - żartował.

Uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- Za późno wyjechałyśmy. Wybacz.

- Nie ma sprawy. Ćwiczyłem stare figury - rzucił prowokacyjnie.

- To dobrze, bo wyrabiają dyscyplinę - odparła Karina, zerkając na Janey. - Widzę, że Chad już się niecierpliwi. No, dalej, czas na jazdę! - zawyrokowała energicznie.

Włożyły łyżwy. Janey podeszła do bandy i zdjęła ochraniacze.

- Test jest już za tydzień - oświadczyła z wyraźną niechęcią. - W szkole na testach strasznie się stresuję. Co, jeśli nie zdam?

- Na pewno zdasz - stwierdziła z uśmiechem Karina, gdy do niej dołączyła. - Jesteś naprawdę dobra. Serio - dodała stanowczo. - Łyżwiarstwo jest moim życiem. Traktuję je bardzo poważnie. Nie mówiłabym ci, że jesteś dobra, gdybym naprawdę tak nie myślała.

- Okej. - Wdzięczna za słowa otuchy, przytuliła się do opiekunki.

- Miłej zabawy - rzuciła Karina, odwzajemniając uścisk.

- Dziękuję!

Paul podjechał do Kariny.

- No dobra. Wyduś to z siebie. Widzę, że coś cię gryzie. Co się stało? Micah przełożył cię przez kolano? - Gdy się zarumieniła, zakpił: - Oho! Chyba zgadłem!

- Przestań! - Spiorunowała go wzrokiem. - To mój szef.

- Uwierzyłbym, że tak jest, gdyby nie ten pąs na twojej twarzy - dalej podkpiwał, kiedy wyjechali na środek tafli.

- Ja stale się czerwienię.

- Nieprawda.

- Lepiej skup się na muzyce - rzuciła ze śmiechem, gdy z głośników popłynęła melodia. - I na jeździe!

Skrzywił się, lecz zaraz przyjął swoją pozę i rozpoczęli układ. Hilde podeszła do bandy, żeby popatrzeć. Karina rozciągnęła usta w rozmarzonym uśmiechu i dała się porwać muzyce, która zalała ją niczym fala, zmywając z niej wszystkie troski.

Miała tak zawsze. Bez względu na to, jak było źle - a w życiu doznała wielu przykrości - gdy tylko wkładała łyżwy, zostawiała to wszystko za sobą. Tak było również wtedy, kiedy asystent trenera ją napastował. I kiedy musiała przez to ponownie przejść, zeznając przeciwko niemu pod ostrzałem wrogich spojrzeń jego podopiecznych i innych trenerów. Dobrze, że otrzymała wtedy wsparcie od trzech innych łyżwiarek, które zachęczone jej odwagą w ostatniej chwili również postanowiły zeznawać i w efekcie za swój przestępczy czyn męczyzna dostał dwa lata więzienia. Jazda na łyżwach pomogła jej się także pozbierać po przegranej na igrzyskach i po śmierci rodziców. Była jak lekarstwo kojące każdy ból. Również ten, który czuła teraz na myśl o utracie mężczyzny, którego... kochała.

Serce mocniej jej zabiło, gdy usłyszała w myślach swój głos

i to zaskakujące wyznanie. Zachwiała się nieco, ale szybko odzyskała równowagę i przeszła do laybacka.

- Niezdara - rzucił żartem Paul, gdy skończyła wirować.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Wybacz. Noga mi zastrajkowała.

- Boli? - spytał z troską.

- Nie, wszystko gra. Po prostu się zachwiałam. Szczerze.

Pokiwał głową i wrócili do programu.

Oddając się radości chwili, zmusiła się, by nie myśleć już więcej o Micahu. Postawił jej ultimatum, ale nie mogła mu ulec. Pamięć o rodzicach nie pozwalała jej zrezygnować. Byli pewni, że kiedyś zdobędzie olimpijskie złoto, a ona nie mogła ich zawieść. I nie mogła zawieść Paula, zwłaszcza po fatalnej klapie z nową partnerką.

Skoro Micah okazał się taki małostkowy, to może lepiej, jeśli odejdzie. Zresztą za miesiąc żeni się z Lindy.

Nagle wezbrały w niej złość i smutek.

Biedna Janey, pomyślała. Nie wytrzyma z Lindy pod jednym dachem. Będzie musiała rzucić łyżwiarstwo, bo Lindy nie spocznie, dopóki nie nakłoni Micaha, żeby posłał ją do szkoły z internatem - ot, jeden problem z głowy. Następny w kolejce będzie Burt. Lindy wciąż będzie na niego narzekać, aż w końcu Micah znajdzie na jego miejsce kogoś innego. Skoro nie miał oporów przed tym, żeby mnie zwolnić, to nikt nie mógł być spokojny o swoją posadę. Dietricha pewnie też się pozbędą.

Przełknęła z trudem ślinę. Jak mawiał jej ojciec, niepotrzebnie rozdierała szaty. Zadręczanie się nic tu nie da. Wiedziała, że dla niej i Janey nie ma ratunku. Micah był jak rozpędzony parowóz. Jeśli podjął decyzję, to już nic nie było w stanie go od niej odwieść. Przez tych kilka tygodni zdążyła go dobrze poznać.

Znała jego smak, jego zapach i jego charakter. Kochała go. Na samą myśl o tym, że musi go opuścić, pękało jej serce. Ale nie miała wyboru. Uważał, że żyje w uludzie. Nie wierzył

w jej umiejętności, a przecież ani on, ani Lindy nie widzieli, jak jeździ. Nie mieli również pojęcia, jak dobrze radzi sobie Janey. Lindy z niej drwiła, twierdziła, że nie ma talentu. I ta sama Lindy, która zdobyła tylko brąz na zawodach regionalnych, naśmiewała się z Kariny, mistrzyni świata!

Cóż, no to im pokażę! – postanowiła. Nie tylko zakwalifikujemy się na igrzyska, ale zdobędziemy złoty medal! Będę harować jak wół, zaryzykuję nawet kontuzję, byle tylko utrzymać nosa temu pyszałkowi Micahowi! O Lindy nie wspominając. Dostaną za swoje. Janey będzie zachwycona!

– Uśmiechasz się – zauważył Paul, gdy skończyli układ i machali w podziękowaniu innym łyżwiarzom, którzy zgotowali im owację. – Co cię tak rozbawiło?

– Micah i Lindy uważają, że żyję mrzonką i nie mam szans na wygraną. Lindy wręcz śmiała mi się w twarz, przechwalała się swoim medalem!

– Wow!

– Nie żebym lekceważyła jej sukces – sprostowała. – Wydaje mi się jednak, że złoto zdobyte na mistrzostwach świata dowodzi czegoś więcej niż zajęcie trzeciego miejsca na zawodach regionalnych. Ale to tylko moja opinia.

Przytulił ją.

– Za to słuszna. I tak, wygramy igrzyska. – Zaśmiał się lekko, obrzucając ją czułym spojrzeniem. – Potem pewnie przez jakiś czas będę występować w rewiach, aż zdobędę dyplom i będę mógł uczyć. A ty jakie masz plany?

– Takie same. Chcę zrobić licencjat z historii. Rozważam jeszcze studia magisterskie, żebym mogła uczyć w podstawówce.

– Mnie wystarczy licencjat. Mogę uczyć dorosłych. Za rok chłopcy idą do zerówki. Będę musiał być w domu, żeby wziąć ich w karby, bo inaczej wejdą Gerdzie na głowę.

– Gerda nie jest miękka – zaoponowała.

– Nie jest, ale dzieci potrafią dać w kość. Któregoś dnia sama się przekonasz.

- Nie chcę wychodzić za mąż - odparła ze smutkiem.
- Nawet za swojego gburowatego szefa? - podkpiwał.

Zarumieniła się, a Paul parsknął śmiechem.

- Daj spokój - mruknęła, odsuwając się od niego. - Za miesiąc się żeni.

- Tak mi przykro.

- Życie jest ciężkie.

- A potem się umiera - dodał rozbawiony, nawiązując do kultowego powiedzonka z popularnego niegdyś serialu *Dempsey i Makepeace na tropie* o perypetiach amerykańskiego gliniarza i jego twardej partnerki z londyńskiej policji. Oglądał go z Kariną i Gerdą w internecie. - Cóż, taki los - stwierdził filozoficznie i spojrzął na zegarek. - Chyba lepiej, żebyście dzisiaj wróciły o czasie.

- No, chyba tak - przyznała niechętnie. - Szef był wściekły. Jakaś znajoma Lindy była wczoraj na lodowisku. Powiedziała jej, że się publicznie obściskiwaliśmy, a ty masz żonę. Teraz szef myśli, że jestem współwinna zdrady.

- Musimy szybko powiedzieć Gerdzie - rzucił z udawanym strachem. - A to się zdziwi!

- Przestań! - Szturchnęła go w żebra.

- Au! - Szybko spoważniał. - Może wrócę z tobą i porozmawiam z twoim szefem? - zasugerował trochę niepewnie. - Od razu powinnaś powiedzieć mu prawdę.

- I tak by mi nie uwierzył - odparła. - Tobie też nie uwierzy. Szuka pretekstu, żeby się mnie pozbyć - dodała z westchnieniem.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że Lindy mnie nie lubi, a Janey owszem.

- A może chodzi o to, że czuje coś, czego nie chce czuć?

- Nie wiem... - Spojrzała mu w oczy. - I nie wiem, jak sobie poradzę bez pracy!

- Możesz uczyć jazdy w Jackson - oświadczył. - Znam dwie rodziny, które poszukują na gwałt instruktora dla swoich synów, bo ci, którzy uczą na lodowisku, już się nie wyrabiają. Są bogaci i dobrze zapłacą. - Zacisnął wargi. - Właściwie to już im o tobie mówiłem, bo podejrzewałem, że tak się sprawy potoczą. To było oczywiste, że jego narzeczona cię nienawidzi.

- Tak, też to zauważyłam - odparła, lecz zaraz dodała rozpromieniona: - Dzięki, Paul. Dobrze wiedzieć, że mam wyjście awaryjne.

Odgarnął jej potargane włosy.

- Może jeszcze się ułoży - powiedział. - Może zrozumie, że popełnił błąd, i odprawi narzeczoną.

Przechyliła głowę i utkwiała w nim ciepłe spojrzenie szarych oczu.

- Prędzej świnię zaczną latać.

- Kto wie, może już rosną im skrzydełka? - stwierdził ze śmiechem. - Janey zaraz skończy lekcje - zmienił temat. - Za tydzień ma pierwsze zawody. Pojedziesz z nią?

- Chciałabym - powiedziała niepewnie, ale miała złe przeżycie. Micah patrzył na nią z pogardą. Skoro uważał ją za osobę niemoralną, która ugania się za żonatymi facetami, to mógł nie chcieć, żeby jego córka się z nią zadawała. Była pewna, że Lindy utwierdzi go w tym przekonaniu.

- Cóż, poczekamy, zobaczymy - odparł. - No dobra, zmykajcie, a ja jeszcze potrenuję, udając, że mi partnerujesz.

- Poproś Hilde, żeby mnie zastąpiła - rzuciła żartem. - Nadal świetnie jeździ.

- To prawda - przytaknął i zaraz dodał: - Przykro mi, że nie układa ci się tak, jak chciałaś. Zależy mi na tym, żebyś była szczęśliwa.

W oczach miała smutek.

- Szczęśliwa byłam tylko wtedy, kiedy jeździłam. Łyżwy pomogły mi przetrwać gorsze rzeczy.

Doskonale to rozumiał.

- W takim razie widzimy się jutro, tak?
- Oby. Napiszę, jeśli sprawy się skomplikują.
- Musisz być dobrej myśli.

Uśmiechnęła się lekko i odwróciła na pięcie, zmierzając ku Janey, która właśnie zdejmowała łyżwy.

- Musimy wracać, prawda? - spytała ze smutkiem. - Tata był nie w sosie. Przykro mi, że już dziś nie pojeździsz z Pauliem. Jesteście niesamowici na lodzie!

- Dziękuję - odpowiedziała Karina, zmuszając się do uśmiechu. - To wymaga sporo pracy.

- Nie pozwól, żeby tata cię zwolnił - rzuciła błagalnie Janey. - Nie wiem, jak to przeżyję, jeśli Lindy z nami zamieszka. Ona nigdy mi nie pozwoli startować w zawodach. Przekona tatę, że nie mam talentu.

- Ależ masz talent! - zaproponowała Karina. - Burt jest po twojej stronie i wstawi się za tobą.

- Nie możesz odejść - powtórzyła Janey ze łzami w oczach. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką!

Karina przytuliła ją, przyciskając policzek do jej czarnych włosów.

- A ty moją, skarbie. - Westchnęła z bólem. - Nie chcę odchodzić. Ale musisz zrozumieć, że nie mogę teraz zrezygnować. Paul i ja tak ciężko na to pracowaliśmy... Za ciężko i za długo, żeby zaprzepaścić taką szansę. Drugiej możemy już nie mieć. Paul nawet próbował znaleźć sobie inną partnerkę, ale sama wiesz, co z tego wyszło.

- Wiem. - Odsunęła się, trąc zaczerwienione oczy. - I wszystko rozumiem. Tata nie ma prawa zmuszać cię do porzucenia marzeń.

- Pewnie myślisz, że zasługujesz na kogoś, kto poświęci ci więcej uwagi - odparła łagodnie Karina. - I ma rację. Jeśli chcę startować w zawodach, będę musiała dużo podróżować. - Ściągnęła usta w wąską kreskę. - Nie dam rady się tobą opiekować.

- Możesz zabierać mnie ze sobą - rzuciła smętnie Janey.

- Och, bardzo bym chciała - przyznała szczerze Karina. - Ale to niemożliwe. Chodzisz do szkoły. Jeśli opuścisz tyle tygodni, będziesz musiała powtarzać klasę. A tego na pewno nie chcę.

- Ech, zawsze warto pomarzyć. Ale ty i Paul naprawdę jesteście fantastyczni - dodała. - Macie wygrać mistrzostwa, a potem wrócić z medalami i pomachać nimi tacie przed nosem.

Karina uśmiechnęła się smutno. Przemilczała fakt, że już miała złoty medal, który mogła mu rzucić w twarz. Ale nie zamierzała tego robić. Micah pewnie wyciągnąłby błędne wnioski i podjął pochopną decyzję, nie zważając na jej uczucia. Jeśli dostaną się na igrzyska, on, Lindy i Janey zobaczą ich w telewizji. Wtedy wszyscy się dowiedzą.

Choć ten scenariusz przedstawiał się bardzo obiecująco, na razie, jak zauważył Micah, pozostawał tylko marzeniem. Ale to marzenie wcale nie było nierealne i nie zamierzała z niego rezygnować.

Gdy wróciły do domu, Micah i Lindy nadal przytulali się na sofie, oglądając wiadomości.

Janey rozejrzała się po salonie i spytała:

- Gdzie Dietrich?

- Wiesz, że Lindy jest uczulona na jego sierść - odezwał się szorstko Micah. - Billy Joe zabrał go do siebie.

- Och. - Posmutniała.

- Psy nie powinny przebywać w domu - dodała wyniośle Lindy. - Brudzą i w ogóle są paskudne.

- Dietrich nie jest paskudny! - zaoponowała dziewczynka.

- Marsz do pokoju - rozkazał Micah.

Janey spojrzała na Karinę ze łzami w oczach.

- Ona ci nie pomoże - stwierdził z sarkazmem. - Słyszałaś, co powiedziałem.

- Tak, tato - odparła żałośnie. Zabrała torbę z łyżwami i poszła do swojego pokoju.

- Nietrudno zgadnąć, od kogo nauczyła się tak pyskować - zadrwiła Lindy, piorunując Karinę wzrokiem.

- Nie, nietrudno - zgodził się z nią Micah. Pocałował Lindy i wstał. - Do mojego gabinetu! - rzucił ostro do Kariny i ruszył przodem.

Wychodząc, nawet nie zaszczyciła Lindy spojrzeniem. Nie musiała tego robić, żeby wiedzieć, że ma na twarzy triumfalny uśmiezek.

Micah zamknął za nią drzwi gabinetu. Podszedł do biurka i usiadł, wyciągając skrzyżowane nogi na blacie.

- Dałem ci wybór - oznajmił. - Albo pożegnasz się z łyżwami, albo z tą pracą. Udział w zawodach oznacza ciągłe podróże. Lindy mi to uświadomiła. Jak zamierzasz opiekować się moją córką? Przecież nie będzie jeździć z tobą.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała, unikając jego wzroku. Wyglądała na pokonaną i tak też się czuła. Nadszedł moment wyboru, chwila, której się obawiała od początku treningu.

To była trudna decyzja, zwłaszcza po ich wspólnym namiętym epizodzie. Ale kiedy Micah obwieścił, że żeni się z Lindy, bardzo jej to ułatwił. Karina nie mogłaby z nią żyć pod jednym dachem.

Podniosła głowę.

- Zwalnia mnie pan czy woli, żebym sama odeszła? - spytała z godnością.

Sporunował ją wzrokiem. Nie chciał, żeby tak łatwo się poddała. Chciał, żeby zaprzeczyła, przysięgła, że nic jej nie łączy z żonatym partnerem. Chciał, żeby się mu postawiła i nie zgodziła się odejść. Był zawiedziony taką postawą, choć nie rozumiał dlaczego. Pragnął jej. I tego też nie rozumiał.

Podniósł się z fotela.

- Będzie lepiej, jeśli sama odejdziesz - powiedział chłodno.
- Chyba że liczysz na zasiłek dla bezrobotnych - dodał, uśmiechając się ironicznie.

- I tak bym go nie pobierała, nawet gdybym mogła - odgry-

zła się. – Praca to nie problem. Pracowałam, odkąd skończyłam siedemnaście lat.

Poczuł tę szpilę.

Karina była młoda i zdrowa. Pewnie, że mogła znaleźć inną pracę.

– I co robiłaś? Byłaś kelnerką? – spytał z przekąsem.

– To uczciwa praca.

– Co ty wiesz o uczciwości?! – Podeszedł bliżej i złapał ją za ramiona. – Gzisz się z tym swoim żonatym partnerem. Według ciebie to jest „uczciwe”?

Jego dotyk sprawił, że zmiękły jej kolana. Widział to, a ona nie mogła nic na to poradzić.

Zaczął przesuwać dłońmi po jej ramionach, pieszcząc jej skórę. Zbliżył się jeszcze o krok; chciał, by poczuła ciepło jego silnego ciała.

– Nie przypuszczałem, że możesz być tak płytka – warknął i przeniósł wzrok na jej wargi. – A myślałem, że jesteś niewinna!

Nagle zaborczo i bezceremonialnie wpił się w jej usta. Miażdżył je w namiętym pocałunku, dając upust szalonemu podnieceniu. Nienawidził jej za to, że tak na nią reaguje. Pragnął jej tak rozpaczliwie, że nie mógł nad sobą zapanować. Miał na jej punkcie obsesję. A ona sypiała z tym przystojnym blondynem, który w dodatku był żonaty! Doprowadzało go to do furii.

Zgniatał ją w objęciach i upokarzał, ogarnięty ślełą żądzą, nie dbając o jej uczucia. Karina była tak samo bezradna jak on. Objęła go za szyję i przywarła do jego ciepłego ciała, jęcząc cicho pod naporem jego zachłannych ust.

On też westchnął z jękiem i przycisnął ją do siebie. Było tak jak ostatnio, kiedy ogarnął go trawiący ogień namiętności. Nie chciał Lindy, choć była piękną i ognistą kobietą. Pragnął tylko Kariny. Wiedział jednak, że nigdy nie będzie jego. Nie chciała mieć domu i dzieci, wolała gonić za jakimś głupim marzeniem i romansować z żonatym mężczyzną.

Był tego świadomy, a jednak nie potrafił się jej oprzeć. Przytulił ją do siebie, pogłębiając pocałunek, tym razem czulej, delikatniej, i znów jęknął w przyływie pożądania, które niemal ścięło go z nóg. Zapomniał o jej marzeniach, o tym, że jest jej szefem, zapomniał o wszystkim, tylko nie o dojmującym głodzie, którego chyba nic nie było w stanie nasycić.

Uniósł ją w ramionach i podszedł do sofy, by ją położyć, nakryć swoim ciałem i objąć w posiadanie. Jeśli sypiała ze swoim partnerem, nie musiał się martwić, że skala jej cnotę. Ona była chętna. On był wygłodniały. Mógł ją mieć tu i teraz...

Karina czuła wzbierającą w nim żądzę. Wiedziała, o czym myśli. Chciała zaprotestować, ale to było zbyt cudowne – ten jego głód i ta żarliwa namiętność. Pragnęła dać mu to, czego tak pragnął. Kochała go ponad wszystko. Gdyby poprosił ją w tej chwili, żeby zrezygnowała z łyżwiarstwa i została jego żoną, zgodziłaby się bez wahania.

Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zanim zdążyła zmusić swój rozpalony gorączką mózg do współpracy, rozległo się głośnie, niecierpliwie pukanie do drzwi.

- Micah? Długo tam jeszcze będziesz siedział? - spytała Lindy, szarpiąc za klamkę.

Micah i Karina znieruchomieli, wpatrując się w siebie ze strachem. Ale drzwi najwyraźniej były zamknięte na klucz.

Micah był zdziwiony. Nie przypominał sobie, żeby je zamykał. Spojrzał na nabrzmiałe usta Kariny i poczuł taki głód, że aż zrobiło mu się słabo.

Cholera, jak do tego doszło?

- Już idę - odkrzyknął.

- Pośpiesz się - warknęła. - Chcę się jeszcze wyspać przed jutrzejszą podróżą! Kupiłam śliczny peniuar, specjalnie z myślą o tobie!

Karina poczuła się zawstydzona, zbrukana. Uwodzicielski głos, który dobiegł zza drzwi, nie pozostawiał wątpliwości co do intencji Lindy. Zmierzyła wzrokiem Micaha. Bardzo się starał, lecz nie potrafił się oprzeć pożądaniu.

Odepchnęła go, choć czuła, że nie jest dość silna.

- Proszę mnie puścić - rzuciła chropawym głosem.

Postawił ją na podłodze, ale niezbyt delikatnie.

- To jak będzie? - spytał szorstko, gardząc swoją słabością. Swoją i jej. - Zostajesz czy odchodzisz?

Zamknęła powieki.

- Odchodzę - oświadczyła, a w jej oczach błysnął gniew. - Nie jestem pańską zabawką!

- Nie? - spytał z aroganckim uśmiechem. - Ale mogłabyś być.

Cofnęła się o krok, zażenowana i przybita tym, jaka jest bezsilna wobec jego uroku.

Micah również miał mętlik w głowie. Widział, że Karina nie potrafi mu się oprzeć. Wystarczyło, że jej dotknął, i już była jego. Doświadczona kobieta tak by nie reagowała. No chyba że jej luby był kiepskim kochankiem. Może tylko myślała, że go kocha.

Kiedy tak stał, próbując dojść do ładu ze swoimi uczuciami, Karina ruszyła do drzwi, prosząc w duchu, by jej nabrzmiałe wargi i czerwone policzki nie zdradziły niczego Lindy.

- Wyjadę z samego rana - rzuciła przez ramię.

- Nigdy nie wygrasz żadnych zawodów - stwierdził ostro, rozwścieczony tym, że naprawdę odchodzi. - Lindy zna się na łyżwiarstwie. Zjadła na nim zęby. Jej zdaniem nie masz tego czegoś.

Odwróciła się, promieniejąc cichą dumą.

- Któregoś dnia, panie Torrance, przekona się pan, co mam. Zarówno pan, jak i Lindy.

- Marne szanse, panno Carter - odgryzł się.

Utkwiła w nim wzrok, sycąc oczy jego widokiem, zapamiętując każdy szczegół jego twarzy, pewna, że już nigdy go nie zobaczy.

- Żegnam. - Wyszła i zatrzasnęła drzwi, wykreślając go ze

swojego życia.

Lindy obrzuciła ją spojrzeniem, zawieszając wzrok na jej zaczerwienionych oczach.

- Zwolnił cię.

- Nie, sama zrezygnowałam.

- Dobrze - stwierdziła ze śmiechem. - Zatem nie możesz się ubiegać o zasiłek dla bezrobotnych. I co teraz? Jak zamierzasz opłacić te wszystkie drogie lekcje z trenerką? - spytała, nawiązując do Hilde. - Nie licz, że coś osiągniesz w łyżwiarstwie. Coś o tym wiem. Startowałam w zawodach.

Karina nie odezwała się więcej, tylko zmierzyła ją wzrokiem.

Lindy wykrzywiła twarz w grymasie i wróciła do oglądania telewizji.

Karina zaczęła się pakować, walcząc ze łzami. Miała nadzieję, że rano, gdy wstanie, Lindy i szefa już nie będzie. Chciała spędzić trochę czasu z Janey. Od teraz Dietrich miał mieszkać z Billym Joe. Farciarz! Wiedziała, że Janey jakoś to zniesie, ale nie będzie miała łatwego życia z macochą. Karinie było jej żal. Kochała tę dziewczynkę. Rozstawała się z nią z ciężkim sercem i nawet nie śmiała myśleć, jak będzie się czuć bez Micaha...

Ze wszystkich poranków akurat dzisiaj musiałam zaspać, pomyślała i się skrzywiła, patrząc na zegar. Nie zdążę zawieźć Janey do szkoły.

Chciała to zrobić po raz ostatni, żeby mieć czas z nią porozmawiać.

Jednak gdy wyszła z sypialni, nie mogła jej nigdzie znaleźć. Na szczęście szefa i Lindy też nie zastała.

- Zanim wyjedziesz, zjedz chociaż śniadanie - zaoferował ze smutkiem Burt. - Zrobiłem ci twoje ulubione kanapki z jajkami na bekonie - dodał z wymuszonym uśmiechem.

- Burt, jesteś kochany - odparła, tłumiąc łzy. - Powiedział ci?

- Owszem. - Zmierzył ją wzrokiem. - Już miałem mu coś

wygarnąć, ale Lindy nagle oznajmiła, że zawożą Janey do szkoły i lecą do Vegas. Wyszli w pośpiechu. Nawet nie zjedli śniadania. – Westchnął. – Szef był mocno przygaszony. W ogóle nie przypominał tego człowieka, dla którego pracuję od tylu lat.

Przygaszony. To słowo kompletnie nie pasowało do Micaha. Nigdy by go tak nie określiła.

– Dlaczego? – spytała, marszcząc brwi.

– Pewnie Lindy znowu mu dopiekła. Co za głupiec! Ona zrujnuje mu życie. Nie mówiąc już o biednej Janey. Chyba postradał zmysły!

Usiadła i zaczęła jeść.

– Jest dorosły – zauważyła.

– Jest idiotą, ot co. Lindy powiedziała, że sama zrezygnowałaś – dodał, dosiadając się z kawą. – To prawda? Czy szef cię zmusił?

– Dał mi wybór – odparła. – Uważa, że żyję w ułudzie, że nie mam szans na zawodach, bo trudno jest wygrać nawet te lokalne. No i zdaniem Lindy nie mam tego czegoś.

– Też mi autorytet – prychnął. – Powinnaś pomachać jej przed nosem swoim złotym medalem.

– I co by to dało? – spytała smutno. – Niczego by nie zmieniło. – Podniosła wzrok i zwróciła się do niego z prośbą: – Nie mów o mnie nikomu. I opiekuj się Janey. O nią martwię się najbardziej. Lindy chce ją umieścić w szkole z internatem.

Powstrzymał się od komentarza. Nie był pewien, czy ktokolwiek jest w stanie temu zapobiec.

– Szef dorastał bez miłości – powiedział. – Jego matka zmarła, gdy był niemowlakiem. Ojciec z kolei był zawodowym żołnierzem. Generał lał go pasem choćby za to, że płakał. I to od małego. – Uśmiechnął się smętnie. – Szef nigdy tak naprawdę nie był zakochany. Dla niego miłość to coś, co uprawia się w sypialni.

– To smutne.

– Smutniejsze, niż sądzisz. – Pokręcił głową. – Chciał ze-

rwać z Lindy. Zwierzył mi się tydzień temu. Aż tu nagle zjawia się z nią w domu i zachowują się jak para gołębiczek. Nie wiem, co w niego wstąpiło.

- Cóż, to już nie mój problem. Wracam do Jackson, do starego mieszkania. Paul jedzie ze mną. Mam nadzieję, że Hilde będzie chciała nas tam trenować.

- Na pewno - stwierdził Burt. - Wygraną macie już w garści. Zobaczycie. A kiedy zdobędziecie olimpijskie złoto, posadzę szefa przed telewizorem, przywiążę go do krzesła i odtworzę nagranie. Każę mu patrzeć, aż zsinieje.

Parsknęła śmiechem.

- Och, Burt. Będzie mi cię brakować.

- Mnie cię też. - Westchnął. - Żałuję, że nie możesz zostać.

- Ja również, ze względu na Janey. Dbaj o nią.

- O to się nie martw i dbaj o siebie.

Karina wsiadła do auta, pomachała na pożegnanie Burtowi, który wyszedł na próg, i pojechała na lotnisko, gdzie umówiła się z Paulem. Miała dla niego i Hilde przykre wieści. Nie płakała, ale było jej ciężko. Na myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy Janey ani jej ojca, pękało jej serce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Hilde nie potrafiła powstrzymać złości.

- Zwolnił cię z tak błahaego powodu? - fuknęła. - Przecież ty i Paul jesteście mistrzami świata, a on chce, żebyś zrezygnowała, bo nie masz co marzyć o zwycięstwie?

- On nie wie, kim jestem - wyznała ze smutkiem Karina. - Nie jestem pewna, czy nawet gdyby wiedział, w ogóle by o to dbał. Za miesiąc się żeni. Przykro mi tylko z uwagi na Janey. Nie miałam okazji się z nią pożegnać - dodała, walcząc ze łzami. - Ale przynajmniej pozostaniemy w kontakcie, o ile jej tego nie zabronią.

- No już, już. - Hilde przytuliła ją, pocieszając. - Będzie dobrze. Wrócisz z Paulem do Jackson, a ja znajdę kogoś, kto zajmie się lodowiskiem, i wynajmę tam mieszkanie, żebym mogła was dalej trenować.

- Nie chcę, żeby pani tak się poświęcała - powiedziała z troską Karina. - To pani jedyne źródło utrzymania. Będziemy płacić za treningi i pewnie dostaniemy stypendium, ale...

- Nie martw się, mam oszczędności. Grunt to mądrze zainwestować. Zresztą jak myślisz, ile będę mogła sobie zażyczyć od przyszłych podopiecznych jako trenerka mistrzów olimpijskich? - dodała z szerokim uśmiechem.

Karina zachichotała.

- Choćby z tego powodu chcę wygrać.

- A także dlatego, żeby pokazać swojemu gburowatemu szefowi, że nie zna się na ludziach - dodał przenikliwie Paul. - Jemu i jego narzeczonej.

- To prawda - przyznała Karina i zacisnęła usta w wąską kreskę. - Będę pracować tak ciężko, jak nigdy dotąd. A gdy zdobędę złoty medal, rzucę mu go w twarz! I jej też!

Paul parsknął śmiechem. Rozbawił go ten nagły wybuch

złości skądinąd opanowanej partnerki. Kiedy wpadała w gniew, nie przebierała w słowach. Ale za tymi słowami krył się ból. Karina kochała swojego szefa. Paul o tym wiedział i jej współczuł.

- Rozmawiałam już z dziesięcioma potencjalnymi kandydatami na stanowisko kierownika. - Hilde roześmiała się na widok ich zszokowanych min. - Wiecie, od początku planowałam was trenować, ale najpierw musiałam znaleźć kogoś, kto mnie zastąpi i zajmie się interesem. Po prostu zamieszka tu na trochę dłużej, niż myślałam. Żaden problem. Pojedziemy razem do Jackson i będziemy trenować na tamtejszym dużym lodowisku.

- Byłoby świetnie. Nie musielibyśmy dojeżdżać do Catelow. Jedno zmartwienie mniej - oświadczył Paul, a Karina przytaknęła. - Nie możemy sobie pozwolić, żeby panią stracić. Stawka jest zbyt wysoka.

- Racja - zawtórowała Karina. - Tak się cieszę, że jest pani gotowa to dla nas zrobić, choć dla pani to tylko dodatkowy kłopot.

- Nic z tych rzeczy - zaproponowała Hilde. - Wszyscy mamy coś do udowodnienia - dodała. - Zamierzam dowieść moim byłym podopiecznym, że wciąż jestem w formie. A wy udowodnicie temu opornemu ranczerowi, że nie macie nierealnych ambicji!

Wszyscy się uśmiechnęli. Musieli wygrać. Mieli jasny cel i byli zdeterminowani. Pozostała już tylko ciężka praca i dążenie do perfekcji. I właśnie to ich czekało w Jackson.

Burt odebrał Janey ze szkoły. Nie musiał nic mówić, żeby się domyśliła, że Karina odeszła.

Gdy wrócili do domu, nie zastali ani Micaha, ani Lindy. Janey się ucieszyła. Cała aż kipiała ze złości i nie byłaby w stanie tego ukryć. Wiedziała, że Lindy będzie nieznośna.

- Tak mi przykro, skarbie - zwrócił się do niej Burt.

- W przyszłym tygodniu miałam jechać do Jackson na mój pierwszy test - rozpaczała. - Teraz na pewno mnie nie puszczą!

- Jeśli nie, to sam cię zawiozę!

- Och, Burt, jesteś kochany! - Uściskała go i smętnym krokiem ruszyła do swojego pokoju. - Tak się cieszyłam - rzuciła, oglądając się na niego. - Dlaczego życie jest takie niesprawiedliwe?

- Też chciałbym wiedzieć - odparł łagodnie. - Chcesz ciastka i mleko?

- Nie, dziękuję. Niczego nie chcę.

Zamknęła się w sypialni i zalała łzami. Płakała tak długo, że omal serce jej nie pękło. Była wściekła na ojca. Nie rozumiała, dlaczego tak mu zależało, żeby Karina zrezygnowała z łyżwiarstwa. Przecież wiedział, jak bardzo to kocha. Ani razu nie widział, jak jeździ z Paulem. Gdyby ich razem zobaczył, pojąłby, że z ich talentem mogą zejść bardzo wysoko. Sama by mu to powiedziała, ale był taki nieprzystępny. A Lindy zawsze znajdowała sposób, żeby ich rozdzielić. Była tak zazdrosna o Micaha, że nawet jego córkę postrzegala jako zagrożenie. Janey nie cierpiała jej wizyt. Zawsze kończyły się tragedią.

Nagle usłyszała dźwięk sygnalizujący nadejście mejla. Janey miała niewielu znajomych, którzy tak się z nią kontaktowali. Wyjęła komórkę i otworzyła pocztę. To był mejl od Kariny!

Jestem już u siebie w Jackson. Paul i ja dojechaliśmy bezpiecznie. Nie martw się o nas, okej? Jeśli będzie trzeba, poproś Chada, żeby porozmawiał z ojcem o twoim występie. On wie, że jesteś na to gotowa. Wstawi się za tobą. I pamiętaj o mnie, dobrze? Kocham Cię.

Ponownie wybuchnęła płaczem. Kliknęła „Odpowiedz” i odpisała Karinie, dodając na końcu:

Szkoda, że Cię tu nie ma. Ja też Cię kocham.

Cieszyła się, że chociaż tak mogą ze sobą rozmawiać. Wiedziała jednak, że będzie musiała trzymać to w tajemnicy przed ojcem. Mógł zabrać, a nawet zniszczyć jej komputer czy telefon tylko po to, żeby ją odciąć od przyjaciółki.

Paul i Karina trenowali dzień w dzień całymi godzinami. Doszli do etapu, w którym znali na pamięć każdy szczegół

programu i nie musieli już pytać Hilde, co dalej.

Karina z każdym dniem była coraz lepsza. Niewiele jej brakowało do dawnej świetności. Kostka wciąż dawała o sobie znać, ale leki przeciwzapalne łagodziły dolegliwości. Musiała tylko pilnować dawki oraz tego, żeby ich nie zażywać przed wizytą na lodowisku. Utrata choćby jednej dziesiątej sekundy mogła się skończyć katastrofą, dlatego powinna mieć jasny umysł.

Mistrzostwa USA były już w styczniu. Mieli niecałe dwa miesiące, żeby się przygotować, a to znaczyło tylko jedno – musieli trenować do upadłego. Na szczęście dzięki tym kilku lekcjom z Janey Karina odzyskała pewność i dawną prędkość na lodzie. Wystarczyło już tylko popracować nad płynnością i zgraniem ruchów, ale z tym akurat nie mieli problemu. W końcu ona i Paul jeździli razem od wielu lat.

Karina z trudem panowała nad ogarniającą ją ekscytacją. Nie miała wątpliwości, że znajdą się przynajmniej w czołowej piątce, a uzyskane punkty i te, które zdobyli wcześniej na mistrzostwach świata i Czterech Kontynentów, niemal na pewno dadzą im przepustkę do Pjongczangu.

Może mierzyli za wysoko, ale ona wcale tak nie uważała, bo trzymali równy poziom i zawsze zgarniali świetne noty. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pewnie. A jej największą motywacją była chęć pokazania temu niedowiarkowi ranczerowi, że potrafi jeździć o niebo lepiej niż jego wredna narzeczona. To było warte całego trudu, bólu i stresu. Jeśli zdobędą olimpijskie złoto, zamówi wielki plakat z nimi na podium i z medalami i wyśle go ekspresem do Sz. P. Gbura. Niech no spróbuje odmawiać jej talentu!

Najgorsze w tym wszystkim było to, że za nim tęskniła. Miały kolejne dni bez wieści od Janey. Aż wreszcie dostała od niej bardzo emocjonującą wiadomość:

Odwiedził nas Chad i porozmawiał z tatą. Zabierze mnie do Jackson na zawody! Chad też przyjedzie. Tak się cieszę! Na występ założę tę sukienkę, którą kupił mi tata. Pokazywałam Ci ją. Lindy też będzie – napisała, dodając rozeźloną buźkę. – Ale nie będę zwracać na nią uwagi. Pojadę najlepiej, jak po-

trafię. Miałaś rację, dobrze, że Chad się za mną wstawił. Lindy była wściekła, ale tata powiedział, że i tak mnie tam zabierze, więc ma siedzieć cicho. Tata nic nie je. Burt myśli, że to przez Lindy nie ma apetytu. Może zobaczymy się na lodowisku?

Na końcu podała godziny, w jakich będzie ich można zastać.

- Nie możemy jutro ćwiczyć między czternastą a szesnastą - cichym głosem powiadomiła Paula Karina.

- Dlaczego? - spytał zdziwiony.

- Janey ma swój pierwszy test - wyjaśniła. - Będzie tu z ojcem. Nie chcę go spotkać.

- *Pauvre petite* - powiedział czule. - Tak mi przykro.

- Myślałam, że może pożałuje swoich słów - odparła przybita. - Ale to akurat była mrzonka. Nie sędzę, żeby czegokolwiek żałował.

- Faceci czasem nie wiedzą, co mają, dopóki tego nie stracą - zripostował.

- A czasem po prostu machają na to ręką i już więcej nie oglądają się za siebie. - Roześmiała się. - Nieważne. Ważne, że świetnie nam idzie. Zdaniem Hilde już moglibyśmy starować w mistrzostwach. Z jej ust to wielki komplement.

- Cóż, dużo trenowaliśmy, a ty doszłaś do siebie szybciej, niż sądziłaś.

- Sama byłam zdziwiona. Pamiętam, jak bardzo się bałam wrócić na lód.

- Wszyscy kontuzjowani łyżwiarze mają takie obawy i wątpliwości, ale większość przewycięża strach. Pamiętasz, jak siedem lat temu złamałem rękę? - spytał.

- Zacząłeś jeździć jeszcze szybciej niż ja. - Uśmiechnęła się.

- Cóż, ja nie musiałem na niej lądować - zauważył półżartem.

- Ale musiałeś mnie podnosić, czego nie mogłeś robić, do-

póki całkiem się nie zagoiła.

- To prawda. W tej dyscyplinie siniaki i zwichnięcia są nieuniknione.

- Ale to wszystko jest tego warte - stwierdziła.

- W rzeczy samej.

Nazajutrz na lodowisku zebrały się dzikie tłumy. Karina przyszła dopiero wtedy, gdy była pewna, że występ Janey dobiegł końca. Nie chciała przegapić tak ważnego dla niej wydarzenia, ale nie była jeszcze gotowa na spotkanie z Micahem.

Paul już na nią czekał.

- Widziałeś ją? - spytała, gdy wyjechali razem na tafłę.

- Nie. To na pewno miało być dziś?

- Tak. Przynajmniej tak mi się zdawało. Może pomyliłam daty.

- Możliwe. Chodź, wydzielono dla nas strefę.

Podjechał z nią we wskazane miejsce, a Hilde włączyła muzykę. Był to piękny utwór Rachmaninowa tworzący oprawę muzyczną dla ich układu.

Karina jeździła, wkładając w to całe serce. Łyżwiarstwo było dla niej wszystkim. Jak mogła sądzić, że jest zdolna z niego zrezygnować? Miała je we krwi. Nosila je w myślach i duszy. Zatracała się w melodii i dała się jej ponieść, tak perfekcyjnie zgrywając się z ruchami Paula, jakby byli ze sobą połączeni niewidzialnymi sznurkami.

Kiedy skończyli, Karina płonęła na twarzy i brakowało jej tchu, ale nigdy nie była szczęśliwsza.

- Z każdym dniem jesteście coraz lepsi - zapięła z zachwytem Hilde, gdy podjechali do bandy. - Jestem z was taka dumna. Na pewno pojedziecie na olimpiadę. I zwyciężycie - dodała z przekonaniem.

- Muszę przyznać, że też tak myślę - odparł Paul. - Co więcej... - Urwał i powiodł wzrokiem ponad głowę Kariny. - O rany.

Odwróciła się i ujrzała Janey, która sunęła do niej po lodzie niczym kometa.

- Janey! - wykrzyknęła rozpromieniona. Zamknęła dziewczynkę w objęciach i mocno przytuliła. - Janey! Tak się cieśszę, że cię widzę!

- Ja też! Zdałam!

- Zdałaś? Jestem z ciebie dumna! - zawołała z entuzjazmem. - Kiedy miałaś test?

- Dwie godziny temu - odpowiedziała Janey. - Nigdzie cię nie widziałam. Miałam nadzieję, że będziesz, ale pewnie nie chciałaś przyjść. Z powodu taty.

- Przepraszam, kochanie, ale...

- Nie szkodzi. - Westchnęła. - Tata jest okropny. Po prostu okropny. Ciągle krzyczy i przeklina. A ona jest z nami cały czas. Burt chce odejść. Mówi, że nie może z nią mieszkać. Taty częściej nie ma, niż jest. I nie mogę już trzymać Dietricha w domu. Jestem taka nieszczęśliwa.

- Tak mi przykro - odpowiedziała cicho Karina. - Ale w życiu zdarzają się ciężkie chwile i trzeba je po prostu prze-trwać. Jesteś twarda. Dasz sobie radę. To nie będzie trwało wiecznie. Za kilka lat pójdziesz do college'u.

- Albo pojedę na igrzyska - rzuciła prowokacyjnie Janey.

Karina parsknęła śmiechem.

- Nie możesz nie iść do college'u. Mnie brakuje tylko jednego semestru do ukończenia licencjatu. Paul też chce skończyć studia. Oboje myślimy przyszłościowo. Nie będziemy wiecznie uprawiać łyżwiarstwa.

- Jedziecie na olimpiadę?

- Mamy nadzieję - odparła Karina. - Dzięki punktom zdobytym we wcześniejszych konkursach znajdujemy się bardzo wysoko w klasyfikacji. Ale kto wie. Poczekamy, zobaczymy.

- E tam, pojedziemy na bank - wtrącił się Paul. - Nie słuchaj jej. To pesymistka.

- To prawda - przyznała.

Janey obejrzała się za siebie, a na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

- Ech, wrócili. Powiedziałam im, że chcę jeszcze popatrzeć, jak jeżdżą inne dzieci. Podejrzywałam, że tu będziecie. Chciałam się z wami zobaczyć.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedziała z uśmiechem Karina.

- Gdyby tata zobaczył, jak jeździsz, na pewno zmieniłby zdanie - stwierdziła dziewczynka.

Karina spojrzała na patrzącego wilkiem Micaha, który stał po przeciwnej stronie lodowiska i trzymał za rękę napuszoną Lindy.

- Jego zdanie mnie nie obchodzi - powiedziała cicho. - Ale ty owszem. Jestem z ciebie bardzo dumna. Trenuj tak dalej, a zanim się spostrzeżesz, znów tu wrócisz na kolejny test.

- Oby. Lindy mówi, że mam przestać marnować czas na lodowisku i skupić się na szkole.

Karina pogłaskała ją po głowie.

- Kochanie, nie martw się tym, co będzie jutro - zwróciła się do niej łagodnie. - Ciesz się każdym dniem życia i uważaj, żeby się nim nie zachłysnąć. Okej?

Janey zmusiła się do uśmiechu.

- Okej. - Przytuliła ponownie Karinę. - Będę pisać. Ty też do mnie pisz, dobrze?

- Obiecuję.

- Do zobaczenia! - rzuciła i podjechała do ojca i Lindy.

Karina szybko się odwróciła. Nie mogła zdzierżyć widoku Micaha.

Widział ją i czuł do niej niechęć. Nadal nie zamierzała zrezygnować z łyżwiarstwa. Lindy twierdziła, że nie ma do tego talentu, że nigdy niczego nie wygra. Musiał przyznać, że nie mógł patrzeć, jak wspina się ku sławie - była zbyt delikatna, zbyt wrażliwa. Zdaniem Lindy rywalizacja przypominała walkę bokserską. Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie próbował ją podciąć, sprowadzić do parteru i pozbawić złudzeń. A Kari-

na nawet nie potrafiła się bronić.

Nie chciał, żeby odchodziła, ale wiedział, że nie może jej zatrzymać. Zamiast niego wybrała karierę, w dodatku niepewną. Był gotów rzucić Lindy, ożenić się z Kariną i mieć z nią dzieci. I nagle dowiedział się, że sypia z żonatym mężczyzną. Jego marzenia legły w gruzach. Sam nigdy by jej nie posądził o taką dwulicowość. Ale miał na to dowód.

Karina nawet na niego nie spojrzała. Nie chciał tego przyznać, ale bardzo go to bolało. Tęsknił za nią każdego dnia. Był bez niej nieszczęśliwy. Zszedł się z Lindy, żeby zrobić jej na złość, ale nikt, nawet on sam, nie był z tego powodu zadowolony. Janey chodziła z nosem na kwintę, Burt był oburzony i gotowy odejść z pracy, a Micah nawet nie chciał tknąć Lindy palcem, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się między nim a Kariną. Był zdruzgotany i to wszystko była jego wina.

Nie ma to jak urażona duma, pomyślał. Karina odwróciła się ode mnie. Wybrała swojego partnera, podrzędnego łyżwiarza, który najwyraźniej nie miał nawet pracy. Co ona w nim widziała?

- Pytałam, czy możemy się zbierać. - Z zadumy wyrwał go zniecierpliwiony głos Lindy. - Cały ten test to jakiś żart. Nic dziwnego, że zdała!

Janey przygryzła dolną wargę.

- Daj jej spokój - warknął Micah, przybierając groźną minę.

Lindy odchrząknęła.

- Ech, no dobrze. Możemy już wracać? Zmarnowałam cały dzień. A mogłam coś sprzedać.

- To by była nowość - skwitował bez ogródek i spiorunował ją wzrokiem.

Wstrzymała oddech zszokowana.

- No chodźmy - rzucił szorstko i ruszył do wyjścia. On też chciał już wrócić do domu.

- Burt, zdałam, zdałam! - wykrzyknęła Janey, wpadając do kuchni.

- Brawo, mała! - powiedział z uśmiechem. - Jestem z ciebie

dumny.

- Kolacja gotowa? - spytała poirytowana Lindy. - Mam nadzieję, że nie pływa znów w tłuszczu!

- Właściwie to przyrządziłem grillowaną wieprzowinę - oświadczył, unosząc wymownie brew. - I frytki.

- Czyli to, co lubię najbardziej - zaśmiał się Micah. - Dzięki.

- W takim razie zrób mi sałatkę - fuknęła Lindy. - Bo na pewno nie tknę tej padliny!

- Jest i sałatka, jako dodatek - oznajmił.

- Lindy, nie bądź taką harpią, siadaj i jedz! - obsztorcował ją Micah. - I skończ z tym wiecznym narzekaniem!

Aż nadymała się ze złości.

- Jak śmiesz!

- Jak śmiem co? - huknął groźnie.

Lindy nie odpowiedziała, tylko na niego patrzyła.

- Jak ci się nie podoba, możesz spakować manatki i się wynieść. Mój pilot może cię jeszcze dziś zabrać do Vegas. Właściwie - dodał po chwili - to bardzo dobry pomysł. Zatrzymaj pierścionek. Tylko już nie wracaj.

- Przecież się pobieramy...

- Nie, nie pobieramy się - powiedział chłodno. - Nie spędzę reszty życia u boku takiej jędzy! Prędzej mnie szlag trafi!

- Co? CO?!! - wykrztusiła.

- Wiem, że trudno ci to objąć rozumem, ale się pakuj! - Wyjął komórkę i zadzwonił do pilota, a po krótkiej rozmowie oświadczył: - Samolot będzie czekał za pół godziny. Zawiozę cię na lotnisko.

- Ale jesteśmy zaręczeni - zaproponowała Lindy. - Dałeś mi pierścionek.

- Miałem chwilowe zaćmienie umysłu. Już mi przeszło. Wracaj do Vegas i znajdź sobie innego milionera do popychania. Tylko upewnij się, że nie ma dzieci. Nikomu nie życzyłbym takiej macochy!

Lindy czuła, że grunt pali jej się pod nogami, a wraz z nim te wszystkie miliony. Zmusiła się więc do uśmiechu.

- Och, Micah, jesteś po prostu zestresowany. Mogę coś na to zaradzić.

- A co? Masz dyplom z psychoterapii? - odgryzł się. - Tak jak mówiłem, nie jesteśmy już zaręczeni. Pakuj się i w drogę.

Tupnęła nogą.

- Nie to nie! - krzyknęła. - Rzucasz mnie, bo nie podlizywałam się twojej tępej córce?! Świetnie! Nie zdzierzyłabym tego, gdybym musiała żyć z nią pod jednym dachem. Nieważne, co mówi jej durny trener. Ona nie ma talentu. To samo dotyczy się jej durnej niani. W życiu nie zdobędzie medalu!

Janey ugryzła się w język. Nie chciała napytać sobie jeszcze większych kłopotów, a jej ojciec wyglądał, jakby miał wybuchnąć.

- Odchodzę! - wrzasnęła Lindy. - I tym razem nie wrócę, nawet gdybyś mnie błagał na kolanach!

- Nie licz na to - rzucił Micah. - Nie jestem aż tak zdesperowany.

Lindy już nic nie powiedziała, tylko wybiegła jak burza.

Micah zawiózł ją na lotnisko i wsadził do firmowego odrzutowca. Przez całą drogę nie zamienili ze sobą nawet jednego zdania.

Kiedy maszyna oderwała się od ziemi, poczuł nieopisaną ulgę. Jak mógł być tak ślepy i nie widzieć jej wad? Pozwolił, żeby pastwiła się nad Janey i Burtem. Pozwolił, żeby zatrwała mu umysł, nastawiając go przeciwko Karinie.

Dość tego. Wreszcie był wolny.

Jednak nadal czuł w sobie pustkę po tym, jak odepchnął od siebie Karinę. Brzydził się tym, jak ją potraktował. Nie spytał jej, skąd ta pewność, że może zrobić łyżwiarską karierę. Właściwie to nawet nie widział, jak jeździ. Pamiętał, jak mówiła, że rodzice zastawili dom, żeby mogła startować w coraz ważniejszych zawodach. Ale nawet jeśli żyli w ułudzie, to czy ryzykowałiby tak wiele dla dziecka pozbawionego talentu?

Musiał z nią porozmawiać. Zadzwoił do Burta i uprzedził, że będzie później, prosząc, by zajął się Janey i upewnił, że odrobi lekcje i pójdzie wcześniej spać. A sam pojechał do Jackson.

Na lodowisku była już tylko garstka łyżwiarzy, bo wkrótce mieli zamykać. Usiadł na trybunach w ostatnim rzędzie, mając nadzieję, że gdzieś tam w dole ujrzy Karinę. Nie chciał, żeby go zobaczyła i uciekła, więc przycupnął w zacienionym miejscu. Obok siedziała starsza para. Sprawiali wrażenie miłych.

Uśmiechnął się do nich i przeniósł wzrok na taflę.

Nagle z głośników popłynęła muzyka.

Co to? Rachmaninow? – pomyślał.

Piękny utwór, ale nie pamiętał tytułu.

Para łyżwiarzy, których wcześniej nie zauważył, wyjechała na środek i zaczęła ćwiczyć swój układ. Nie wyglądali na żółtodziobów. Jechali równo, jak połączeni sznurkiem, przechodząc płynnie od pełnych gracji isticie baletowych póz do atletycznych skoków, i to bez najmniejszego potknięcia. Pochylił się do przodu, przyglądając się z fascynacją. Tak fenomenalnych łyżwiarzy widział tylko na ekranie telewizora, kiedy zerkał Janey przez ramię na powtórki olimpijskich występów.

– Są świetni, prawda? – wyszeptała do niego starsza kobieta.

– Co to za jedni? – spytał.

– Paul Maurice, a jego partnerka to Miranda Tanner. – Zażmiała się lekko. – Nazywamy ją Legendą Wyoming. Pochodzi z okolic Jackson. Jej matka, także łyżwiarka, dwukrotnie zdobyła złoto na olimpiadzie.

Zmarszczył brwi.

Paul. Tak się nazywał partner Kariny, przypomniał sobie. Czyżby tylko ją zwodził i znalazł sobie inną partnerkę?

– Rzecz jasna, to nie jest jej prawdziwe nazwisko – ciągnęła dalej kobieta – tylko pseudonim, pod którym występuje, żeby mieć spokój od namolnych dziennikarzy. Naprawdę nazywa

się Karina Carter.

Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Pamiętał, co jej powiedział. Nazwał ją amatorką, która może tylko pomarzyć o karierze łyżwiarskiej.

- W tym roku wywalczyli złoto na mistrzostwach świata. To było przed jej kontuzją - kontynuowała kobieta, nieświadoma tego, co przeżywa Micah. - Jesteśmy z nich bardzo dumni. Niemal na pewno pojedą na igrzyska.

Igrzyska... Byli mistrzami świata. A on się z niej naigrywał i twierdził, że nigdy niczego nie osiągnie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wstydził się tak jak teraz. Przegnał ją, poniżył, odizolował od Janey, którą tak kochała. A Janey kochała ją. I to wszystko z powodu kłamstw, którymi karmiła go Lindy.

- On nie jest przypadkiem żonaty? - wymamrotał w zamyśleniu.

- Owszem. On i Gerda mają dwóch synków, bliźniaków. Karina jest ich matką chrzestną, a z Pauliem przyjaźni się od podstawówki. - Zaczęła się śmiać, tymczasem on przeklinał swoją głupotę. - Kiedyś opowiadała, że ona i Paul musieli się bardzo pilnować, żeby nie patrzeć sobie w oczy podczas najbardziej romantycznego fragmentu, którym kończą występ, bo gdy kiedyś tak się zapatrzyli, parsknęli śmiechem i odjęto im punkty. Są dla siebie jak brat i siostra.

- Na pewno wygrają - oświadczył stanowczo jej towarzysz.
- Ostatnim razem nie dostali się nawet do pierwszej piątki, ale tym razem rzucą wszystkich na kolana.

Ostatnim razem... Karina wspominała, że była na igrzyskach z rodzicami. To dlatego, że sama brała w nich udział, wywnioskował.

Wszystko było nie tak, jak myślał.

- Przychodzimy tu od trzydziestu lat i nigdy nie widzieliśmy, żeby ktoś jeszcze jeździł tak jak oni - stwierdziła kobieta.

- Domyślam się - odparł.

Karina i Paul skończyli trening i zeszli z tafli. Po chwili po-

deszła do nich blondynka z dwójką małych chłopców. Karina wzięła jednego z nich na ręce i ucałowała w różowiutki policzek.

Micah chciał do niej zejść i porozmawiać, był jednak pewien, że na jego widok odwróci się na pięcie i odejdzie. Zbyt mocno ją zranił. Musiał poczekać na właściwy moment i jakoś wkupić się z powrotem w jej łaski. Wiedział, że łatwo nie będzie.

Burt ledwo skończył sprzątać, gdy do kuchni wszedł Micah.

- Janey odrobiła lekcje - oświadczył Burt.

Micah usiadł przy stole i obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Wiedziałeś?

- Słucham?

- Wiedziałeś, że Karina jest wyczynową łyżwiarką i jeździła pod innym nazwiskiem?

Burt się zaczerwienił.

- No to wielkie dzięki za cynk, żebym nie zrobił z siebie głupka! - burknął Micah. - Powiedziałem jej, że żyje mrzonką!

- Kazała mi przysiąc, że się nie wygadam - bronił się Burt.
- Po wypadku dziennikarze nie dawali jej żyć, a ona chciała się od tego odciąć, bo nie planowała powrotu na lód. Tak mi przynajmniej powiedziała. Ale ty kazałeś jej wozić Janey na lodowisko. I chcąc nie chcąc, znów się w to wkręciła.

- Widziałem, jak jeździ z Paulem. - Westchnął. - On ma dwóch synków. Karina jest ich chrzestną, a żona Paula jej przyjaciółką.

- Rozmawiałeś z nią?

Zawahał się, dopiero potem pokręcił głową.

- Odwróciła się do mnie plecami, gdy przyjechałem po Janey do Jackson. I wcale jej się nie dziwię... Poczekać, aż trochę jej przejdzie, i wtedy znów spróbuję.

- Dobrzy są? - spytał Burt.

- Owszem. Widziałem olimpijskich łyżwiarzy, którzy nie byli nawet w połowie tak utalentowani. Gdy na nich patrzyłem, czułem się tak, jakbym oglądał balet.

- Matka Kariny występowała kiedyś pod panięńskim nazwiskiem. Nazywała się Irene Tanner - oznajmił z uśmiechem Burt. - Oglądałem jej występ na igrzyskach, gdy po raz drugi zdobyła złoty medal. Poruszała się z niezwykłą gracją i lekkością, niczym rusałka. Trochę się w niej durzyłem.

- Janey wie? - spytał po chwili Micah.

- Nie. Karina bała się, że może komuś powiedzieć.

Micah odchylił się na krześle.

- Lindy nakarmiła mnie stekiem bzdur. I tak byłem zazdrośny o Paula, a ona tylko dołała oliwy do ognia.

- Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, to cieszę się, że ją odprawieś. Miałem już dość tego, jak się pastwi nad Janey.

Micah westchnął.

- Cholera, byłem tak zajęty robieniem pieniędzy, że nawet tego nie zauważyłem. Pozwoliłem, by była gnębiona przez kobietę, która najchętniej by się jej pozbyła i wysłała do szkoły z internatem. Całe szczęście, że jej nie uległem i powiedziałem, że mojej córki nie będą wychowywać obcy ludzie. Potem jeszcze długo nie mogłem przeboleć, że w ogóle o tym wspomniała. - Zaśmiał się. - Owszem, była seksowna, ale w życiu są ważniejsze rzeczy.

- I to całe mnóstwo.

Micah wstał.

- Cóż, chyba wyłączę telefon i pójdę już spać.

Burt uniósł brwi.

- Wyłączysz telefon? A to nowość.

- Pomysł Kariny. Uświadomiła mi, że ludzie nie mają prawa mnie nękać po nocach. Wcześniej nawet się nad tym nie zastanawiałem.

- Dawniej, kiedy nie było przenośnych telefonów, ludzie nie wydzwaniali w interesach o drugiej czy trzeciej nad ranem -

stwierdził Burt. – Nie dziwota, że tylu biznesmenów dostaje ataku serca, skoro nie mają kiedy odpocząć.

– I tak mało śpię, ale tych kilka godzin spokoju by się przydało. – Zaciśnął wargi, a w jego ciemnych oczach pojawił się błysk. – Przegoniła niedźwiedzia kijem – przypomniał sobie ze śmiechem. – Moje wnuki pójną do szkoły, a ludzie wciąż będą o tym mówić.

– Bez wątpienia.

– Przy okazji, zadzwoń do Billy’ego Joe i poproś, żeby przywiózł tu Dietricha. Przyszykuj mu legowisko w pokoju Janey.

– Mała na pewno się ucieszy. Pękło jej serce, kiedy się dowiedziała, że Dietrich nie ma już wstępu do domu.

– Byłem ślepy jak kret – oświadczył Micah. – Ale dziś przejrzałem na oczy. Chciałem porozmawiać z Kariną. Usiadłem z tyłu na trybunach obok starszej pary oglądającej ich trening i trochę się dowiedziałem. Wiesz, jak ją nazywają w Jackson?

– Nie. Jak?

– Legenda Wyoming – powiedział z uczuciem. – Jeśli chcę, żeby mi przebaczyła, chyba będę musiał zjeść tę oślizgłą żabę i przyznać się do błędu.

– Ona nie z tych, co chowają urazę – stwierdził Burt. – Po prostu czuje się zraniona. Trochę przesadziłeś, a Lindy tylko dosypała soli do rany.

– Co racja, to racja – przyznał zły na siebie.

– Jeśli o mnie chodzi, to cieszę się, że nie muszę odchodzić z pracy – wesoło skwitował Burt. – Byłem już prawie spakowany. Nie mógłbym mieszkać pod jednym dachem z tą zrędką. Nic jej nie pasowało, a zwłaszcza moje jedzenie.

– Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie widziałem – dziwił się Micah.

– Zaślepiło cię libido – stwierdził Burt.

– Można i tak to ująć. – Pokręcił głową. – Cóż, ważne, że teraz widzę wyraźnie. Ale nadal nie mam pomysłu, jak przekonać Karinę, żeby mnie wysłuchała i przyjęła moje przeprosi-

ny.

- Daj jej trochę czasu - podsunął Burt.

- Tak zrobię. Mam nadzieję, że to coś da. - Nie dodał, że to będzie dla niego bardzo samotny czas. Odkąd odeszła, w domu zagościły szarość i pustka.

Paul i Karina trenowali bez wytchnienia aż do Święta Dziękczynienia. Karina spędziła je z rodziną Maurice'ów w radosnej i hałaśliwej atmosferze. Janey wysłała jej życzenia oraz zdjęcie ukazujące, jak ćwiczy do kolejnego testu. W odpowiedzi Karina dołączyła swoją fotografię z Paulem, Gerdą i chłopcami, na której się śmieją i wspólnie ubierają choinkę. Gerda zawsze stawiała ją w tym dniu.

Na ranczu obyło się bez hucznych obchodów. Micah dla odmiany był w domu. Tylko on, Janey i Burt. I Billy Joe, który dołączył do nich podczas kolacji. Dietrich też się załapał na porcję indyka bez kości. Ale bez Kariny to były smutne i ponure święta.

Micah rozpogodził się dopiero wtedy, gdy Janey pokazała mu na komputerze zdjęcie Kariny z Maurice'ami. Wpatrywał się w ekran z takim wyężeniem, że nawet nie zwrócił uwagi na uradowaną minę córki.

Janey wspomniała o tym Karinie, kiedy wysłała jej rodzinne zdjęcie, które zrobił im Billy Joe. Ale Karina w ogóle tego nie skomentowała.

Jednak w domu wydrukowała tę fotografię i postawiła ją sobie przy łóżku na nocnym stoliku. Ona też czuła się samotna. Bez Micaha jej życie straciło wszelkie barwy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Boże Narodzenie na ranczu również przebiegło w cichej atmosferze. Janey dostała od Kariny prezent, który położyła pod choinką, a swój wysłała pocztą do jej mieszkania. Oprócz niego Karina znalazła jeszcze małe pudełko bez bileciku. Myślała, że jest od Burta. Aż do świątecznego poranka, kiedy je otworzyła.

W środku znajdowała się bransoletka z charmsami. Przyjrzała się uważnie małym zawieszkom na łańcuszku. Jedna miała kształt łyżwy wysadzonej maleńkimi kryształkami. Był też pies – bez dwóch zdań owczarek niemiecki – i jeszcze niedźwiedź. Ostatnia zawieszka przedstawiała żabę. Karina nie była pewna jej znaczenia. Możliwe, że Janey lubiła żaby. Uśmiechnęła się. Musiała przyznać, że bransoletka jest śliczna. Wyglądała na srebrną, lecz gdy przyjrzała się zapięciu, zobaczyła próbę – złoto, osiemnaście karatów. Wtedy dotarło do niej, że to nie były kryształki, tylko brylanciki.

Nie mogła uwierzyć, że Janey namówiła ojca na tak drogi zakup. Janey z kolei sprezentowała Karinie czarny sweter wyszywany kryształkami tworzącymi wzór łyżew, a do tego bransoletkę przyjaźni, którą najwyraźniej wykonała własnoręcznie.

Do podarków dołączona była kartka z życzeniami, do której Janey włożyła liścik o następującej treści:

Sweter jest ode mnie. Wydziergałam Ci też na szydełku bransoletkę przyjaźni. Mam nadzieję, że oba prezenty Ci się spodobają. Druga bransoletka jest od taty. Powiedział, że ta żaba pewnie mu nie posmakuje.

Na końcu dorysowała uśmiechniętą buźkę.

Karina przyjrzała się ponownie bransoletce z charmsami.

Żaba. Dlaczego miałyby chcieć zjeść żabę?

Nagle zrozumiała, że próbował ją w ten sposób przeprosić.

Tylko za co? Był święcie przekonany, że nigdy nie zrobi kariery łyżwiarskiej. Czyżby zmienił zdanie?

Marne szanse, pomyślała. Lindy pewnie już wybiera suknię ślubną i knuje, jak się pozbyć przyszłej pasierbicy.

Karina miała ochotę zapytać o nią w mejlu, ale nie chciała się wtrącać ani poruszać tematu, który zapewne był bolesny dla Janey. Złożyła jej więc tylko życzenia, podziękowała za prezenty i napisała, że również ma nadzieję, iż trafiła z prezentem.

Wysłała Janey sukienkę występową, dość kosztowną, kupioną w butik, w którym sama zamawiała swoje kostiumy. Była biała i zdobiona kryształkami. Karina wiedziała, że Janey – z jej ciemnymi włosami i lekko oliwkową cerą – będzie się w niej pięknie prezentować.

Dziewczynka była zachwycona.

W odpowiedzi przysłała długiego mejla, w którym rozpisywała się o Dietrichu i o tym, że znowu jest w domu – za to Lindy już nie ma, odeszła na dobre. Spytała, czy Karinie podoba się bransoletka od taty, nadmieniając, że poświęcił dużo czasu, by dopilnować, żeby artysta, który pracował dla ekskluzywnego jubilera w Denver, wykonał ją zgodnie z jego wytycznymi.

Karina była w szoku, kiedy to przeczytała, a serce zaczęło jej mocniej bić. Micah sam zaprojektował tę bransoletkę! Nie kupił jej po prostu w sklepie.

Przez chwilę obracała ją w dłoniach z zaciekawieniem. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił.

Na końcu mejla widniał dopisek:

Tata widział Ciebie i Paula podczas treningu w Jackson. Powiedział, że czuł się tak, jakby oglądał balet. Jest pewny, że zdobędziecie złoto. Będziemy Was dopingować na igrzyskach. Tylko nie mów, że nie wiesz, czy się dostaniecie. My jesteśmy tego pewni. Pozdrów Paula.

Ściskam mocno,

Janey

Karina przyłożyła bransoletkę do ust, a po policzkach spływały jej łzy. Wiedziała, że nigdy się z nią nie rozstanie. To była jej najdroższa i najcenniejsza pamiątka.

Micahowi było przykro, że błędnie ją osądził. To miłe, ale za tymi przeprosinami nic się nie kryło. O ile pamiętała, on i Lindy zrywali ze sobą już wiele razy, a ona i tak zawsze wracała. Karina nie łudziła się, że zajmie jej miejsce u boku Michaha. To rzeczywiście była mrzonka.

Podziękowała Janey za oba prezenty, napisała, że z Paulem ciężko trenują do mistrzostw, i życzyła dziewczynce szczęśliwego Nowego Roku.

Karina była kłębkim nerwów, co Paul doskonale widział.

- Znamy nasz układ na wylot - rzucił z uśmiechem, kiedy czekali na swoją kolej podczas decydującego konkursu w San Jose. - Wiemy, jacy jesteśmy dobrzy. Nie traktuj tego jak zawodów. Po prostu wyjdziemy na środek i pokażemy Janey, na co nas stać.

- Co? Janey tu jest? - spytała zdziwiona.

- Owszem - powiedział, kiwając głową. - Burt zresztą też.

Serce podskoczyło jej z radości.

Kochany Burt! Przyleciał z Janey, żeby mogła zobaczyć ich występ.

Nie zawracała sobie głowy tym, czy Janey poprosiła ojca o transport. Pewnie znowu był gdzieś z Lindy...

- Uwaga - rzucił Paul, gdy usunięto z tafli bukiety i maskotki, którymi obsypano poprzednich zawodników, i wreszcie zapowiedziano ich występ.

Wyjechali na środek lodowiska i przez chwilę stali na wpół oślepieni blaskiem reflektorów. Karina chciała poszukać Janey na trybunach, ale wolała się nie rozpraszać. Musiała się skupić na układzie. Liczyła się każda sekunda.

W środę w programie krótkim zajęli drugą lokatę. Punkty z tego występu doliczano do punktów za program dowolny, który właśnie mieli zaprezentować. Nazajutrz zaś miano ogłosić skład reprezentacji olimpijskiej, a od tej łącznej noty wiele

zależało. Mieli nadzieję, że ich ciężka praca i te wszystkie treningi się opłacą.

- Jesteśmy dobrzy, a nawet świetni. Zwyciężymy - wyszeptał Paul, gdy przyjęli startowe pozy. - Uśmiech na twarz! Pokażmy, na co nas stać!

Zaśmiała się cicho.

- Okej.

I tak zrobili. Zaprezentowali doskonały program. Janey niemal podskakiwała na trybunach, kiedy mknęli po lodzie, wykonując bezbłędne skoki.

- Są tacy dobrzy! - zapiała z zachwytem. - Re-we-la-cyj-ni!!!

- To prawda - zgodził się Burt.

Micah siedział obok i milczał jak grób. Po prostu patrzył, po cichu życząc im powodzenia, chociaż po głowie krążyły mu czarne myśli o przyszłości bez Kariny. Była niesamowita na lodzie. Cóż za poezja ruchów, cóż za talent! Jak mógł ją prosić, żeby zrezygnowała z tego wszystkiego, zamieszkała na ranczu i miała z nim dzieci? Powiedział jej, że żyje mrzonką, bo tak naprawdę chciał, by podążyła za innym marzeniem. Nic dziwnego, że nie mogła zrezygnować z łyżwiarstwa. Całe życie pracowała na tę chwilę, na to, by być najlepszą ze wszystkich.

Ponury nastrój nie opuścił go nawet wtedy, gdy wiwatował i bił im brawo, po tym, jak zakończyli pokaz i przeszli do części, w której czekali na ogłoszenie wyników.

- Zobacz! Są na pierwszym miejscu! - ucieszyła się Janey.

- Teraz wystarczy, że utrzymają tę lokatę - wyjaśnił Burt. - Ale nawet jeśli skończą w pierwszej trójce, to też mogą się zakwalifikować.

- Kiedy się tego dowiemy? - spytała.

- Jutro rano. Ale pamiętaj, że w listopadzie wygrali Grand Prix, a w marcu mistrzostwa świata. Punkty zdobyte w tych zawodach na pewno przechyliły szalę na ich korzyść.

- Obyś miał rację!

I tak właśnie było. Paul i Karina utrzymali pierwsze miejsce, wygrywając mistrzostwa USA, a nazajutrz, gdy ogłoszono skład reprezentacji, znaleźli się w gronie wybrańców.

Byli przeszczęśliwi. To miały być ich drugie igrzyska, ale tym razem mocno wierzyli, że pójdzie im lepiej niż ostatnio.

Hilde również nie posiadała się z radości. Jej podopieczni przeszli ciężką drogę, żeby wygrać. I dokonali tego dzięki jej wskazówkom i choreografii!

Po wszystkim inni łyżwiarze koniecznie chcieli z nią porozmawiać. Nie tylko oni, ale też inni trenerzy. Czują, że się zrehabilitowała. Wbrew temu, co wszyscy sądzili, dowiodła, że wcale nie jest skończona!

Karina i Paul mieli wrócić do Jackson w niedzielę. W sobotę wieczorem razem z Gerdą, bliźniakami i Hilde wybrali się na kolację do restauracji w pięciogwiazdkowym hotelu. Niedaleko przy innym stoliku siedzieli Janey, Burt i Micah.

Choć Paul powiedział Karinie, że Janey jest na widowni, była zdziwiona widokiem Micaha. Starła się unikać jego wzroku, ale on wciąż się w nią wpatrywał. Gdy kelner skończył przyjmować zamówienia, Janey podeszła do jej stolika z gratulacjami.

- Jedziesz na olimpiadę! Jestem z ciebie straaasznie dumna! - wykrzyknęła, przytulając Karinę, która się roześmiała i odwzajemniła uścisk.

- Zatem to jest twoja mała przyjaciółka - odezwała się Gerda i również rozłożyła ręce, żeby ją uściskać. - Jestem Gerda. Miło mi cię poznać. Dużo o tobie słyszałam.

- Ja o pani też. Ma pani ślicznych synków! - oświadczyła radośnie Janey.

- To małe urwisy - zaśmiał się Paul. - Ale też nasze największe szczęście.

Janey zwróciła się ponownie do Kariny:

- Tata także przesyła gratulacje. Oboje jesteśmy z ciebie dumni.

- Dziękuję - odparła chropawym głosem. Sięgnęła po

szklanek z wodą i gdy ją podniosła, Janey dostrzegła, co ma na ręce.

- Nosisz bransoletkę - rzuciła z szerokim uśmiechem.

- Jest śliczna - wyjąkała, oblewając się rumieńcem.

Janey nic już nie powiedziała, tylko wróciła roześmiana do swojego stolika.

- Nosi ją - wyjawiała ojcu.

Micah uniósł gęste brwi.

- Tę bransoletkę - dodała.

- Och - wydukał. Czuł się jak nastolatek, który zapomniał języka w gębie. Było mu miło, że ją założyła. To była śliczna bransoletka.

No tak. Pewnie tylko dlatego ją nosiła. Zadał jej tyle bólu... Nie śmiał myśleć, że może chodzić o coś innego.

Po kolacji Karina uściskała chłopców, Gerde i Paula i poma-chała im na pożegnanie, kiedy ruszyli do swojego hotelu. Zatrzymali się w różnych miejscach, a jej pokój był na górze.

- Podwieźć cię? - spytał Micah, gdy cała ich trójka wyszła na zewnątrz.

- Dziękuję, mam tu pokój. - Odwróciła wzrok, próbując ukryć rumieniec, który okrył jej twarz.

- My też - oznajmił Burt. - Janey, chciałaś zobaczyć tamtą lalkę na wystawie, prawda? - zwrócił się do dziewczynki, wskazując sklep, który wciąż był otwarty.

- A, tak!

Oddalił się z Janey, a Micah i Karina zostali sami.

Micah wsadził ręce do kieszeni eleganckich spodni i obrzu-cił ją onieśmielającym spojrzeniem.

- Widzę, że ją nosisz. - Gdy popatrzyła na niego niepewnie, wyjaśnił: - Bransoletkę.

- Och, no, tak - wyjąkała, unosząc rękę. - Strasznie się wykosztowałeś.

Dużą dłonią ujął jej nadgarstek i przytrzymał delikatnie w górze, przyglądając się ozdobie.

- Zauważyłem, że lubisz białe złoto - powiedział.

- Owszem.

- Przepraszam - rzucił krótko, nabrawszy głęboko powietrza.

Utkwiła spojrzenie w jego ciemnych oczach.

- Widziałem ciebie i Paula w Jackson tego wieczoru, kiedy wsadziłem Lindy do samolotu i zerwałem zaręczyny - kontynuował. - Obok mnie siedziała starsza para. Powiedzieli mi o waszym złotym medalu, o żonie Paula i o bliźniakach. - Odwrócił wzrok. - Poczuję się jak skończony głupek.

- Cóż, Lindy też miała w tym swój udział - stwierdziła. - Ja i Paul przytulamy się bez przerwy. Jest dla mnie jak brat, ale nie żywię do niego romantycznych uczuć i nigdy nie żywiłam. Gerda to moja najlepsza przyjaciółka. Jestem chrzestną ich synów.

- Byłem zazdrosny.

Otworzyła szeroko oczy.

- On jest ode mnie młodszy i przystojniejszy - wyjaśnił, marszcząc brwi. - No i jeździ na łyżwach tak pięknie jak ty. Jest częścią twojego świata. Świata, o którym nie mam pojęcia. Znam się tylko na biznesie naftowym i hodowli bydła. Czuję się podle, kiedy poznałem prawdę. Powiedziałem ci, że nie masz szans w zawodach, choć ani razu nie widziałem, jak jeździsz. - Ponownie spojrzął jej w oczy i dodał: - To, jak się ruszasz na lodzie, to czysta poezja. Żywy artyzm. - W jego głosie pobrzmiwał zachwyt i jeszcze coś. Coś głębszego.

Zarumieniała się.

- Dziękuję.

- Ty i Paul startowaliście w ostatnich igrzyskach, prawda?

- Tak. Mieliśmy wtedy nowego trenera. Dopiero co rozstaliśmy się z innym, który nas łajał i krytykował. Nie byliśmy tak naprawdę gotowi. Potem straciłam rodziców i złamałam nogę, więc na kilka miesięcy pożegnałam się z łyżwami. To

był dla mnie ciężki okres.

Zbliżył się do niej o krok, żeby poczuła jego ciepło i siłę.

- Po kontuzji kostki nie zamierzałaś już wracać na lód. To dlatego zatrudniłaś się u mnie.

- Bałam się - wyznała, podnosząc wzrok. - Gdyby nie Janey i jej marzenie o jeździe na łyżwach, nie wiem, czy zdobyłabym się na odwagę, żeby ponownie spróbować. Nawet mój lekarz mi to odradzał. Mówił, że powinnam zrezygnować.

Wziął głęboki oddech i zaśmiał się głucho.

- Właściwie to też tego chciałem, kiedy cię zwalniałem. - Na jego wydatnych policzkach pojawił się słaby rumieniec. - Miałem już dość ciętego języka Lindy i jej roszczeniowej postawy, nie mówiąc już o tym, jak traktowała Janey. Myślałem... - Urwał, bał się wymówić to na głos.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, spoglądając na niego z miłością.

- Myślałeś...?

Zacisnął zęby. Była piękna. I bynajmniej nie chodziło tylko o powierzchowność. Jej piękno biło ze środka.

- Myślałem, że nie masz szans w prawdziwych zawodach. Chciałem mieć więcej dzieci. Ja...

Serce waliło jej jak oszałałe.

- Ty...?

Przyłożył dużą dłoń do jej policzka i przesunął zmysłowo kciukiem po delikatnych wargach.

- Kochasz Janey, a ona kocha ciebie. Ranczo jest położone na odludziu. Myślałem, że jako początkująca łyżwiarka, choćby nawet obiecująca, nie będziesz mieć oporów, żeby porzucić to marzenie i podążyć za innym. Że zechcesz wyjść za mąż. Mieć dzieci... - Zabrał rękę. - To było, zanim się przekonałem, jaka jesteś dobra. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Nic dziwnego, że twoi rodzice tak wiele dla ciebie poświęcili. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak rewelacyjnie jeździł na łyżwach.

Czuła, że miękną jej kolana. Chciał się z nią ożenić. Chciał mieć z nią dzieci. Chciał ją prosić, żeby została, zrezygnowała z łyżwiarstwa dla niego i Janey. Nie wiedział, że była gotowa to zrobić nawet wtedy. Przecież go kochała.

- Ale to wszystko było nierealne - kontynuował, odsuwając się z wystudiowanym uśmiechem. - Masz wspaniałą karierę - powiedział, wskazując majaczącą w oddali arenę lodową. - Jestem pewien, że ty i Paul zdobędziecie olimpijskie złoto.

- Dziękuję - odparła przygaszonym głosem, a widoczny w jej oczach błysk radości nagle zgasł.

- Dopilnuję, żeby Janey i Burt byli na miejscu i dopingowali cię w Pjongczangu - dodał łagodnym tonem.

Utkwiła w nim spojrzenie. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

- O co chodzi? - spytał, marszcząc brwi.

- Ty nie przyjedziesz? - wydukała.

Rozchylił zmysłowe wargi, nieprzerwanie świdrując ją wzrokiem. Oddech uwiązał mu w gardle.

- Chciałabyś, żebym tam był? - spytał chrapliwym głosem.

- Tak - wyszeptała.

Nie zważając na tłoczących się wokół ludzi i śnieg, który zaczął delikatnie prószyć, ujął jej twarz w ciepłe, duże dłonie i nachylił się do jej ust. Przywarł do niej wargami z taką czułością, że odebrało mu dech, a jej po policzkach pociekły bezbarwne strużki łez.

Gdy poczuł ich smak, poderwał głowę.

- Płaczesz?

- To ze szczęścia - odparła cicho, wpatrując się w niego błyszczącymi oczami. - Po prostu się ze mnie wylewa.

Rozciągnął usta w uśmiechu.

- Och.

Zaśmiała się beztrosko, ktoś mógłby nawet uznać, że głupkowato. Ale życie znowu nabrało barw. Znowu było cudowne!

Podobała mu się ta zmiana, która w niej zaszła. Cieszył się, że to jego zasługa.

- Okej. Ja też z nimi przyjadę - oświadczył. - Do Pjongczangu.

- Świetnie.

Oboje się roześmiali, zawstydzeni uśmiechami gapiów.

- Domyślam się, że przez najbliższy miesiąc będziesz sporo trenować - powiedział, odsuwając się od Kariny.

- Tak, całymi dniami. Przede mną dużo pracy.

- Dbaj o siebie - rzucił.

- Ty też - odparła.

- Gdybym mógł, zabrałbym cię z nami do domu - dodał z westchnieniem.

- Gdybym mogła, chętnie bym z wami pojechała.

Serce podskoczyło mu w piersi. Ujął jej dłoń, tę, którą zdołała bransoletka.

- Podoba ci się?

- Bardzo - przyznała. - Ale mogłeś sobie darować tę żabę.

- Pomyślę, czym ją zastąpić - stwierdził ze śmiechem.

- Lubię żaby. Ale nie na lunch.

- Ja też.

Uniósł jej dłoń do ust i czule pocałował.

- Trzymaj się z dala od niedźwiedzi.

Potrzebowała chwili, zanim zrozumiała, co ma na myśli, i roześmiała się na wspomnienie tamtego zdarzenia.

- Jak się ma Dietrich?

- Cieszy się, że znów może spać w pokoju Janey. - Pokręcił głową. - Faceci potrafią być tacy ślepi...

- Nie wychodź na deszcz bez sztormiaka - zmieniła temat.

- Dobrze - odpowiedział, zatracając się w jej pięknych szarych oczach.

Wokół wirował śnieg, a oni tylko stali, pozerając się wzrokiem. Karina nie chciała odchodzić. Chciała zostać i już do końca życia się w niego wpatrywać. Niestety, nie mogła.

Janey wróciła w podskokach, szczerząc się na widok zapatrzonych w siebie dorosłych, których kochała najbardziej na świecie.

- Ładna ta lalka - oznajmiła, przykuwając ich uwagę. - Ale wolę łyżwy - dodała. - Jak dorosnę, chcę być łyżwiarką, tak jak ty - wyznała Karinie i mocno ją przytuliła.

- Możesz być, kim tylko zechcesz - odparła łagodnie, odwzajemniając uścisk. - Wystarczy, że w siebie uwierzysz.

- Wygracie z Paulem. Jestem tego pewna!

Karina rozciągnęła usta w uśmiechu, lecz gdy spojrzała na Micaha, w jej oczach zagościł smutek. Wyglądał na przybitego. Nie miała pojęcia dlaczego. Nim zdążyła zapytać, śnieg zgęstniał, a Micah rzucił:

- Pora na nas. Musimy się wyspać, bo wylatujemy z samego rana. Po drodze muszę jeszcze wstąpić do Phoenix na konferencję. Nie martw się - zwrócił się do zawiedzionej Janey. - Ty wrócisz z Burtem odrzutowcem. Pilot potem po mnie przyleci.

- Okej. Super! - wykrzyknęła.

- Popieram - wycedził Burt. - Mam trochę pracy na ranczu.

- No a jak ma się nasz Billy Joe? - spytała Karina.

- Billy Joe ma się trzymać z daleka, ot co - warknął Micah.

Karina podniosła wzrok i nagle jej twarz rozpromienił szeroki uśmiech. Nie musiała nic mówić. Zrozumiał, co znaczy ta mina.

- Może po igrzyskach wybierzemy się do kina? - zasugerował.

- Nie mówię nie - odparła z przekąsem.

Janey stała w milczeniu, ale uśmiechała się od ucha do ucha. Podobnie jak Burt.

Kolejne tygodnie minęły pod znakiem intensywnych trenin-

gów przeplatanych ze spotkaniami i publicznymi występami.

Paul miał niezły ubaw ze swojej partnerki, która każdą wolną chwilę spędzała na pisaniu z Micahem.

- Dziwię się, że jeszcze nie odpadły ci palce - natrząsał się.
- O czym, u licha, tyle ze sobą gadacie?

- O Janey. Cóż, głównie o niej.

- A poza tym?

- O zwykłych sprawach. O Dietrichu, ranczu, interesach. O tym, ile Micah zwiedził miast. - Zawahała się, lecz po chwili dodała: - O tym, jak bardzo jest samotny.

- Dobrze.

- Dobrze? - zdziwiła się.

- Tak. Skoro jest samotny, to znaczy, że z nikim się nie spotyka, no nie?

Zacisnęła wargi.

- W sumie racja - zgodziła się, kiwając głową. - Sprytnie to wymyśliłeś!

Uklonił się żartobliwie.

- Ja i Gerda też dużo gadaliśmy - zauważył.

- Wy gadaliście ze sobą non stop - podkpiwała. - I to tyle, że nie nadążaliście z pisaniem. A wtedy komórki nie były tak funkcjonalne jak dziś.

- To prawda. Nie było tylu apek.

- Otóż to. - Westchnęła. - Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co będzie po Pjongczangu - zaczęła.

- Jak to nie? - zaoponował. - Wystąpimy w kilku rewiach łyżwiarskich, żeby trochę zarobić, potem ja zajmę się nauczaniem dorosłych, a ty magisterką.

- No dobra, rozmawiałam o tym z tobą i Gerdą - przyznała.
- Ale nie z Micahem. Jemu się chyba zdaje, że jeszcze latami będę uprawiać łyżwiarstwo, zwłaszcza jeśli, nie daj Boże, nie wygramy olimpiady.

- Ja na pewno nie zamierzam. I ty też nie. Po prostu mu to powiedz.

- No nie wiem. Znaczy się, on chce mnie zabrać na randkę, jak wrócę z igrzysk, ale o niczym innym nie wspominał. No, może poza tym, że chce mieć więcej dzieci...

Brwi podjechały mu niemal pod linię włosów.

- *C'est vrai?* - spytał ze śmiechem.

Zarumieniła się.

- Ja też chcę mieć dzieci. Im więcej, tym lepiej.

- Ale on myśli, że w głowie ci tylko kariera.

- No właśnie, a ja nie wiem, jak mu to wszystko wyjaśnić i nie wyjść na... no cóż, zbyt zuchwałą.

- *Chérie* - powiedział łagodnym głosem. - Nie wyjdiesz na zuchwałą. Kto jak kto, ale na pewno nie ty.

- Coś wymyślę, jak wrócimy z Pjongczangu.

W jego oczach pojawił się błysk. Przypuszczał, że Micah wymyśli coś dużo szybciej. Ale nie powiedział tego na głos.

Janey nadal pobierała lekcje w Catelow, a Chad był zdania, że jest gotowa na następny test. Podczas jednych zajęć poruszył ten temat z Micahem.

- Jest naprawdę dobra - oświadczył. - Rzadko się zdarza, żeby dziecko w tym wieku miało w sobie tyle zapału.

- Nie brakuje jej zachęty i inspiracji. Tak to jest, kiedy ma się za przyjaciółkę światowej sławy łyżwiarce - z uśmiechem stwierdził Micah.

- To prawda. Karina jest wyjątkowa. Tak jak jej matka. - Pokręcił głową. - Nigdy nie miałem przyjemności oglądać jej na żywo, ale na YouTubie można znaleźć filmiki z jej występów. Była niesamowita. Dwa razy wywalczyła złoto na olimpiadzie. Karina z początku poszła w jej ślady i też startowała jako solistka, ale podczas zawodów w Nowym Jorku była nastawiana. To dlatego zaczęła jeździć w parze z Paulem. Dbał o jej bezpieczeństwo.

- Myślałem, że łączy ich coś nieprzyzwoitego - wyznał Mi-

cah. – Dałem jej w kość z tego powodu. Jak mogłem ją o to posądzać? Ona nie należy do tych kobiet, które uwodzą żonatyh mężczyzn.

– Racja. Jej rodzice byli głęboko religijni. Karina o tym nie mówi, ale też jest wierząca.

Micah rozciągnął usta w leniwym uśmiechu.

– Zauważyłem.

– No więc zabierze pan Janey w sobotę na test?

– Jak mógłbym jej nie zabrać?! – wykrzyknął Micah. – Karina i Paul będą mieli wtedy ostatni trening przed Pjongczangiem. Za nic w świecie tego nie przegapię, nawet jeśli będę się musiał uciec do pretekstu.

W oczach Chada pojawił się błysk.

– Proszę mi wierzyć. To nie będzie konieczne.

Micah uniósł pytająco brwi.

– Koresponduję z Kariną i informuję ją o postępach Janey. Prawie za każdym razem pyta, czy się z panem widziałem i jak się pan miewa.

– O proszę! – Wyszczrzył się w uśmiechu.

Paul i Karina akurat kończyli trening, gdy Micah i Janey podeszli do bandy. Chad przyjechał wcześniej i czekał już na lodowisku.

Karina dostrzegła znajome twarze i rzuciła się pędem w ich stronę, żeby uściskać dziewczynkę.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – wykrzyknęła, mimowolnie przeskakując wzrokiem na Micaha.

– My też się cieszymy! – odpowiedziała Janey. Pomachała do Paula i posłała mu całusa. Odwzajemnił go i podjechał do Gerdy, która czekała na niego z chłopcami kawalek dalej.

– Janey przyjechała na test. Jestem pewny, że zda go śpiwając – oświadczył dumnie Micah.

Janey przytuliła ojca.

– Pewnie, że tak! Nie dostanę się na olimpiadę, jeśli nie

zdam wszystkich testów, dlatego ciężko trenuję. Chcę pójść w ślady mojej idolki! – Spojrzała na Karinę, która się roześmiała.

– Okej, już czas! – zawołał Chad.

– Życz mi szczęścia! – rzuciła Janey, zdejmując ochraniacze i podając je ojcu wraz z płaszczem.

– Nie będzie ci potrzebne – zripostował Micah.

Janey wyszczerzyła się w uśmiechu i dołączyła do grupki dzieci, które również czekały na egzamin.

– W kółko ogląda wasze występy na YouTubie – zwrócił się do Kariny. – Ja zresztą też – dodał ze wzruszeniem ramion.

Zaczerwieniła się.

– Gerda nas nagrała i wrzuciła filmiki do sieci.

– I dobrze zrobiła. Przynajmniej tak mogę nasycić oczy twoim widokiem – powiedział chrapliwie.

– Mógłbyś tu przyjechać... – zaczęła, ale jej przerwał, kręcąc głową.

– Nie kiedy trenujesz – zaproponował. – Musisz się skupić. Chcę, żebyś wygrała, nawet jeśli to oznacza rozłąkę. – Westchnął z rezygnacją.

Podniosła wzrok, wpatrując się w jego oczy.

– Tylko do igrzysk.

– Chodzi mi o to, co będzie potem – doprecyzował. Niemal pożerał ją wzrokiem. Bliskość jej ciała sprawiała, że czuł się nieswojo. Pragnął więcej. Znacznie więcej. – Nie skończy się na tych jednych zawodach, prawda?

Sposób, w jaki to powiedział, dał jej do zrozumienia, że się tego obawiał. To do reszty odebrało jej pewność siebie.

– Cóż, jeśli teraz przegramy, to pewnie będziemy dalej próbować – przyznała. – A jeśli wygramy... – Zawahała się. – To czekają nas publiczne występy i pokazy. Wielu łyżwiarzy, którzy zakończyli karierę sportową i przeszli na zawodowstwo, jeździ w rewii.

- Pewnie wiązą się z tym częste podróże - zauważył.

- Niestety - potwierdziła z westchnieniem. - Większość życia spędziłam na walizkach, jeżdżąc z jednych zawodów na drugie.

Wsadził ręce w kieszenie i spojrzał w dal na Janey.

- Medale na pewno są tego warte - stwierdził.

Karina zmusiła się do uśmiechu. Po tych wszystkich wiadomościach, które ze sobą wymienili, spodziewała się po nim czegoś więcej. Czyżby za dużo sobie dopowiedziała? Sądziła, że to początek nowego związku, a on jakby się wycofywał.

- Cóż, wiele dla nich poświęcamy - odparła wreszcie, nabrawszy powietrza. - Chyba mamy na ich punkcie obsesję.

- To zrozumiałe, jeśli trenuje się tyle lat, żeby osiągnąć wymarzony cel.

- A ty masz jeszcze jakieś cele w życiu? - spytała niepewnie.

Wzruszył ramionami.

- Nie tyle, co kiedyś - wyznał. - Chciałbym mieć więcej czasu dla Janey i patrzeć, jak dorasta. Trochę ją zaniedbałem. Praca całkiem mnie pochłonęła. Dopiero do mnie dociera, ile czasu spędziłem w podróży, zajmując się interesami.

- Janey wie, że ją kochasz.

- Owszem. Ale okazjonalne wizyty w domu nie wystarczą, żeby tego dowieść. - Spojrzał na nią z powściągliwą miną. - Robisz to nie tylko dla siebie, ale również dla rodziców?

Skinęła wolno głową.

- Byli ze mnie tacy dumni i tacy szczęśliwi, kiedy ja i Paul zostaliśmy wybrani do reprezentacji i mieliśmy jechać do Soczi. A potem wszystko poszło nie tak. Wiem, że byli rozczarowani, choć dobrze to ukrywali... - Zawiesiła głos, wspominając z goryczą dzień, w którym rozbił się ich samolot. - Ale nawet wtedy nas nie skreślili i już myśleli o kolejnych igrzyskach. Tak mocno w nas wierzyli. - Poruszyła się nerwowo. - Chcę dowieść, że jestem godna pokładanej we mnie wiary, a ich poświęcenie nie poszło na marne.

- Na tych igrzyskach dacie im powód do dumy - powiedział z przekonaniem. - Wygracie. Jestem tego pewny.

Podniosła wzrok. W jej szarych oczach krył się smutek.

- Zrobimy, co w naszej mocy - odparła. - Wyżej głowy nie podskoczysz.

Chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle zjawiała się Janey.

- Udało się, zdałam! - wykrzyknęła. - Raz nie wylądowałam za czysto, ale i tak zdałam!

Karina parsknęła śmiechem.

- Sędziowie przymykają oko na drobne błędy - stwierdziła, przytulając dziewczynkę. - Coś o tym wiem. W twoim wieku ciągle je popełniałam!

Micah zerknął na zegarek.

- Przykro mi to mówić, ale musimy już iść. Lecę dziś do Nowego Jorku. Tak, wiem - rzucił, widząc kwaśną minę Janey. - Obiecałem, że będę mniej podróżował. Pracuję nad tym. Muszę pomyśleć, jak rozdzielić obowiązki, żebym mógł się trochę wycofać i pozwolić, żeby firma sama na siebie zarabiała. Okej?

- Okej, tato.

- Zuch dziewczyna. - Przeniósł wzrok na Karinę. - Życzyłbym ci szczęścia, ale wiem, że nie będzie ci potrzebne - powiedział cicho. - To jest twój rok.

- Dziękuję - odpowiedziała chropawym głosem.

- Będziemy cię dopingować! - dodała Janey. - Już się nie mogę doczekać.

- Ja też - skłamała Karina. Właśnie sobie uświadomiła, że bardziej niż na olimpijskim złocie zależało jej na Micahu. Czowała niemal fizyczny ból, kiedy patrzyła z uśmiechem, jak zmierza za Janey na trybuny, żeby pomóc jej zdjąć łyżwy.

Nie odprowadziła ich wzrokiem do drzwi. Serce pękłoby jej chyba na pół, gdyby ujrzała, jak Micah znika z jej życia. Była pełna nadziei. A potem w ciągu kilku minut wszystko się zmieniło.

Podjechał Paul i na widok jej miny zmarszczył brwi.

- Wszystko gra?

- Pewnie - odparła ze sztucznym uśmiechem. - Na czym to skończyliśmy...?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zanim się spostrzegli, treningi dobiegły końca i cała piątka – Paul, Gerda, chłopcy i Karina – poleciała do Pjongczangu.

To było fascynujące przeżycie. Pjongczang był jednym z niewielu miejsc na świecie, których Karina jeszcze nie odwiedziła.

Po ekscytującej ceremonii otwarcia z paradą sportowców i niesamowitą muzyką, odkryli nowe, przepyszne potrawy, których wcześniej nigdy nie jedli. Potem dołączyli do innych łyżwiarzy, żeby się przywitać i życzyć sobie nawzajem powodzenia. Wielu z nich startowało w zawodach od lat i Paul i Karina zdążyli się z nimi zakolegować. Jedną z rzeczy, które Karina uwielbiała w międzynarodowych konkursach, było to poczucie wspólnoty, zupełnie jakby wszyscy łyżwiarze byli jedną wielką rodziną. Wszyscy mieli ten sam cel, te same oczekiwania i wszystkich rozpieszczała ta sama duma z udziału w historycznym wydarzeniu. Ale złoty medal był tylko jeden. Dochodziło więc jeszcze obsesyjne pragnienie zwycięstwa, tego, by być najlepszym.

– Co, jeśli przegramy? – spytała zestresowana Karina.

Ona i Paul czekali na swój występ w programie krótkim. Trybuny były pełne. Po hali niósł się głośny gwar. łyżwiarze, którzy startowali przed nimi, właśnie otrzymali noty okraszone dzikimi oklaskami. Tymczasem z tafli sprzątnięto kwiaty i maskotki. Nadeszła ich kolej.

– Po prostu damy z siebie wszystko. To wystarczy – wyszeptała. – A teraz się uśmiechnij! Głowa do góry! Janey na pewno gdzieś tam jest i na nas patrzy. Pojedziemy tylko dla niej, dla Gerdy, chłopców i Hilde. Dobrze?

Nabrała głęboko powietrza i przywołała na twarz szeroki uśmiech.

– Dobrze!

Wyjechali na środek lodowiska, przyjęli startowe pozy i rozpoczęli występ. To był dynamiczny, zawiadacki numer, jakże odmienny od tego, co przygotowali na program dowolny. Podczas jednego ze skoków Karina wylądowała nieco niepewnie, ale szybko się pozbierała. Kiedy znów dołączyła do Paula, spojrzała na niego i się skrzywiła.

- Nie martw się - wyszeptał. - Każdemu się zdarza!

- Nieprawda - zaproponowała.

- Jedź dalej!

Roześmiała się i już do końca pojechała bezbłędnie. Później przeszli do strefy dla zawodników, gdzie sącząc wodę z butelek, z niecierpliwością oczekiwali na noty. Hilde również siedziała jak na szpilkach.

Wreszcie ogłoszono wyniki. Pomimo błędu Kariny otrzymali wysokie oceny. Ale to nie wystarczyło, żeby znaleźli się na pierwszej pozycji.

- Spokojnie - pocieszała ich Hilde. - Poprawicie się po programie dowolnym. Zobaczycie.

- Mam nadzieję! - powiedziała z westchnieniem Karina i rozejrzała się po trybunach. - Widziała pani Micaha i Janey?

- Niestety nie - odparła.

Karina posmutniała. Micah obiecał, że będą. Coś ich powstrzymało? Jakiś wypadek? Może ktoś się rozchorował? Oczywiście była też inna możliwość. Micah mógł tak tylko powiedzieć, żeby sprawić radość córce. Co, jeśli wcale nie zamierzał przyjeżdżać na igrzyska?

Jeszcze bardziej się zasmuciła. Wcześniej dał jej do zrozumienia, że po wszystkim wybiorą się na randkę. Ale to było, zanim mu wyjaśniła, co czeka ją w przyszłości. Potem wydał się bardziej wycofany. Co, jeśli nabrał wątpliwości? Co, jeśli zatęsknił do Lindy?

- Przestań się zadręczać - powiedział Paul. - Jeśli go nie ma, to pewnie z ważnego powodu. Nie bierz sobie tego do serca. Zaszliśmy tak daleko. Musimy dać z siebie wszystko, tak?

Spojrzała na swojego partnera i przyjaciela i odparła z uśmiechem:

- Tak!

Późnym wieczorem poszli coś zjeść, a potem udali się do łóżek. W tym czasie nikt nie dzwonił. Karina nie mogła zasnąć; zastanawiała się, czy Micah, Janey i Burt w ogóle dotrą. Dwa razy zrywała się do telefonu, żeby wysłać Micahowi wiadomość, lecz za każdym razem rezygnowała. W końcu miał jej numer. Gdyby chciał, na pewno by się odezwał. Nie zamierzała się mu narzucać.

Resztę wolnego czasu spędziła z Paulem, Gerdą i chłopcami na zakupach i zwiedzaniu, starając się nie myśleć o finałowym konkursie aż do ostatniej chwili. A kiedy wreszcie nadszedł ten moment, była cała w nerwach.

Zanim przyszła ich kolej, minęły chyba wieki. Kiedy tak czekali, Karina przeczesywała wzrokiem trybuny, licząc, że wśród publiczności znajdzie znajome twarze. Ale nic z tego.

Co gorsza, od wyjazdu ze Stanów nie otrzymała od Micaha żadnej wiadomości. Niepokoiło ją to, ale nie mogła sobie pozwolić na roztrząsanie tego w myślach. Musiała się skupić na programie. Ona i Paul, jego bliscy i jej rodzice poświęcili tak wiele, żeby dostali się na igrzyska. W Stanach kibicowało im tylu fanów i cały Związek Łyżwiarski. Nie mogli zawieść tych wszystkich ludzi, nie mogli zawieść siebie. Jeśli Micah się nie pojawi, to trudno. Nic na to nie poradzi.

Właściwie to bardziej martwiło ją coś innego. To, że Lindy mogła do niego wrócić i odnowić zaręczyny. W końcu nieraz się już schodzili. Jeśli Lindy zagięła na niego parol, mógł zapomnieć o tym wszystkim, co wyznał Karinie. Mężczyźni mają słabość do pięknych kobiet, a taka właśnie była Lindy.

- Przestań się zamartwiać - rzucił Paul, zanim wyszli na lód. - Musisz się skupić. To decydujący moment, dzieciaku.

Roześmiała się.

- Wiem i wcale się nie zamartwiam. Po prostu się stresuję. Ostatnio się poślizgnęłam...

- Tym razem się nie poślizgniesz - oświadczył z absolutną

pewnością. – Świat będzie nasz. Nigdy nie byłem tego tak pewny. Zwyciężymy.

Słyszając jego entuzjazm, zaśmiała się i przytaknęła:

– Tak. Zwyciężymy!

Wywołano ich nazwiska. Wyjechali na taflę, zajęli pozycje i czekali na muzykę. Nagle rozległy się pierwsze dźwięki Rachmaninowa, tak piękne, że aż chwytaly za serce. Były niczym balsam dla duszy.

Karina spojrzala na Paula. Był jej opoką. Całą uwagę skupiła na nim, na muzyce i programie. Wszystko wokół zniknęło.

Mieli niewiele do stracenia. Byli na gwarantowanym trzecim miejscu. W najgorszym wypadku zdobędą brąz. Nie zmieniłby tego nawet ponowny błąd.

Ruszyli pełną parą i pojechali jak nigdy dotąd, niczego nie oczekując, na nic nie licząc, po prostu żyjąc chwilą i ciesząc się każdą sekundą swojego spektakularnego występu.

Kiedy skończyli, ludzie zerwali się z miejsc. Publiczność szalała. Zewsząd błyskały flesze aparatów, a hala dudniła od gromkich braw. Karina spojrzala na Paula ze łzami w oczach.

– Idealnie – wyszeptał.

– Idealnie – powtórzyła z uśmiechem.

Kłaniając się, zlustrowała wzrokiem trybuny. Nie żeby ktoś szukała, lecz gdy ujrzała charakterystycznego Stetsona, jej oczy rozbłysły. Obok siedziała mała dziewczynka.

Micah i Janey! Przyjechali! Wszystko widzieli!

– Micah tu jest! – wyszeptała podnieconym głosem. – I Janey!

– Ha! Wiedziałem – oznajmił triumfalnie.

Zjechali z tafli, a Hilde ich uściskała.

– Wygramy. Wiem to!

– Trzymajmy kciuki – powiedziała szeptem Karina.

– Nie ma potrzeby – oświadczył Paul, gdy na wielkim ekranie wyświetliły się ich wyniki. – A nie mówiłem?! Pierwsze

miejsce!

- Żebyśmy tylko utrzymali prowadzenie... - wydukała cicho Karina.

- Trochę wiary - rzuciła Hilde, przytulając ją dla otuchy. - To nasz wieczór!

I rzeczywiście na koniec występów, po podliczeniu wszystkich punktów, Paul i Karina wciąż byli na pierwszym miejscu.

Udało się! Zdobyli złoto!

Ceremonia wręczenia medali była niezwykle emocjonująca. Trzy najlepsze pary wyjechały kolejno na środek tafli i zajęły miejsca na podium, otrzymując brawa od publiczności. Następnie wszyscy się uściskali, dając wyraz sportowej postawy w uznaniu bólu i blasku towarzyszących zawodom.

Gdy na szyjach Paula i Kariny zawisły złote krążki, oboje spojrzeli na siebie, a potem na tłumy, płacząc ze szczęścia wśród burzy oklasków.

Pierwsi na świecie. Wow!

Wywiady, których później udzielali, zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Karina bardzo pragnęła zobaczyć się z Micahem i Janey, ale tym razem obowiązki miały pierwszeństwo.

Razem z Paulem uśmiechali się do kamer, prezentowali medale, gratulowali innym łyżwiarzom świetnych występów i dziękowali wszystkim, którzy pomogli im się dostać na igrzyska. To była długa lista.

Kiedy wreszcie mieli trochę wolnego czasu, Karina poszła poszukać Micaha i Janey, ale nigdzie nie mogła ich znaleźć.

Zdesperowana, wysłała Micahowi wiadomość:

Jesteście z Janey w jakiejś restauracji?

Odpowiedź przyszła dopiero po pięciu minutach:

Przepraszam, mogliśmy zostać tylko na Wasz zwycięski występ. Wracamy już do Stanów. Gratulacje.

To wszystko. Liczyła, że będą mogli spokojnie usiąść i porozmawiać, również o tym, dlaczego zaczął się od niej odda-

lać. Ale jego już nie było.

Z trudem powstrzymywała łzy.

- Tak mi przykro - powiedział Paul, odgadując z wyrazu jej twarzy, co się stało. - Nie zostali?

- Napisał, że musieli wracać do domu - wyjaśniła, ocierając łzy. - No nic. Złoto! Dasz wiarę? Jesteśmy najlepsi na świecie!

- A jakże!

- Dostałam propozycję udziału w rewii - oznajmiła Karina.

- Ja też!

- I co ty na to?

- Zgodzę się, jeśli i ty się zgodzisz.

- Jeden czy dwa angaże by się przydały, ale tylko po to, żeby zarobić na college - stwierdziła. - A w trakcie studiów mogłabym uczyć jazdy na łyżwach.

- Myślałem o tym samym - wyznał z westchnieniem. - Mam już dość życia na walizkach. Chciałbym uczyć dorosłych. Poza tym też mógłbym trenować łyżwiarzy. Wiesz co? Nieważne, czego oczekują od nas inni. Zróbmy to, na co sami mamy ochotę.

- Zgoda! - przytaknęła z uśmiechem.

Ostatecznie przystali na jednorazowe występy w prestiżowych eventach, włącznie z rewią, ale postawili sprawę jasno: nie zamierzali jeździć profesjonalnie ani startować w zawodach. Chcieli podążać innymi ścieżkami kariery.

To była słuszna decyzja. Bądź co bądź, zawsze mogli wrócić do łyżwiarstwa. A organizatorzy rewii zapewnili, że jeśli zechcą, mogą występować w show gościnnie. Karinie spodobał się ten pomysł, bo byłoby jej łatwiej opłacić studia. Paul również uznał, że dodatkowa gotówka nie zaszkodzi; mógłby odłożyć trochę na edukację chłopców.

Obiecali, że to przemyślą.

A potem wrócili do domu.

Karina nadal utrzymywała kontakt z Janey. Ilekroć z nią rozmawiała, drżała na myśl o tym, że Micah i Lindy znów mogli do siebie wrócić. Ale nic na to nie wskazywało. Brak informacji o Lindy trochę ją uspokoił, dopóki Janey nie napomknęła, że tata przywiózł na ranczo swoją osobistą asystentkę, żeby pokazać jej bydło. Janey ją lubiła, przynajmniej nie krzychała. Ale było za wcześnie, by wyrokować.

Świadomość tego, że Micah spotyka się z kimś innym, bardzo ją przygnębiła. Żeby o tym nie myśleć, rzuciła się w wir nauki. Jeden z adiunktów wykładający geologię zaprosił ją na randkę. Samotna i pogrążona w smutku, zgodziła się.

Okazało się jednak, że nie mają ze sobą wiele wspólnego. Jedli hamburgery z frytkami, a on w kółko pytał o jakichś kamieniach, aż w końcu Karina zapragnęła zdzielić go jednym po głowie. Potem odwiózł ją do domu i nawet nie próbował pocałować na pożegnanie. W sumie dobrze, bo i tak chciała go spuścić na drzewo. W życiu nie była na tak nudnej randce.

Opowiedziała o niej Janey, lecz przemilczała, jaka to była męczarnia. Skoro Micah umawiał się z innymi, to niech wie, że ona nie jest gorsza!

Nie wspomniała również o tym, że zaczęła studiować w miejscowym college'u. Micaha i tak by to nie obchodziło. Najwyraźniej był szczęśliwy ze swoją asystentką. Najważniejsze, żeby była miła dla Janey. Tylko to się liczyło.

Właśnie skończyła zajęcia i wracała pieszo do domu, gdy nagle tuż przed budynkiem zobaczyła niezwykle drogi sportowy samochód. Najwyraźniej ktoś miał bogatych gości.

Pomyślała o Micahu i ciężko westchnęła. Nie widziała go od miesięcy. Tak ją to przygnębiało, że straciła dawną pasję i zapął do jazdy, a na lodowisko zaglądała tylko sporadycznie.

Przekręcała akurat klucz w zamku, gdy zza pleców dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się i ku swojemu zdziwieniu zobaczyła Micaha. Miał na sobie bardzo twarzowy granatowy garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat. Brakowało tylko stetsona.

Gdy do niej podszedł, serce zaczęło jej galopować.

Na widok książek, które trzymała w ręku, zmarszczył brwi. Na studiach korzystali głównie z wydań elektronicznych, z wyjątkiem dwóch przedmiotów, które jeszcze nie doczekały się cyfrowych podręczników.

- A to co? - spytał. - Wracasz z biblioteki?

- Z zajęć - odpowiedziała.

- Z zajęć?

- Kończę licencjat z historii - wyjaśniła.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony.

- Myślałem, że ty i Paul występujecie w rewii.

- Tylko okazjonalnie, żebym mogła opłacić college. Studia kosztują.

Jego wyraz twarzy nagle się zmienił.

- Sądziłem, że rewia jest tym, co zamierzacie robić.

- Mamy już dość życia na walizkach - powiedziała po prostu. - Paul chce być obecny w domu i uczestniczyć w życiu dzieci. Poza tym tęskni za Gerdą, a gdy chłopcy poszli do zerówki, ona nie może tak dużo podróżować.

- Rozumiem. - Wcale nie, ale wypadało tak powiedzieć.

- Napijesz się kawy? - zaproponowała.

- Chętnie. Czekam tu od godziny. Miałem nadzieję, że się pojawisz. Byłem na lodowisku, ale cię tam nie zastałem.

- Janey ci powiedziała, że wróciłam do Jackson. - Wpuściła go do mieszkania i przeszła do kuchni.

- Owszem.

Nastawiła wodę na kawę.

- Jak jej idzie w szkole?

- Na razie dobrze. - Przysiadł na stołku przy blacie i patrzył, jak się krząta po kuchni. Właściwie to nie mógł odebrać od niej wzroku.

- To świetnie.

Odetchnął chrapliwie.

- Okej, no to jak to jest z tym profesorem geologii, z którym się niby spotykasz? - zapytał bez ogródek.

Zdumiona otworzyła szeroko usta.

- A jak to jest z tą asystentką, która spędziła noc na ran-
czu? - odgryzła się.

W jego oczach natychmiast pojawił się dawny błysk. Roze-
śmiał się głębokim, gardłowym głosem, a ona jak zwykle się
zarumieniła.

Podniósł się z krzesła i objął ją w talii, przyciągając lekko
do siebie.

- Miałem nadzieję, że jakoś na to zareagujesz.

Przygryzła dolną wargę.

- Nie zostałeś w Pjongczangu - zripostowała.

- Nie wiesz, jak bardzo tego pragnąłem! - odpowiedział -
Ale wokół ciebie roiło się od reporterów. Nie chciałem psuć
tak ważnej dla ciebie chwili. To był twój moment sławy.
Wiem, jak ciężko na to pracowałaś.

- Oddałabym wszystko, żeby tylko się z tobą zobaczyć - od-
parła ponętym głosem.

- Och, skarbie - wycedził. - Tak mi ciebie brakowało!

Pochylił się i pocałował ją łapczywie, a ona zaplotła mu
ręce na szyi i odwzajemniła pocałunek z taką zachłannością,
jakby już więcej miała go nie zobaczyć. On najwyraźniej czuł
się tak samo, bo bardzo długo nie odrywał ust, żeby zaczerp-
nąć powietrza.

Tuląc ją w ramionach, przeniósł wargi na jej szyję.

- Miałaś wszystko. Dlaczego wróciłaś do college'u?

Jeszcze mocniej objęła go za szyję.

- Chcę uczyć w podstawówce - wyjaśniła. - Do licencjatu
został mi jeszcze jeden semestr, a za kolejne dwa czy trzy
lata zdobędę uprawnienia pedagogiczne.

Podniósł wzrok i utkwiał go w jej jasnoszarych oczach.

- Nie chcesz już więcej jeździć? Miałaś wszystko, czego

pragnęłaś!

- Nie, nie miałam. - Uniosła rękę i przesunęła palcami po jego pięknie wyrzeźbionych ustach. - Sława kosztuje, a jej ceną jest samotność.

- Doprawdy?

- Tak. Brakowało mi Janey. I... ciebie też. Janey napisała mi, że wróciłeś do domu z asystentką...

- Owszem, tak ci napisała - odparł ze śmiechem.

Zaparło jej dech.

- Słucham?

- Chciałem sprawdzić, czy ci na mnie zależy. Choć trochę. Gdybyś się rozzłościła, tobym wiedział - wyznał. - Ale ty w ogóle tego nie skomentowałaś.

- Aż do dziś.

Przechylił głowę i przyjrzał się badawczo jej ślicznej, zarumienionej twarzy.

- Zatem nie chcesz kontynuować łyżwiarskiej kariery, mimo iż zdobyłaś olimpijskie złoto?

Uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Chcesz uczyć - dodał i zacisnął usta.

- Tak, bardzo. Kocham dzieci.

- Ciekawe, bo ja też.

Szczęśliwa wciągnęła głęboko powietrze. Jego ciemne oczy wyrażały więcej niż tysiąc słów.

Poluzował uścisk i wyszeptał:

- Mam pewien pomysł.

Usłyszała w jego głosie figlarny ton i odsunęła się niepewnie, widząc szelmowski błysk w jego oku.

- Posłuchaj - odchrząknęła, przeczuwając, że będzie próbował ją uwieść. - Wiem, że to staroświeckie i sztywniackie, ale...

- Wyłącz ekspres i chodź ze mną.

Wypuścił ją z objęć.

- Ale kawa właśnie się zaparzyła - zaprotestowała.

- Poczekaj. No chodź.

Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Czekał cierpliwie przed drzwiami, aż dobędzie klucza i przekręci go w zamku.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- To niespodzianka.

Zaprowadził ją do swojego sportowego wozu i usiadł za kierownicą.

- Jesteś niepokojąco tajemniczy - odezwała się z sąsiedniego fotela.

- Bez obaw, ucieszysz się.

- Skoro tak mówisz.

Uśmiechnął się, nie dowierzając, z jakim spokojem przyjmowała wszystko, co się działo. Całkiem inaczej niż Lindy, która nigdy nie przepuszczała okazji do wszczęcia kłótni. Po omacku odszukał jej dłoń i zamknął ją mocno w swojej. Westchnęła i odwzajemniła jego uścisk.

- A co z Paulem? - spytał zniechęcony.

- Nie ma takich ambicji jak ja. - Zaśmiała się. - Chce się zająć kształceniem dorosłych. Do tego nie potrzeba dyplomu magistra.

- Rozumiem.

- Zamierza również pracować jako trener.

- Też byś tak mogła - zasugerował.

- Nie, jeśli będę uczyć w szkole na cały etat... - zaczęła, lecz Micah jej przerwał.

- Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przed budynkiem sądu.

- Co tu robimy? - spytała, marszcząc brwi.

- Wspominałaś o pracy z dziećmi - odpowiedział, otwierając jej drzwi. - Mam coś w sam raz dla ciebie.

Roześmiała się.

- Mam pracować dla miasta? - spytała zdezorientowana.

- Zobaczysz.

Zaprowadził ją prosto do urzędnika stanu cywilnego, który powitał ich z uśmiechem.

- Czym mogę służyć? - spytał.

- Chcielibyśmy uzyskać zezwolenie na zawarcie małżeństwa - oświadczył Micah.

- Oczywiście!

Oczy Kariny zaszkliły się od łez. Nie przypuszczała, że jest gotowy na takie zobowiązanie. Podniosła wzrok i utkwiała w nim zdumione spojrzenie.

- Nie martw się - powiedział czule.

Odetchnęła i posłała mu uśmiech.

Micah załatwił zezwolenie i uiścił opłatę, a potem pojechał prosto do miejscowego jubilera.

- Obrączki - wyjaśnił. - Ich też nie może zabraknąć.

- Och.

Zaciągnął ją do sklepu, kierując się ku witrynie z najdroższą ślubną biżuterią.

- Mają być na zawsze - wyszeptał. - Kupmy więc coś, co będziemy mogli przekazać Janey.

Łzy zalały jej policzki.

- To ze szczęścia? Znów się z ciebie wylewa? - zażartował, przytulając ją do siebie.

- Żebyś wiedział - przytaknęła.

Wybrała komplet z białego złota z szafirami zamiast brylantów. Najpiękniejszy, jaki w życiu widziała.

- Zostało już tylko jedno - dodał, gdy wrócili do auta. - Ale najpierw... - Wyjął z pudełka pierścionek zaręczynowy i wsunął jej na palec, czule całując. - Zapomniałem zapytać, ale czy zechcesz...?

- Och, tak - wyszeptała. - Tak! - Pragnęła tego z całego serca.

Pochylił się ku niej i musnął ustami jej usta.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyjęłaś oświadczyzny. Kamień z serca.

- Dlaczego? - spytała w roztargnieniu.

- Cóż, wynająłem zespół i catering, i mam już dogadanego pastora. Udzieli nam ślubu na ranczu w tę niedzielę...

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Ale, ale...

- Ale przecież jeśli mnie kochasz, a co do tego nie mam wątpliwości, to nie będziesz chciała zwlekać.

Nie przestawała się w niego wpatrywać.

- Skąd ty...?

- Janey nie ma przede mną tajemnic. Mówi mi wszystko - odparł z szelmowskim uśmiechem.

Wszystko...

Przypomniała sobie te żalosne wiadomości, które wysłała do Janey. Te, w których martwiła się o jej ojca, dopytywała, jak się ma i czy się za bardzo nie przepracowuje.

- Pokazała ci wiadomości - jęknęła.

- Wszystkie, bez wyjątku. Byłem pewny, że nie będziesz chciała zamieszkać na stałe na odludziu i związać się z kimś, kto ma już rodzinę. Zwłaszcza że dopiero co wygrałaś igrzyska. Byłem przybity i pewnie wyglądałem tak źle, jak się czułem, bo Janey przyniosła mi swój telefon i zostawiła z wyświetlonymi wiadomościami, które od ciebie dostała.

- Przebiegła lisiczka - zaśmiała się Karina.

- Kocha cię. - Odgarnął jej włosy z twarzy i dodał z powagą: - Ja też cię kocham. Całym sercem. Popełniłem mnóstwo błędów, ale jeśli mi pozwolisz, to zrobię wszystko, żeby ci to wynagrodzić. Chciałbym mieć z tobą gromadkę dzieci. Wiesz, żeby mieć komu przekazać ranczo i biznes naftowy.

- Też bym tego chciała. Bardzo - odparła chropawym głosem.

Zacisnęła wargi.

- No więc skoro jesteście już zaręczeni...?

- Co? Nie!

Uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Nie! - powtórzyła, oblewając się rumieńcem. - Chcę cały pakiet: ceremonię, niepokój oczekiwania, całą tę nerwówkę, noc poślubną, po prostu wszystko.

- Panno Carter! - wykrzyknął. - Nie sądzisz chyba, że chcę cię uwieść?

Odchrząknęła.

- Cóż... - zaczęła, ale urwała, słysząc jego chichot.

- Chciałbym, żebyś przyjechała na weekend. Możesz zająć swój stary pokój, a Burt i Janey będą strzec twojej cnoty. A co tam, Dietricha też postawimy na straży. Może nawet z tobą spać, jeśli przez to poczujesz się bezpieczniej.

Parsknęła śmiechem i mocno go przytuliła.

- Och, naprawdę cię kocham.

- Zauważyłem. No dobrze. Ostatni przystanek.

Pojechali do butiku, jedyne takiego w mieście.

- Na wystawie widziałem suknię ślubną - wyjaśnił. - Ilekroć przyjeżdżałem tu z Janey, nie mogłem się na nią napatrzeć. Wyobrażałem sobie, jak byś w niej wyglądała.

- Ale może na mnie nie pasować, a skoro ślub ma być w niedzielę...

- Sprawdziłem. To twój rozmiar - wyszeptał. - Chodźmy. Zaraz się przekonasz.

Wszedł z nią do sklepu. Na widok Kariny projektantka uniosła brwi i zachichotała.

- Panie Torrance, czyżby się zgodziła?

- Owszem - odparł. - I nawet nie musiałem wpędzać jej

w poczucie winy, przyznając się, że już zamówiłem dla niej suknię.

- Co takiego? - wykrzyknęła Karina. - O mój Boże!

- Czuję się, jakbym znała panią od lat - powiedziała radośnie właścicielka butik. - Pan Torrance wciąż mówi o pani.

Karina spojrzała na niego z miłością.

- Ja mam tak samo - wyznała.

- Proszę przymierzyć. Chcę mieć pewność, że pasuje. Jeśli będą potrzebne poprawki, zrobię wszystko, żeby na jutro była gotowa - obiecała.

Suknia leżała jak ulał, ale Karina była przesądna i nie pokazała się w niej ukochanemu.

Właścicielka ostrożnie włożyła kreację do pokrowca i kiedy Micah uregulował rachunek, wręczyła ją przyszłej panie młodej.

- Życzę wam, żebyście byli ze sobą tak szczęśliwi, jak ja ze swoim mężem. I to już od trzydziestu lat - powiedziała na pożegnanie, przytulając Karinę.

- Dziękuję. Suknia jest cudowna.

- Koniecznie muszę mieć zdjęcie na wystawę.

- Dopilnuję, żeby je pani dostała - oświadczył Micah.

Kilka godzin i kilka namiętych pocałunków później Karina siedziała na fotelu wtulona w pierś narzeczonego.

- Chciałabym wrócić z tobą do domu - westchnęła z żalem.

- Ale jutro z samego rana mam zajęcia i ćwiczenia praktyczne, do których muszę się przygotować.

- Cierpliwości, niedługo weekend - odparł w zadumie. Miał rozwiązany krawat i rozchełstaną koszulę. Ona siedziała w rozpiętej bluzce i zsuniętym staniku.

Pochylił się, przykładając wargi do jej nagiej, miękkiej piersi.

- Świetnie się dopełniamy.

- Owszem. - Roześmiała się, dotykając jego ust. - Pewnie

uważasz, że jestem śmieszna i strasznie staroświecka.

Uciszył ją pocałunkiem.

- Też chcę to zrobić, jak należy. Dać Janey dobry przykład. Nie popisałem się z Lindy - przyznał, kręcąc głową. - Omal nie popełniłem fatalnego błędu. Nadal nie potrafię zrozumieć, jak mogłem być taki ślepy.

- Czasami nie dostrzegamy tego, co mamy tuż przed oczami - powiedziała kojącym głosem. - Kochasz Janey. I ona o tym wie.

- Chciałaby mieć rodzeństwo - wyszeptał z uśmiechem. - Ale możemy z tym poczekać, aż skończysz studia.

- W ciąży też można studiować - zauważyła. - Tak się składa, że część studiów magisterskich mogłabym odbyć na odległość. Już, yyy, o to pytałam.

Zaśmiał się.

- Miałaś jakieś plany?

- Raczej nadzieję. - Popatrzyła na niego badawczo. - Pragnę cię ponad wszystko. Bardziej niż jeździć na łyżwach. A to nie byle co.

- Ja też cię pragnę. - Pocałował ją zachłannie, po czym wstał razem z nią. - Długo nie byłem z kobietą i trochę sobie nie ufam. Lepiej już wrócę do domu. Przyjadę po ciebie w piątek. Ile masz zajęć w przyszłym tygodniu?

- Jeden z moich wykładowców idzie na operację, więc tylko jedno, w czwartek rano.

- Świetnie - stwierdził z błyskiem w oku. - Polecimy do Nassau na trzy dni. Taka krótka podróż poślubna.

- A co z Janey...?

- Zostanie z Gerdą i Paulem - oświadczył. - Tak, już ich pytałem.

- Proszę, proszę. Gerda słowem nie pisnęła!

- Zabroniłem im mówić - zaśmiał się. - Janey będzie w dobrych rękach.

- Na pewno. Czyli Nassau?

- Tak. Byłaś tam?

- To akurat jedno z garstki miejsc, których nie odwiedziłam
- wyznała. - Kiedyś Bahamy zamieszkiwali piraci. Wiesz, historia...

- Jeśli chcesz, mogę nosić przepaskę na oku i załatwić jakąś papugę - rzucił z przekąsem.

Przywarła do niego.

- Och, jesteś kochany.

- Owszem - przyznał ze śmiechem, przyciskając ją mocniej do siebie. - Pora na mnie. Nie odrywaj się od nauki.

- Dobrze. Uważaj na siebie.

- Zawsze uważam. - Uniósł jej dłoń do ust i złożył delikatny pocałunek na pierścionku zaręczynowym. - Jeszcze tylko kilka dni. A potem fajerwerki!

Jej szare oczy rozbłysły.

- Przrzekasz?

- Z ręką na sercu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

O takim ślubie Karina zawsze marzyła. W salonie stanął ołtarz przybrany białymi różami i liliami. Zjawili się wszyscy kowboje i większość współników Micaha.

Wynajęty na tę okazję zespół zaintonował marsza weselnego, a Burt poprowadził ją środkiem między szpalerami gości do czekającego Micaha. Kiedy składała przysięgę małżeńską, w jej oczach, ukrytych za delikatnym, koronkowym welonem, zakręciły się łzy. Żałowała, że jej rodzice tego nie widzą. Ale czuła, że wiedzą, iż powiodło jej się w życiu.

Gerda była świadkową, a Janey, która stała z boku cała rozpromieniona, druhną. Kiedy Micah uniósł welon i pocałował żonę, ona również nie mogła powstrzymać łez.

Karina chyba nigdy nie była szczęśliwsza. Nawet wtedy, kiedy zdobyła olimpijskie złoto.

Paul i Gerda uściskali nowożeńców, a bliźniacy poszli z Janey do kuchni, gdzie Burt kończył układać na tacach przekąski.

Młodzi pokroili tort i zaczęli się nim karmić, a w tym czasie zatrudniony przez nich fotograf robił niepozowane zdjęcia do ślubnego albumu.

- O piętnastej mamy samolot - Micah przypomniał Karinie.
- Kierunek: Bahamy. Janey wróci do domu z Paulem, Gerdą i chłopcami.

- A co z Burtem? - chciała wiedzieć.

- Przez kilka dni będzie panem i władcą pilota do telewizora. I nikt mu nie będzie zawracał gitary - odparł. - Jest zachwycony.

Karina rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

- Nie wiem, co byśmy bez niego zrobili.

- Ja też.

Z pokoju rekreacyjnego, który chwilowo zamienił się w salę taneczną, dobiegły dźwięki strojonych instrumentów.

- Pani Torrance, zatańczymy? - spytał Micah, po raz pierwszy używając jej nowego nazwiska.

- Nie jestem w tym dobra - wyznała. - To znaczy znam się na balecie, ale to nie to samo.

- Nauczę cię - wyszeptał czule. Jego spojrzenie zdradzało, że nie ma na myśli jedynie tańca.

- Okej - zgodziła się i oblała cudnym rumieńcem.

Micah tylko się roześmiał i poprowadził ją na parkiet.

Czas pędził jak szalony. Zanim się spostrzegli, siedzieli już w samolocie w drodze do Nassau, a cały ślub jawił się jako piękny sen.

- Szczęśliwa? - spytał Micah.

- Bardzo - odparła.

Oboje mieli na sobie zwykłe, codzienne ubrania, idealne do podróży. Nie spakowali ze sobą zbyt wielu rzeczy; zgodnie z sugestią Micaha zamierzali kupić wszystko, co niezbędne, na miejscu.

- Gdzie się zatrzymamy? - chciała wiedzieć.

- W British Colonial Hilton - odpowiedział, po czym dodał z przekąsem: - Będiesz mogła oglądać z okna, jak małe holowniki wyprowadzają z portu ogromne statki wycieczkowe.

- To tuż nad wodą?

- Tak, nieopodal starego fortu.

- Och, historia! Zabytki! - wykrzyknęła.

- Otóż to. Kto wie, może natkniemy się na jakieś duchy!

- Będiesz mnie musiał przed nimi obronić - rzuciła z błyskiem w oku.

- Kochanie, obronę cię przed całym światem - powiedział łagodnie. - Uczyniłaś mnie najszcześliwszym facetem pod

słońcem.

- A ty mnie najszcześniejszą kobietą.

Niemal przez cały lot siedzieli z rękami splecionymi w czułym uścisku.

W hotelu omal nie wyszli z siebie, próbując się zameldować. Najwyraźniej połowa świata również postanowiła tu zjechać w tym samym czasie. Ale wreszcie się udało i zaprowadzono ich do pokoju od strony zatoki.

- Co za widok! - wykrzyknęła, podchodząc do okna.

Micah dał napiwek boyowi hotelowemu i zamknął drzwi na klucz.

- Ten, który mam tutaj, jest jeszcze lepszy - rzucił prowokacyjnie.

Odwróciła się, a wtedy on porwał ją w objęcia.

- Nie mam w tym wprawy - wypaliła. - Nie przeszkadza ci to?

Ujął jej twarz w duże, ciepłe dłonie.

- Nie, nie przeszkadza. Będę delikatny, jakbym obchodził się z porcelaną. Obiecuję. Nie bój się.

- Będzie bolało? - spytała z lekkim niepokojem.

- Nawet jeśli tak, to będzie to przyjemny ból.

Przechyliła głowę. Nie bardzo rozumiała, co ma na myśli.

Micah z uśmiechem nachylił się do jej ust.

- Zobaczysz...

Nie przypuszczała, że jest zdolna do przeżywania takich rozkoszy. Jego dłonie delikatnie sunęły po jej nagim ciele, ucząc się go i badając z taką namiętnością, że nie było miejsca na słowa.

Wstrząsana kolejnymi falami uniesienia, wypięła biodra i wygięła się w łuk, chłonąc jego pocałunki, pieszczoty i rosnące pożądanie. Nawet nie wiedziała, na ile sposobów można wyrazić miłość.

Gdy poczuła jego wargi po wewnętrznej stronie ud, jęknęła zaskoczona odpowiedzią swojego ciała, które wręcz drżało z pożądania. Micah roześmiał się gardłowo. Jeszcze żadna kobieta nie reagowała na niego w ten sposób. Nawet jego pierwsza żona, która miała już pewne doświadczenie. Lindy też była z kilkoma mężczyznami, zanim się z nią zaręczył. Ale dla Kariny to wszystko było nowe, ekscytujące i tajemnicze. Była niewinna i szalenie go to podniecało.

Oderwał się od jej miękkiego uda i powędrował w stronę brzucha, przywierając do niego mocno ustami. I wtedy znów pomyślał o dzieciach. Janey była jego skarbem od chwili, gdy się urodziła. Ogromnie pragnął mieć kolejne dziecko. A nawet kilkoro.

Pieszcząc ustami jędrny, prężący się sutek, wsunął dłonie pod jej pośladki i powoli ułożył się między nogami.

Dotykał jej w sposób, w jaki jeszcze nikogo nie dotykał. Szarpnęła się lekko, ale się nie wzbraniała. O tak, chciała tego. Nawet bardzo.

Wpiła się paznokciami w jego ramiona, a on poczuł, jak cała sztywnieje.

- Już dobrze - wyszeptał jej do ucha. - Nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

To rzekłszy, poruszył delikatnie biodrami i choć była ciasna, jak się spodziewał, wiedział, że będzie miał łatwy dostęp. Jej ciało przez chwilę stawiało opór, ale zaraz się rozluźniło, pozwalając, by wniknął głębiej.

- Boże! - wykrzyknął oszołomiony siłą doznań. Podniósł wzrok i spojrzał w jej zdumione, szeroko otwarte oczy. Z trudem łapał oddech. Serce waliło mu jak młotem, wstrząsając całym ciałem. Pohamował jednak narastającą żądzę, dając Karinie czas, żeby się z nim oswoiła. Chciał mieć pewność, że jest gotowa na swój pierwszy raz. - Okej? - spytał chrapliwym głosem.

Przestała wbijać w niego palce. Przełknęła z trudem ślinę i wyszeptała suchymi ustami:

- O... okej.

Otarł się nosem o jej nos.

- Pierwszy raz zawsze jest trudny. Potem będzie łatwiej.

- Doprawdy? Och! - Westchnęła głęboko i zadrżała, kiedy nagle się poruszył, zanurzając się jeszcze głębiej w jej cudownie miękkie ciemne wnętrze.

- Lepiej? - spytał z lekkim uśmiechem.

- Tak... tak... znacznie lepiej! - wydyszała z szeroko otwartymi oczami, poddając się wzbierającym doznaniom, które pchały ją wyżej i wyżej ku rozkoszy tak intensywnej, że nie była pewna, czy to przeżyje.

Micah ujął jej twarz i wychodząc na spotkanie jej ruchom, odnalazł właściwy rytm, który szybko doprowadził ją na skraj spełnienia.

Krzyknęła bezradna wobec mocy tej słodkiej ekstazy, napawając go dziką dumą, kiedy poczuł, jak dochodzi, jak przeżywa swój pierwszy orgazm.

- Micah! - szlochała, kiedy wnikał w nią coraz głębiej i szybciej. Ledwie wytrzymała. To, co uznała za kulminację, było jedynie wstępem do iście nieziemskich doznań. Przewróciła oczami i wygięła się w łuk, targana rytmicznymi spazmami rozkoszy, o jakiej nigdy nawet nie śniła.

Widząc, jak osiąga spełnienie, Micah przestał się kontrolować. Zaparł się pięściami o materac po obu stronach jej głowy, wbijając się w nią szybko i gwałtownie, by po chwili utonąć w potężnym orgazmie. Jęknął głośno, raz po raz wymawiając jej imię, zalewany falami przemożnej ekstazy.

Po wszystkim opadli wtuleni w siebie. Ich spocone ciała wciąż drżały.

- O rany - wyszeptała Karina.

Micah niemrawo przesunął wargami po jej brodzie i nakrył jej miękkie, nabrzmiące usta swoimi.

- No i?

- No i co?

- Bolało? - spytał rozbawiony i spojrzał głęboko w jej roz-

marzone oczy.

Wciągnęła z drzeniem powietrze. Czuła się tak, jakby całe jej ciało eksplodowało, a potem nagle zapadło w kojący letarg.

- Nie - odparła. - Ani trochę!

Wyszczерzył się w uśmiechu i zamknął jej usta w czułym pocałunku.

- A, zapomniałem zapytać.

Objęła go za szyję, obdarzając uśmiechem.

- O co?

- O to, czy powinienem się zabezpieczyć.

Przechyliła głowę i zapatrzyła się w jego ciemne oczy.

- Już o tym rozmawialiśmy. Pragnę mieć z tobą dzieci.

- Ja też. - Wsunął pod nią dłonie, rozkoszując się dotykiem cudownie miękkiego ciała. - Ale nie byłem pewny, czy jesteś na nie gotowa już teraz.

- Chyba ustaliliśmy, że ciąża nie przeszkadza w studiowaniu - rzuciła prowokacyjnie.

- Cóż, racja.

- I że mogę zrobić magisterkę na odległość - dodała.

Przejechał palcami jej wilgotne od potu włosy.

- Nie mógłbym cię prosić, żebyś zrezygnowała z łyżwiarstwa - oświadczył uroczyście.

- Wiem. Ale nie chcę być ciągle w podróży, z dala od ciebie i Janey. A gdy urodzi się dziecko, chcę być z nim w domu.

Uśmiechnął się.

- Ja też. Obstawię kluczowe stanowiska kompetentnymi ludźmi, którym będę mógł zaufać i w razie potrzeby przekazać pałeczkę. Już nie pozwolę, by interesy kierowały moim życiem. Od teraz to ja będę kierował interesami.

- Dlaczego się wycofałeś, gdy wróciliśmy z San Jose? - spytała zaciekawiona.

Przesunął palcami wzdłuż jej brwi. Wyglądał na zasepionego.

- Posiadasz rzadki talent - zaczął. - Widziałem, co potraficie ty i Paul. Nie chciałem cię rozpraszać, kiedy zaczęłaś rozwijać skrzydła. - Skrzywił się, lecz zaraz dodał: - Poza tym nie byłem pewny, czy zechcesz to wszystko rzucić, żeby zamieszkać na ranczu i rodzić dzieci. To, co ci oferuję, jest dalekie od wytwornego życia.

- Już go doświadczyłam, miałam sławę i pieniądze. I wiesz co? Czułam się bardzo samotna. Paul miał Gerdę, która zawsze go dopingowała, troszczyła się o niego i go pocieszała, a ja nikogo.

- A teraz z nagłą masz rodzinę - stwierdził.

- I całą ją uwielbiam - zapewniła go ze śmiechem. - Bez wyjątków. Nawet Dietricha. Jesteście moim największym szczęściem i niczego nie pragnę bardziej niż tego, by spędzić z wami resztę życia.

- Mogę tylko przytaknąć. - Musnął jej usta swoimi i poruszył biodrami.

Wstrzymała oddech. Micah był gotów na powtórkę. W niej też zrodziło się nowe pragnienie, nowe pożądanie.

Zaśmiała się lekko, unosząc biodra, a on ponownie przywarł do niej ustami.

Wrócili na ranczo zmęczeni, ale szczęśliwi, akurat w przeddzień kolejnych zajęć Kariny.

Janey przytuliła ją i przytuliła, zachwycona prezentami, które Karina jej przywiozła. Były wśród nich kolorowe spódniczki, bluzki oraz szarfy z ozdobną koronką i haftem, małe portfeliki, duża pleciana torba i pasujący kapelusz w odcieniach fioletu. Oprócz tego garść muszelek, T-shirty, a nawet naszyjnik z pereł.

- Jestem bogata! - wykrzyknęła Janey, przeskakując od jednego prezentu do drugiego jak pszczoła szukająca pyłku. - Dziękuję!

Karina przytuliła ją mocno.

- Nie ma za co. Przywiozłabym ci coś bardziej łyżwiarskiego, ale Nassau to nie miejsce na takie zakupy - rzuciła półżartem.

- Och, te rzeczy też są świetne! A ten kapelusz jest mega! - Przymierzyła go i spojrzała z szerokim uśmiechem na ojca i Karinę.

- Do twarzy ci w nim - stwierdził ciepło Micah.

- Witajcie w domu! - zawołał Burt, wchodząc tylnymi drzwiami. - Głodni?

- W samolocie jedliśmy orzeszki - wyznał z westchnieniem Micah.

- On zjadł aż cztery paczki - dodała Karina, wskazując męża.

- Takimi okruchami nawet mysz by się nie najadła - zripotował. - Trzeba coś zrobić w kwestii jedzenia serwowanego na pokładzie.

- Wspomnij o tym na następnym spotkaniu zarządu - zasugerował Burt. - I weź sobie jakiś stołeczek dla lepszego efektu - zakpił.

Micah parsknął śmiechem.

- Następnym razem weźmiemy na drogę kanapki - stwierdził pojednawczo.

- No dobra. Zaraz was nakarmię - rzucił Burt. - Jak było w Nassau?

- Niesamowicie - odparła Karina. - To był cudownie spędzony czas. Zwiedziliśmy forty, a pewnego wieczoru Micah zabrał mnie do kasyna na Paradise Island. Przegrałam pięć dolarów - dodała z westchnieniem. - Chyba nie jestem stworzona do hazardu.

- I dobrze - stwierdził Burt. - Yyy, ja... muszę się do czegoś przyznać - dodał z niepokojem.

Micah uniósł brwi.

- Do czego?

- No mów! - rzuciła podekscytowana Janey.

- Cóż, pamiętacie to świetne zdjęcie Paula i Kariny, które zrobiliśmy na olimpiadzie? To, jak stoją na podium i przyjmują złote medale?

- Owszem - odpowiedział Micah. - Użyliśmy nowego aparatu z teleobiektywem, na który namówiła mnie Janey.

- No więc tak jakby komuś je wysłałem.

Karina i Micah zmierz yli go wzrokiem, a Janey wybuchnęła śmiechem.

- Pomyślałem, że Lindy powinna wiedzieć, że nie tylko ona zdobyła medal. - Roześmiał się szelmowsko i zaraz wszyscy parsknęli śmiechem.

- I co powiedziała? - spytała Karina.

- Nie wiem. Zablokowała mój numer - oświadczył rozba-
wiony Burt.

- Dzięki, Burt! Dawno się tak nie uśmieiałam!

- I ja - zawtórowała Janey.

Micah pokręcił głową.

- Ech, pamiętam te jej uszczypliwe uwagi, jak to żadna z was nie ma szans na zawodach. - Spojrzał na Karinę i Janey. - Ja też się przy okazji czegoś nauczyłem.

- Czego? - spytała cicho Karina.

- Że żaby mi nie smakują - odparł scenicznym szeptem.

Roześmiała się do spółki z resztą i czule go przytuliła.

- Po kolacji muszę się trochę pouczyć - stwierdziła z gry-
masem, gdy się od niego odsunęła. - Z samego rana mam za-
jęcia.

- Podrzucę cię odrzutowcem - oznajmił z uśmiechem.

- Nie miałeś jakiegoś spotkania w Denver?

Micah machnął lekceważąco ręką.

- Raz się beze mnie obejdą. Lecę z tobą do Jackson.

- Naprawdę? - spytała rozpromieniona.

- Nie chcę się z tobą rozstawać. Jeszcze nie teraz.

- W takim razie chętnie skorzystam.

- Ja też mogę lecieć? - spytała płaczącym tonem Janey.

Micah zacisnął usta i wbił wzrok w Karinę.

- Jak myślisz?

- Nie widzę przeciwwskazań - stwierdziła ze śmiechem. - Możesz ją zabrać na lodowisko, jak będę na zajęciach, a potem pójdziemy na lunch.

- Lubisz sushi? - spytał.

- Uwielbiam! - wykrzyknęła z zachwytem. - Jadłam sushi w Kioto przed kilkoma laty.

- Mnie też bardzo smakuje. Jak byłem w Osace, to próbowałem takie z pieczonym węgorem.

- Ja też! Pyszności, prawda?

- W tym domu nie będziemy jeść surowych ryb - oświadczył Burt, udając oburzonego.

- Ty na pewno - zgodził się Micah.

- I dobrze - odparł, kończąc szykować kanapki. - Na przyjęcie to się łączy. Nie wcina się jej na surowo.

- Ty to jesteś! A czym się różnią surowe steki od surowych ryb?

- Różnią się tym, że je lubię - zaśmiał się Burt.

Karina zasiadła do stołu z całą ferajną. Patrzyła, jak Micah odmawia modlitwę, a potem wszyscy rzucają się na kanapki. Czuli się częścią tej rodziny. Gdyby tylko mogli ją teraz zobaczyć rodzice...

Sława i bogactwo może i dają szczęście, ale też czynią człowieka samotnym. Żadną miarą nie mogą się równać z kochającą rodziną i ciepłym domem. Prawdziwego domu.

Uśmiechnęła się na tę myśl i również sięgnęła po kanapkę, spokojna o swoją przyszłość, bo ta ewidentnie malowała się w jasnych barwach.

Karina zdobyła wreszcie licencjat i zapisała się na eksternistyczne studia magisterskie. Niedługo potem zaczęła zwraca-

cać śniadanie. Któregoś razu Micah znalazł ją w łazience, jak klęczała nad muszlą. Na ten widok wydał z siebie okrzyk, który ściągnął pozostałych domowników.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Janey. - Karina, wszystko w porządku?

- W najlepszym! - rzucił ze śmiechem Micah, mocząc myjkę. - Jest w ciąży!

- Nie wiemy tego... jeszcze... - urwała, wstrząsana kolejną falą torsji.

- Ty nigdy nie chorujesz - zauważył, podając jej wilgotny ręcznik.

- Dzidzius! - wykrzyknęła Janey. - Wow! Będę mieć brata albo siostrę! Nie będę już jedynaczką!

Micah przytulił ją mocno.

- Tak czy owak, będziesz starszą siostrą. - Uśmiechnął się czule. - Miłość jest o wiele piękniejsza, gdy można ją dzielić z innymi.

- Jak widać na załączonym obrazku - zaśmiała się słabo Karina, dźwigając się z trudem z podłogi.

- Przynieść ci coś na mdłości? - spytał zatroskany Burt.

- Może napój imbirowy, jeśli jest.

Stanęła przy umywalce i dopiero wtedy zauważyła, że w łazience poza nią są jeszcze trzy osoby.

- Trochę tu tłoczno - skomentowała, przemywając twarz.

- A gdzie tam - skontrował Micah. - To duża łazienka.

- Cóż, trudno się z tym nie zgodzić - przyznała ze śmiechem.

Ledwo przepłukała usta, Micah porwał ją w ramiona.

- A teraz do łóżka - powiedział czule.

- Nie jestem obłożnie chora - zaperzyła się.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Cicho! Dopóki nie uspokoi ci się w żołądku, będę cię tak

traktował. Zgoda?

Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Zgoda. - Wtuliła się w niego, kiedy prowadził ją korytarem, a potem pozwoliła, żeby ułożył ją ostrożnie w wielkim, małżeńskim łożu.

- Może solonych krakersów? - spytała niepewnie Janey. - Mnie zawsze pomagają na wymioty.

- Dziękuję, skarbie. Poproszę - odparła Karina.

- Zaraz wrócę! - oznajmiła dziewczynka i pobiegła do kuchni.

- Jest przeszczęśliwa - zauważył Micah. - Tak samo jak ja. Wiesz - pokręcił z niedowierzaniem głową - odkąd wkroczyłaś do mojego życia i rzuciłaś mnie na kolana, minął już prawie rok.

- Nie byłeś dla mnie zbyt miły - wytknęła.

- Wiem. Byłem zaręczony i nieszczęśliwy. I nagle zjawiała się ty, jak promień słońca w ciemności. Ten żar, który mnie zalał, całkiem mnie oszołomił. - Ponownie pokręcił głową. - Wiedziałem, że będą z tobą kłopoty.

- I vice versa - odgryzła się, po czym dodała: - Ale takich kłopotów nigdy dość.

- Dziękuję. - Pochylił się i ucałował lekko jej powieki. - Odpoczywaj. Zbesztam parę osób przez telefon i wrócę, zanim się spostrzeżesz. Jutro musisz pójść do lekarza. Poproszę Grace, żeby umówiła ci wizytę.

Grace była jego osobistą asystentką. Okazało się, że jest nie tylko bardzo miła, ale też zamężna i ma aż trzy córeczki. Micah wyznał jej to z pewnym zakłopotaniem już po ślubie.

- Sama się umówię, dziękuję - rzuciła żartobliwie.

- Chyba nie jesteś wciąż zazdrosna?

- Pewnie, że jestem. - Parsknęła śmiechem. - Jesteś najseksowniejszym facetem w Wyoming i moim mężem. Żadna inna kobieta już nigdy się do ciebie nie zbliży.

Odgarnął jej włosy z twarzy.

- Możesz być o to spokojna.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ust.

- To będzie chłopiec albo dziewczynka - oświadczyła.

- No co ty?! - zakpił.

- Wiem, że nie mamy na to wpływu - zaczęła, oblewając się rumieńcem - ale wolałabym chłopca, żeby mieć parę.

- Będziemy się cieszyć bez względu na płeć - stwierdził, a ona aż się rozpromieniła.

- Racja.

- Z żołądkiem już lepiej?

Skinęła głową.

Do pokoju wszedł Burt, niosąc napój imbirowy i szklanekę lodu, a zaraz za nim zjawiała się Janey z miseczką krakersów.

- Dziękuję - powiedziała Karina.

- Nie ma sprawy - odparł Burt. - Przynajmniej tyle możemy zrobić, skoro załatwiasz nam tu ulgę na kolejne dziecko - dodał z przekąsem.

Karina wybuchnęła śmiechem.

- Uuu, Burt, to było wredne. Naprawdę wredne!

- Przepraszam. - Speszył się. - Może prześlągam cię miską pysznej gorącej zupy? Rosół jest dobry prawie na wszystko.

- Nie jestem pewna, czy pomoże na poranne mdłości.

- No to sprawdźmy - zasugerował Micah.

Wszyscy spojrzeli na nią z szerokimi uśmiechami.

- Okej - przytaknęła, sącząc napój.

Micah usiadł obok i ujął jej dłoń, a Janey przycupnęła na brzegu łóżka, gładząc ją po włosach.

- Rozpuszczacie mnie! - zauważyła Karina. - A Burt jeszcze wam w tym pomaga.

- Nic z tych rzeczy - zaproponował Micah. - Po prostu dbamy o naszą gwiazdę. Legendę Wyoming.

- Ach tak? - zachichotała.

- Tak. Żebyśmy wszyscy żyli długo i szczęśliwie - dodał z rozbawieniem.

I tak właśnie było.

DIANA PALMER, a właściwie Susan Spaeth Kyle, jest best-sellerową autorką New York Timesa, uznaną za jedną z dziesięciu najlepszych amerykańskich pisarek romansów. Posiada niezwykle talent do opowiadania najbardziej zmysłowych historii z właściwym sobie urokiem i humorem.

Pierwszą powieść napisała w 1979 roku. Wcześniej przez szesnaście lat pracowała jako dziennikarka prasowa. Wydała ponad sto książek, które przetłumaczono na kilkanaście języków.

Jest członkinią licznych towarzystw, zrzeszeń i organizacji dobroczynnych. W wieku czterdziestu pięciu lat wróciła na uczelnię, by uzupełnić wykształcenie - ukończyła historię, archeologię i filologię hiszpańską. W wolnym czasie uprawia ogródek, czyta książki i słucha muzyki. Uwielbia iguany. Mieszka z rodziną w Cornelia w stanie Georgia.

Polecamy powieści Diany Palmer:

Odzyskane uczucia

Magia uczuć

Serce jak gład

Nieodparta pokusa

Droga do serca

On i ja

Niezwykły dar

Po drugiej stronie

Ukryte uczucia

Nigdy nie zapomnę

Miłość i reszta życia

Gorączka nocy

Osaczony

Papierowa róża

Pewnego razu w Paryżu

Dwa kroki w przyszłość

Władca pustyni

Desperado

Do dwóch razy sztuka

Po północy

Nora

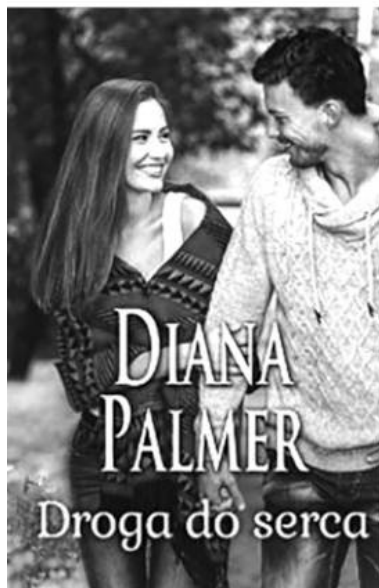
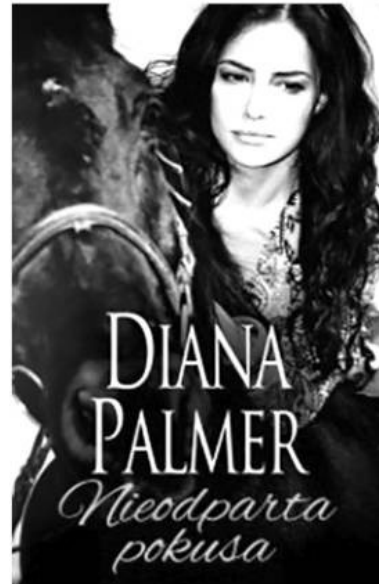
Magnolia

Pewnego razu w Arizonie

Kim naprawdę jesteś?

Daleko od Nowego Jorku

Taniec miłości



Tytuł oryginału: *Wyoming Legend*

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2018

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2018 by Diana Palmer. All rights reserved.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2020

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 9788327646910

Spis treści

Strona tytułowa
Dedykacja
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
O autorze
Strona redakcyjna